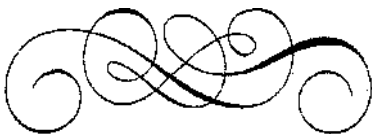


**STEPHANIE LAURENS**

# **Panna na wydaniu**



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

„Lady Asfordby z Asfordby Grange ma zaszczyt zaprosić na bal pana Jacka Lestera z Rawling's Cottage, wraz jego gośćmi”.

Rozparty w fotelu, przy kominku, ze szklaneczką brandy w jednej dłoni i zaproszeniem w drugiej, Jack Lester z nie ukrywanym przygnębieniem odczytał na głos jego treść.

- Czyżby to była owa wielka dama, najznaczniejsza w tej okolicy? - zainteresował się lord Percy Ałmsworthy, drugi spośród trzech dżentelmenów, wypoczywających w domku myśliwskim Jacka.

Na dworze wiatr wył potępieńczo, łomocząc głucho okiennicami. Tego dnia wszyscy trzej wzięli udział w nagonce na lisa, ale tylko Jack i jego brat Harry polowali przez cały dzień, Percy ograniczył się do wstępnej tury. Nie będąc zmęczonym, krążył więc teraz niecierpliwie po pokoju, natomiast obaj bracia wypoczywali, przyjemnie znużeni, i ani myśleli ruszać się z miejsca. Percy zatrzymał się przy kominku i spojrzął na gospodarza.

- To mogłoby urozmaicić twój pobyt w tych stronach. A poza tym - dodał, zaczynając kolejną rundę po pokoju - kto wie? Może jakaś złota główka przykuje twoją uwagę?

- Tu? Na takiej prowincji? - prychnął pogardliwie Jack. - Jeżeli podczas ubiegłorocznego sezonu w stolicy nie udało mi się spotkać żadnej panny godnej uwagi, to wątpię, czy tutaj trafi się jakaś szansa.

- Ach, sam już nie wiem. - Harry Lester, rozparty na pluszowych poduszkach, ruchem pełnym gracji odrzucił z czoła

złote loki i zmierzył starszego brata przenikliwym spojrzeniem zielonych oczu. - Coś mi się wydaje, że bardzo chcesz się usamodzielnić. A skoro znalezienie żony stało się dla ciebie takie ważne, podejrzewam, że przyjdzie ci zajrzeć pod każdy kamień. Kto wie, pod którym kryje się skarb?

Niebieskie oczy zderzyły się z zielonymi. Jack chrząknął, spuścił wzrok i z roztargnieniem zapatrzył się w kartonik ze złotym brzeżkiem. Ogień rzucał ciepłe refleksy na jego ciemne, falujące włosy i malował cienie na szczupłych policzkach.

Od ponad półtora roku dręczyła go świadomość, że musi się ożenić. Pojął to, zanim jego siostra Lenore poślubiła księcia Eversleigh, przerzucając tym samym na barki brata wszystkie rodzinne problemy.

- Zalecam więcej wytrwałości. - Percy pokiwał głową. - Nie możesz do tego dopuścić, by umknął ci kolejny sezon. Jeżeli będziesz zbyt wymagający, zmarnujesz sobie życie.

- Muszę z przykrością stwierdzić - odezwał się Harry - że Percy ma rację. Nie możesz całymi latami przebierać i zadzierać nosa, ilekroć pojawi się jakaś kandydatka. - Pociągnął łyk brandy i spojrzał na brata ponad brzegiem szklaneczki, a w jego zielonych oczach zapaliły się złośliwe błyski. - Nie możesz tak postępować - dodał półgłosem - chyba że ogłosisz wszem i wobec wiadomość o twojej fortunie.

- Uchowaj Boże! - wykrzyknął Jack. - Zaś na wypadek, gdyby coś takiego kiedykolwiek przyszło ci do głowy, chciałbym ci przypomnieć, że to nasza fortuna, twoja, moja, a także Geralda. - Jack opadł na fotel, a uśmiech rozjaśnił ostre rysy jego twarzy. - Prawdę mówiąc, drogi bracie, ja też chciałbym zobaczyć, jak bawisz się w ciuciubabkę z tymi wszystkimi zakochanymi w tobie panienkami.

Harry uniósł szklaneczkę.

- Jeżeli wiadomość o tym sekrecie rozejdzie się w tak zwa-

nym towarzystwie, na pewno nie będzie to z mojej winy. Szeptę też słówko naszemu małemu braciszкови, aby trzymał język za zębami. W przeciwnym wypadku jeszcze gotów nam pokrzyżować plany.

- Niestety, to prawda. - Jack wzdrygnął się. - Aż strach o tym pomyśleć!

- Nic nie rozumiem - obruszył się Percy. - Czemu chcecie ukrywać, że każdy z was jest bogaty jak krezus? Wy, Lesterowie, od lat uchodziliście za co najwyżej dobrze sytuowanych. A skoro to się teraz zmieniło, czemu by tego nie wykorzystać? - Percy ze zdziwieniem rozłożył ręce. - Przecież to nic nie kosztuje, a moglibyście wreszcie zacząć spijać całą śmietankę.

Obaj bracia popatrzyli na siebie znacząco.

Skonfundowany Percy zamrugał oczami i czekał na wyjaśnienie.

Dawno już przywykł do myśli, że pod względem aparycji nawet się nie umywał do swoich przyjaciół i z rezygnacją pogodził się ze swoją wåtleszą posturą, spadzistymi ramionami oraz cienkimi nogami. A nawet więcej - odnalazł po prostu powołanie w tym, żeby zostać największym elegantem w towarzystwie. Sposób, w jaki ubierał się, by zatuszować niedoskonałości, oraz wyćwiczony polor, za którym starał się ukryć wrodzoną nieśmiałość, doprowadziły go do kolejnego odkrycia: nowy status oszczędził mu przymusu uganiania się za kobietami. Zarówno Jack, jak i Harry wręcz uwielbiali ten sport, natomiast skłonności Percy'ego były znacznie łagodniejszej natury. Uwielbiał kobiety - ale tylko z daleka, i swój obecny, spokojny styl życia przedkładał ponad barwną egzystencję przyjaciół.

Jednak w obliczu matron, które stanowiły spiritus movens całej eleganckiej socjety, stawał się zupełnie bezradny, a wszelkie jego strategie okazywały się mało skuteczne.

Łagodne maniery i pewna nieśmiałość nie przysparzały mu powodzenia wśród płci pięknej. Za to bracia Lesterowie - trzydziestosześcioletni, śniady i atletycznej budowy Jack, o dwa lata młodszy Harry, czarujący i elegancki, a nawet obdarzony chłopięcym wdziękiem dwudziestosześcioletni Gerald - stanowili obiekty cichych westchnień wielu panien i mężatek.

- Szczerze mówiąc, mój drogi Percy - powiedział Harry - podejrzewam, że Jack może i bez tego spijać całą śmietankę.

Jack obrzucił brata wyniosłym spojrzeniem.

- Muszę przyznać, że wcześniej nie brałem tego pod uwagę.

Usta Harry'ego drgnęły w uśmiechu. Z wdziękiem pochylił głowę.

- Ufam, bracie, że kiedy znajdziesz wreszcie wymarzoną damę, nie będziesz musiał wzywać na pomoc swojej fortuny, by przekonać do siebie ową nieznaną jeszcze piękność.

- No tak, ale po co ten sekret? - nie ustępował Percy.

- Z tej przyczyny - wyjaśnił Jack - że wszystkie matrony uznały moją fortunę, jak to trafnie zauważyłeś, za niezbyt imponującą i dlatego pozwoliły mi swobodnie przechadzać się między swoją trzódką, nie ingerując zbyt w moje sprawy.

Panowało powszechne przekonanie, że trzech średnio zamożni potomkowie rodziny Lesterów będą musieli rozejrzeć się za bogatymi partiami. Mimo to, gdy stało się powszechnie wiadome, że Jack poważnie myśli o małżeństwie, posypały się zaproszenia, choćby ze względu na rozległe koligacje oraz pałac i włości, które miały mu przyspać w spadku jako najstarszemu synowi.

- Oczywiście - wtrącił słodko Harry - biorąc pod uwagę wiek Jacka oraz jego... życiowe doświadczenie, trudno przypuszczać, aby łatwo dał się schwytać w pułapkę. A brak majątku sprawia, że czcigodnym matronom szkoda czasu na aranżowanie bardziej skomplikowanych spisków.

- Tak więc mogę bez przeszkód wkroczyć na pole bitwy - ode-

zwał się Jack. - Gdyby jednak w towarzystwie rozeszła się wieść o naszej szczęśliwej odmianie losu, moja wolność szybko by się skończyła. Te baby rzuciłyby się na mnie jak harpie.

- Nic bardziej ich nie podnieca niż nagły uśmiech fortuny - wyznał Percy'emu Harry. - Wychodzą wtedy ze skóry. Potrafią wykazać się isticie szatańską inicjatywą, gdy tylko w ich polu widzenia pojawi się bogaty kawaler, na tyle nieostrożny, by zadeklarować swoje poważne zamiary.

- Wystarczy powiedzieć - przerwał mu Jack - że moje życie nie byłoby już tak swobodne. Dość bym tylko wystawił nogę za próg, a już byłbym narażony na rozliczne niebezpieczeństwa. Na każdym zakręcie nadziewałbym się, niby przypadkiem, na omdlewające i trzepoczące rzęsami panny. Jakże łatwo można wtedy nabrać niechęci do kobiet!

Harry wzdrygnął się z niesmakiem.

Na niewinnej twarzy Percy'ego ukazał się wyraz zrozumienia.

- Ach, teraz już wiem, o co chodzi. W tej sytuacji będzie lepiej, jeśli przyjmiesz zaproszenie lady Asfordby.

Jack machnął lekceważąco ręką.

- Przede mną jeszcze cały sezon, nie ma co wpadać w panikę.

- Niby tak, ale czy rzeczywiście masz jeszcze przed sobą cały sezon? - zapytał Percy, a na widok zdziwionych spojrzeń obu braci szybko dodał: - Ta wasza fortuna zrodziła się na giełdzie, prawda?

Jack skinął głową.

- Za poradą jednego ze znajomych, Lenore wysłała statkiem ładunek towarów do Indii. Spółka powstała całkiem oficjalnie i została zarejestrowana w Londynie.

- I w tym właśnie sęk! - Percy raptownie przystanął przed kominem. - Ludzie zainteresowani giełdą będą wiedzieli, że spółka

odniosła sukces, a wielu z nich musi wiedzieć, że stoją za nią Lesterowie. Takie rzeczy trudno utrzymać w tajemnicy. Na przykład mój ojciec z całą pewnością już się w tym orientuje.

Jack i Harry wymienili pogardliwe spojrzenia.

- Nie da się uciszyć wszystkich, którzy zostali wtajemniczeni - ciągnął Percy - czasu więc masz niewiele. Wystarczy, że któryś z tych ludzi wspomni swojej żonie, iż Lesterom powiodło się na giełdzie, a dowie się o tym cały świat.

Z piersi Harry'ego wyrwał się bolesny jęk.

- Nie, zaczekaj - wtrącił się Jack. - Dzięki Bogu to nie takie proste. Wprawdzie Lenore to wszystko zorganizowała, ale nie mogła oficjalnie w tym uczestniczyć. Posłużyła się naszym brokerem, poczciwym starym Chartersem. On zawsze był przeciwny temu, aby kobiety brały się do interesów. Wiele go to kosztowało, żeby przyjąć instrukcje od Lenore. Zgodził się tylko pod jednym warunkiem - że wszystko zostanie zachowane w tajemnicy, nie chciał bowiem, by ktokolwiek się dowiedział, że wykonuje polecenia kobiety. A to może oznaczać, że nie przyzna się, iż pracuje dla nas, jako że powszechnie wiadomo, iż to Lenore zarządzała naszymi finansami. Jeżeli Charters się nie wygada, nie ma powodów do obaw, że z dnia na dzień wszyscy dowiedzą się o tej szczęśliwej odmianie losu.

Percy zmarszczył brwi i zacisnął wargi.

- Może nie z dnia na dzień, ale podejrzewam, że już wkrótce. Takie wieści rozchodzą się w szybkim tempie.

W pokoju zapadła cisza.

- Percy ma rację - przyznał w końcu Harry z ponurą miną. Jack z rezygnacją podniósł do góry zaproszenie lady Asfordby.

- I to pod wieloma względami. W tej sytuacji pozostaje mi napisać do lady Asfordby, że może nas oczekiwać.

- Ale nie mnie. - Harry zdecydowanie potrząsnął głową.

Jack uniósł brwi.

- Ty też znajdziesz się wkrótce w oku cyklonu.

Harry z uporem po raz drugi pokręcił głową. Skończył swoją brandy i odstawił szklaneczkę na stolik.

- Ja nie dałem nikomu do zrozumienia, że szukam żony, z tej prostej zresztą przyczyny, iż naprawdę jej nie szukam. - Wstał, przeciągnął się leniwie i z uśmiechem dodał: - A poza tym lubię uczucie zagrożenia.

W odpowiedzi Jack także się uśmiechnął.

- Zresztą - ciągnął Harry - zapowiedziałem się na jutro w Belvoir. Gerald też tam będzie. Poinformuję go o naszej decyzji, by utrzymać w tajemnicy tę fortunną odmianę losu. Tak więc możesz z czystym sumieniem przekazać lady Asfordby moje wyrazy ubolewania, iż nie mogłem skorzystać z jej zaproszenia. - Harry uśmiechnął się od ucha do ucha. - Nie zapomnij tego zrobić. Pamiętaj, że ona była przyjaciółką naszej świętej pamięci ciotki i może się okazać całkiem porządną osobą. Przyjedzie też bez wątpienia do miasta w szczycie sezonu, a ja nie chciałbym stać się celem jej ataków.

Harry skinął Percy'emu na pożegnanie i skierował się do drzwi. Mijając Jacka, położył mu dłoń na ramieniu.

- Przy okazji obejrzę pęciny Księcia. Zobaczę, czy okłady choć trochę mu pomogły. Wyjeżdżam jutro, z samego rana, tak więc życzę wam udanych łowów. - Po czym ze współczującym uśmiechem wyszedł z pokoju.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Jack ponownie spojrzął na zaproszenie lady Asfordby. Schował je z westchnieniem do kieszeni, a potem pociągnął długi łyk brandy.

- Więc jedziemy, tak? - Percy ziewnął.

- Jedziemy. - Jack skinął ponuro głową.

Wkrótce potem Percy udał się na spoczynek, a cały dom pograżył się w ciszy. Jack pozostał w fotelu, zapatrzony w tańczą-



ce płomienie. Tkwił tam nadal, kiedy godzinę później znowu pojawił się Harry.

- Co? Jeszcze tu jesteś?

Jack smętnie sącył brandy.

- Jak widzisz, jestem.

Harry zawahał się na moment, a potem podszedł do kredensu.

- Zastanawiasz się nad rozkoszami stanu małżeńskiego?

- Raczej nad jego nieuchronnością, jeżeli cię to interesuje.

- Jack popatrzył w ślad za bratem.

Rozsiadając się na szesłongu, Harry znacząco uniósł brwi.

- Przecież wiesz, że to niekoniecznie musisz być ty.

- Czy to propozycja? - zapytał Jack. - Chcesz się poświęcić?

- Myślałem o Geraldzie - wyjaśnił z uśmiechem Harry.

- Ach, tak. - Jack wbił wzrok w sufit. - Muszę przyznać, że także o nim pomyślałem. To się jednak nie uda.

- A dlaczego?

- Aby zdążył zadowolić ojca, powinien ożenić się szybko, a na to wcale się nie zanoszą.

Harry skrzywił się, ale nic nie powiedział. Podobnie jak Jack zdawał sobie sprawę, że ich ojciec życzy sobie zachowania ciągłości rodu. Była to ostatnia troska, dręcząca starca u schyłku jego dni.

- Zresztą, sprawa jest bardziej skomplikowana - stwierdził Jack. - Jeżeli to ja mam objąć rodzinną rezydencję i należycie zarządzać majątkiem, będę potrzebował bystrej ochmistrzyni.

resztę, czyli o wszystkie obowiązki dobrze urodzonej żony. - Uśmiechnął się z goryczą. - Odkąd Lenore nas opuściła, zaczęliśmy ją doceniać jak nigdy przedtem. Teraz jednak władza spoczywa w moich rękach, a ja dołożę wszelkich starań, by wszystko grało jak w zegarku.

- Zapał, z jakim zabrałeś się do dzieła, wywołał powszechne zaskoczenie - przyznał z uśmiechem Harry. - Nikt nie spodziewał się po tobie tak gruntownej przemiany: w ciągu kilku miesięcy z rozpustnego hulaki stałeś się odpowiedzialnym właścicielem majątku.

- Gdybyś znalazł się na moim miejscu, to znaczy gdyby w jednej chwili spadła na ciebie cała odpowiedzialność, też byś się zmienił. Tak czy owak, muszę znaleźć żonę. I to taką jak Lenore.

- Obawiam się, że to bardzo trudne zadanie.

- Jakbym o tym nie wiedział. - Jack sposepniał. — Chwilami zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle ktoś taki istnieje: dobrze urodzona panna, obdarzona wdziękiem i urodą, a przy tym na tyle mądra, zdyscyplinowana i niezłomna, by móc silną ręką zarządzać majątkiem.

- Oczywiście blondynka, posażna i o pogodnym usposobieniu?

Jack zgromił brata wzrokiem.

- Zważywszy, ile obowiązków na nią spadnie, wcale by mi to nie przeszkadzało.

- I co? Nie masz kogoś takiego na oku? - zaśmiał się Harry.

- Absolutnie nikogo - westchnął Jack. - Po roku poszukiwań mogę ci szczerze wyznać, że ani jedna kandydatka nie przykuła na dłużej mojej uwagi. Panny są dokładnie takie same: młode, niewinne, słodkie i... kompletne bezradne. Ja potrzebuję kobiety o mocnym kręgosłupie, a one wszystkie są jak bluszcz.

W pokoju zapadła cisza. Obaj bracia zamyślili się głęboko.

- A Lenore nie mogłaby ci w tym pomóc? - zapytał po chwili Harry.

Jack potrząsnął głową.

- Nasz kochany szwagier Eversleigh dał mi to wyraźnie do zrozumienia. Jego pani nie będzie w tym sezonie uczestniczyła

w żadnych balach. Zamiast tego - w oczach Jacka zapaliły się ciepłe błyski - będzie siedziała w domu, piastując swojego pierworodnego oraz zajmując się jego ojcem. A całe „towarzystwo”, żeby użyć jego słów, może sobie iść w diabły.

Harry roześmiał się.

- Nie dość, iż cały zeszłoroczny sezon musiałem się obywać bez jej pomocy - ciągnął rozgoryczony Jack - bo ona w tym czasie zajęta była produkowaniem pierwszego potomka dla Eversleigha, to i w tym roku przyjdzie mi walczyć samemu. Na domiar złego na horyzoncie gromadzą się czarne chmury, a bezpiecznej przystani jak nie widać, tak nie widać.

- Rzeczywiście, perspektywy są dość ponure - przyznał Harry.

Jack sposepniał, a jego myśli znów zaczęły krążyć wokół małżeństwa.

Całymi latami wzdygał się na sam dźwięk tego słowa, a teraz, kiedy miał przed sobą to wielkie wyzwanie, godzinami rozmyślał właśnie o stanie małżeńskim. Obecnie nie był mu już tak zdecydowanie przeciwny; ba - zaczynał nawet być nim zainteresowany. To przykład siostry sprawił, że zmienił zdanie. Wprawdzie Jason poślubił Lenore z całkiem prozaicznych powodów, jednak dość szybko stało się oczywiste, że połączyło ich wielkie uczucie. Promienny wzrok, jakim Jason spoglądał na swoją małżonkę, upewniał tylko Jacka w przekonaniu, że siostra podjęła właściwą decyzję. Zresztą, wystarczyło na nią popatrzeć - Lenore wprost jaśniała szczęściem. A księżę Eversleigh nieoczekiwanie stał się tak troskliwym mężem, że wręcz nie wypadało przypominać, iż przez wiele lat prowadził gorszący tryb życia.

Jack wcale nie marzył o tym, by być tak krótko trzymany jak Jason - który zresztą nie oprotestowywał tej zmiany swojego losu - pragnął jednak gorąco tego, co udało się zdobyć jego szwagrowi: kochającej i kochanej przez siebie kobiety.

Harry wstał i przeciągnął się z westchnieniem.

- Pora się zbierać. Ty też powinieneś już się położyć. Musisz się dobrze zaprezentować tym wszystkim pannom u lady Asfordby.

Jack podniósł się z wyrazem bolesnej rezygnacji na twarzy. Kiedy podeszli do kredensu, żeby odstawić szklaneczki, powiedziała:

- Mam ochotę zdać się na los szczęścia. Skoro pani Fortuna była dla nas tak przychylna, powinna doprowadzić wszystkie sprawy do końca. Moim zdaniem, to byłoby fair.

- No tak, ale pani Fortuna, jak każda kobieta, jest kapryśna.

- Harry odwrócił się do brata. - Jesteś pewny, że chcesz zaryzykować całą resztę życia?

- Już i tak to robię - stwierdził ponuro Jack. - Cała ta sprawa niewiele różni się od rozdania kart albo rzutu kości.

- Z tą różnicą, że tam, jeśli nie podoba ci się stawka, możesz wycofać się z gry.

- Racja, ale moim problemem jest właśnie znalezienie właściwej stawki.

Wzięli po zapalanej świecy i wyszli na korytarz.

- Pragnę, by pani Fortuna okazała mi swoją łaskawość - kontynuował Jack - z tłumu młodych panien wyszukała dla mnie tę jedną, jedyną i postawiła ją na mojej drodze.

W oczach Harry'ego błysnęło rozbawienie.

- Kuisz los, bracie?

- Nie, rzucam mu wyzwanie - odparł Jack.

Szeleszcząc jedwabiem, Sophie Winterton wykonała ostatni obrót, po czym dygnęła z ujmującym uśmiechem. Sala balowa Asfordby Grange pękała w szwach. Suknie mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Powietrze przesyciła woń najdroższych perfum. W blasku świec na szyjach pań lśniły klejnoty.

- Dziękuję za taniec, droga panno Winterton. - Pan Bant-

combe, wydymając policzki, nachylił się nad jej ręką. - Była pani wspaniała.

• Sophie wyprostowała się, a na jej ustach pojawił się stosowny uśmiech. Omiotła wzrokiem salę i wypatrzyła kuzynkę Clarissę, która z dziewczęcą naiwnością odpowiadała na umizgi oczarowanego jej urodą i wdziękiem wielbiciela. Błękitne oczy, alabastrowa cera i złote pukle, otaczające jej trójkątną twarzyczkę czyniły z Clarissy wyjątkowo urocze zjawisko. Zarumieniona i drżąca z podniecenia, przypominała Sophie młodą klaczkę, która po raz pierwszy bierze udział w odświętnej paradzie.

Sophie uśmiechnęła się w duchu, po czym zwróciła się do pana Bantcombe'a:

- Może bale lady Asfordby nie są tak wielkie jak zgromadzenia w Melton, jednak moim zdaniem znacznie je przewyższają.

- Naturalnie, że tak. - Panu Bantcombe'owi nadal brakowało tchu. - Lady Asfordby zawsze gości u siebie najlepsze towarzystwo. Nie spotyka się u niej byle kogo. Żaden lekkoduch czy oficer nie ma wstępu na jej salony.

Sophie pomyślała, że nie miałyby nic przeciwko obecności kilku oficerów. Bez wątplenia stanowiliby oni pożądane urozmaicenie na tle dżentelmenów, których przez ostatnie pół roku zdążyła już poznać na tyle dobrze, aby się nimi lekko znudzić.

- Może wrócimy do mojej ciotki? - zaproponowała.

Sophie mieszkała u wujostwa w Leicestershire. Przed wyjazdem na ekspedycję do Syrii sir Humphrey Winterton, zamiłowany paleontolog, oddał swoją jedynaczkę pod opiekę Lucilli Webb, siostry swej zmarłej żony. Sophie z radością przystała na to rozwiązanie, jako że ostatnie cztery lata spędziła w kompletnej izolacji, u boku milczącego, pogrążonego w żałobie ojca. Webb Park był wielką, tętniącą życiem rezydencją, oddaloną

o kilka mil od Asfordby Grange. Panowała w nim radosna, swobodna atmosfera, jakże różna od tej, w której przyszło Sophie żyć od śmierci matki.

Ciotka, szczupła i eteryczna dama, obdarzona pięknymi popielatoblond włosami, które upinała w elegancki węzeł, spowita w błękitne jedwabie siedziała na jednym z foteli pod ścianą, pograżona w rozmowie z panią Haverbuck, leciwą damą z sąsiedztwa.

- Ach, jesteś, Sophie. - Lucilla Webb uśmiechnęła się do siostrzenicy, gdy pani Haverbuck, skinąwszy dziewczynie głową, oddaliła się w kierunku innych dam. - Zaczynam się poważnie obawiać o twoje siły, kochanie. - Bładoniebieskie oczy uważnie zlustrowały zaczerwienioną twarz pana Bantcombe'a. - Drogi panie, byłby pan tak łaskaw i przyniósł mi coś zimnego do picia?

Pan Bantcombe ochoczo skinął głową i odszedł, skłoniwszy się przedtem Sophie.

- Biedaczek - odezwała się Lucilla, gdy Bantcombe zniknął w tłumie. - On nie nadaża za tobą, kochanie.

Usta Sophie lekko drgnęły.

- Mimo to - łagodnie ciągnęła Lucilla - cieszę się, że tak dobrze się bawisz. I wyglądasz przy tym tak pięknie, nawet jeśli tylko ja ci to mówię. Zobaczysz, jakie będziesz miała wzięcie, nie mam co do tego wątpliwości.

- Oczywiście, że zostaniesz dobrze przyjęta, jeżeli tylko twoja ciotka i ja, a także wszystkie dawne przyjaciółki twojej matki, mamy w tej materii cokolwiek do powiedzenia!

Sophie i Lucilla odwróciły się, gdy lady Entwhistle, szeleszcząc taftą, rozsiadła się w fotelu zwolnionym przed chwilą przez panią Haverbuck.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, Lucillo, że Henry zgodził się i jutro wyjeżdżamy do miasta. - Lady Entwhistle sięgnęła

po Iorgnon i z uwagą zaczęła lustrować postać Sophie. Dziewczyna wiedziała, że każdy szczegół jej wyglądu: sposób, w jaki upięto jej złote loki; prosty, lecz niezaprzeczalnie elegancki krój różowej, jedwabnej sukni; rękawiczki w odcieniu kości słoniowej, a nawet maleńkie, satynowe pantofelki, słowem wszystko znajdzie się pod bacznym wzrokiem przyjaciółki rodziny.

- Hmm... - podsumowała oględziny lady Entwhistle - jest tak, jak myślałam, zawrócisz naszym kawalerom w głowie. A o to mi właśnie chodziło - dodała, rzucając Lucilli konspiracyjne spojrzenie. - W poniedziałek wydaję bal, podczas którego przedstawię znajomym syna naszej kuzynki. Mam nadzieję, że mogę na was liczyć.

Lucilla zacisnęła wargi i mrużąc oczy, powiedziała:

- Wyjeżdżamy w drugiej połowie tygodnia, więc powinniśmy dotrzeć do Londynu przed niedzielą. - Twarz jej się rozpodziła. - Z radością możemy zatem przyjąć twoje zaproszenie, Mary.

- Świetnie! - Lady Entwhistle podniosła się z brzękiem grubych, złotych bransolet. Nagle dostrzegła w tłumie Clarisę i dodała: - To będzie niemal rodzinne spotkanie, jako że sezon dopiero się zaczyna, może więc Clarissa by się do nas przyłączyła. Co ty na to, Lucillo?

- Jestem pewna, że będzie zachwycona - odparła z uśmiechem Lucilla.

Lady Entwhistle roześmiała się dobrodusznie.

- Jest taka podekscytowana. Pamiętam, jak my byliśmy takie same - ty, ja i Maria. - Spojrzała wymownie na Sophie, po czym sięgnęła po swoją torebkę. - Muszę już was opuścić, moje drogie. Do zobaczenia w Londynie.

Sophie wymieniła z ciotką uśmiechy, a potem obserwowała rozbawiony tłum. Gdyby ktoś ją o to zapytał, musiałaby przyznać, że nie tylko wchodzącą właśnie w świat siedemnastoletnią

Clarissę cieszyła perspektywa zabaw i bali. Mimo pozornego spokoju, właściwego doświadczonej dwudziestodwuletniej damie, czuła, że i jej serce żywiej bije w piersi. Ona także nie mogła się już doczekać swojego pierwszego sezonu w stolicy.

Wiedziała, oczywiście, że powinna znaleźć sobie męża. Tego oczekiwały po niej wszystkie przyjaciółki jej matki, nie mówiąc już o ciotce Lucilli, jednak obecnie ta perspektywa już nie przerażała jej tak jak dawniej. Sophie zdążyła wyrosnąć z dziewczęcej naiwności i zamierzała uważnie się rozejrzeć, by dokonać mądrego wyboru.

- Czy mnie oczy mylą, czy Ned nareszcie zdecydował się wykonać pierwszy ruch?

W ślad za ciotką Sophie spojrzała w róg sali, gdzie Edward Ascombe, syn sąsiadów, zwany przez wszystkich Nedom, skłonił się właśnie przed Clarissą. Sophie zauważyła, że jej kuzynka lekko się zachnęła.

Ned, poważny młody człowiek, radość i duma swego ojca, w wieku dwudziestu jeden lat administrował majątkiem, który naturalną koleją rzeczy miał przypaść mu w spadku. Od pewnego też czasu usilnie zabiegał o względy Clarissy Webb. Niestety, w obecnej chwili nie znajdował uznania w oczach młodej panny, szykującej się do podboju londyńskich salonów. Prawy i wierny wielbiciel, znany od dzieciństwa, po prostu ją nudził, zwłaszcza że w swej szlachetnej prostolinijności popełnił przy tym fatalny błąd, a mianowicie dał już Clarissie do zrozumienia, że złożył serce u jej stóp.

Pełna współczucia Sophie obserwowała niedobraną parę.

- Proszę o kotyliczki, o ile jesteś jeszcze wolna, Clary. - Ned uśmiechnął się, nieświadom tego, że stoi na grząskim gruncie.

- Nie mów tak do mnie! - syknęła Clarissa, mrużąc oczy.

Pogodny uśmiech zniknął z twarzy Neda.

- A jak mam się do ciebie zwracać, na Boga? Panno Webb?



- Właśnie tak! - Dziewczyna dumnie uniosła podbródek. Na horyzoncie pojawił się kolejny młody dżentelmen, ku któremu Clarissa z wdzięcznym uśmiechem wyciągnęła rękę,

Ned zmarszczył brwi, spoglądał groźnie na rywala i zanim zaskoczony intruz zdołał cokolwiek powiedzieć, powtórzył z naciskiem:

- Czy mogę prosić do tańca, panno Webb?

- Obawiam się, że kotyliona mam już zajętego, panie Ascombe. - Poprzez tłum Clarissa podchwyciła naglący wzrok matki. - Może za to następny taniec?

Przez chwilę Sophie obawiała się, że zostaną z Lucillą wezwane do ratowania sytuacji, jednak Ned, choć niechętnie, przyjął propozycję Clarissy. Powiedział coś cicho do dziewczyny, sztywno się ukłonił, a potem odwrócił się i odmaszerował.

Clarissa z kamienną twarzą patrzyła na jego plecy, póki nie wtopił się w tłum, choć uważne oko dostrzegłoby, że wargi dziewczyny lekko zadrżały. Jednak w sekundę później wyprostowała się i z promiennym uśmiechem zwróciła do drugiego młodzieńca, który cierpliwie czekał na swoją kolej.

- No tak. - Lucilla z uśmiechem pokiwała głową. - Oto samo życie, bo w końcu ona i tak wyjdzie za Neda. Myślę, że tegoroczny sezon najzupełniej wystarczy, aby jej serce zmadrało.

Sophie również miała taką nadzieję, życzyła bowiem jak najlepiej zarówno Clarissie, jak i Nedowi.

- Panno Winterton?

Sophie odwróciła się. Pan Marston, który właśnie przed nią się skłonił, był poważnym, dobrze sytuowanym dżentelmenem, przez co stanowił wielce pożądany obiekt dla niejednej matrony, bawiącej się w swatkę. Sophie z wdziękiem dygnęła, lecz jednocześnie się zarumieniła. Pan Marston wyraźnie ją adorował, a ona, niestety, nie czuła do niego absolutnie nic. Jednak, wiedziony złudną nadzieją, uznał jej rumieniec za wielce obiecujący symptom.

- Nasz kadryl, moja droga - powiedział z uśmiechem, po czym szybko skłonił się Lucilli, zaborczo ujął Sophie za rękę i poprowadził ją na parkiet.

Z czarującym uśmiechem, lecz z wielce poważnym wejrzeniem, Sophie wykonywała najbardziej skomplikowane figury tańca. Sprawa wymagała taktu i dyplomacji. Nie zamierzała dopuścić, by peszyły ją atencje pana Marstona, a zarazem nie chciała go zbyt ośmielać.

- Słusznie pan zauważył, sir - stwierdziła w odpowiedzi na jedną z jego aluzji - doskonale się dziś bawię, nie żywię jednak żadnych obaw przed londyńskimi dżentelmenami. Już wkrótce z moją kuzynką pojedziemy na sezon do stolicy, gdzie podczas balów i innych spotkań mamy nadzieję miło spędzać czas, a zarazem poznać ciekawe osoby z towarzystwa. Ufam, że znajomości, które dzisiaj zawrę, również okażą się bardzo interesujące.

Karzące spojrzenie, jakim obrzucił Sophie jej tancerz, wyraźnie świadczyło o tym, iż sama myśli, że znajomość z jakimkolwiek dżentelmenem - stąd czy z Londynu - może się okazać dla niej interesująca, była zdaniem pana Marstona absolutnie nie do przyjęcia. Sophie westchnęła lekko. Zachowywanie pozorów stanowiło sztukę, którą musi jeszcze opanować.

Wokół nich wirował różnobarwny tłum, składający się głównie z osób z sąsiedztwa. Tylko tu i ówdzie widać było eleganckie stroje gości z Londynu, którzy zyskali aprobatę lady Asfordby. Wyróżnienie to nie obejmowało licznych kawalerów, przybyłych w sezonie łowieckim do pobliskiego miasteczka Melton, gdzie czekały na nich atrakcje oferowane przez właścicieli okolicznych majątków w Quom, Cottesmore i Belvoir.

Kiedy Jack, z nieodłącznym Percym u boku, przystanął w progu sali balowej, czekając, by lady Asfordby podeszła go powitać, wyczuł, że jego obecność wywołała wśród gości poru-

szenie, czego symptomem był cichy szmer, który jak fala rozszedł się po całym zgromadzeniu.

Jack pochylił się nad upięścienionymi palcami gospodyni.

- Tak się cieszę, że zdecydował się pan przyjechać, Lester.

Po dokonaniu prezentacji Percy'ego, którego lady Asfordby przywitała niebywale życzliwie, Jack spojrzął na tańczące pary.

Najpierw jego uwagę przykuły gęste, złote loki, a potem na długą jak wieczność sekundę utonął w jasnoblękitnych oczach o czystym wejrzeniu. Zjawiskowa piękność ledwie zauważalnie się uśmiechnęła, a potem z szelestem sukni odwróciła do swojego partnera.

Jack zaczerpnął tchu i nie spuszczał wzroku ze szczupłej sylwetki nieznajomej, reszta tancerzy stała się dla niego tylko tłem.

Dziewczyna miała włosy jak szczerze złoto, falujące i gęste, upięte misternie na kształtnej główce, tylko kilka niesfornych loczków wiło się jej na karku. Była smukła, a zarazem - co zauważył z przyjemnością - rozkosznie zaokrąglona. Poruszała się z naturalnym wdziękiem, a jej powabne kształty spowijała suknia w odcieniu sugerującym, że jej właścicielka nie jest już debiutantką.

Czy zatem na bal przybyła jako czyjaś narzeczona, kobieta zamężna, może jako panna na wydaniu?

Zaintrygowany Jack zwrócił się do lady Asfordby.

- Tak się złożyło, że nie znam jeszcze zbyt wielu sąsiadów. Czy mógłbym panią prosić, by zechciała mnie przedstawić?

Lady Asfordby w tej chwili tylko o tym marzyła.

- Śmierć twojej ciotki to dla nas wielka strata. A jak się mie-  
wa twój ojciec?

Odpowiadając na te i tym podobne pytania, dotyczące całej rodziny Lesterów, którą lady znała od dzieciństwa, Jack nie tracił z oczu nieznajomej. Ukrywając prawdziwą przyczynę swego zainteresowania, co chwila zatrzymywał się, aby pogawędzić

z każdym, kogo lady uznała za stosowne mu przedstawić, a zarazem sprytnie kierował gospodynię w stronę fotela, przy którym teraz stała złotowłosa.

Wokół niej zgromadził się wianuszek nieco już podstarzałych panów, by porozmawiać w przerwie między kolejnymi tańcami. Dwie młode damy podeszły i włączyły się do rozmowy, a nieznajoma powitała je miłym uśmiechem.

Dwukrotnie Jack przyłapał ją na tym, jak na niego zerkała, lecz za każdym razem natychmiast odwracała wzrok. Uśmiechając się uprzejmie, cierpliwie wymieniał grzeczności z przedstawianą mu kolejną matroną z sąsiedztwa.

Wreszcie lady Asfordby odwróciła się we właściwą stronę.

- Musisz, oczywiście, poznać panią Webb. Jej mężem jest na pewno znany ci Horatio Webb z Webb Park, finansista.

W mózgu Jacka zapaliło się światełko, nazwisko to bowiem skojarzyło mu się z końmi i polowaniem. Tymczasem lady Asfordby już prowadziła go w kierunku fotela, na którym siedziała elegancka matrona dobrotliwie spoglądająca na młodą panienkę, niewątpliwie swoją córkę, oraz na złotowłosą nieznajomą. Lady Asfordby dokonała prezentacji i nim Jack się zorientował, już pochylał się nad delikatną dłonią, czując na sobie badawczy wzrok jasnoniebieskich oczu.

- Dobry wieczór, panie Lester. Przyjechał pan tu na polowanie?

- Tak, madame. - Jack uśmiechnął się z rezerwą. Natychmiast rozpoznał typ, który reprezentowała pani Webb, i domyślił się, że jego złotowłosa jest pod szczególnie troskliwą opieką.

- Pozwolę sobie przedstawić panu moją córkę, Clarisę. - Panienska spłonęła purpurowym rumieńcem i z wdziękiem dygnęła, nie była jednak zdolna wykrztusić słowa. Lucilla uniosła brwi, spojrzała wymownie na lady Asfordby, a potem jej wzrok spoczął na Sophie pogrążonej w rozmowie ze znajomymi.

Władczym gestem udało jej się zwrócić uwagę dziewczyny. - Musi pan również poznać moją siostrzenicę, Sophie Winterton - ciągnęła, uwalniając Jacka od oniemiałej Clarissy. - A może zdążyliście już się poznać w Londynie? Sophie kilka lat temu pojechała na sezon do stolicy, lecz nie zabawiła tam długo, gdyż nagle zmarła jej matka. - Lucilla przeniosła wzrok na siostrzenicę. - Sophie, oto pan Jack Lester.

Czuając na sobie badawczy wzrok ciotki, Sophie zachowała kamienną twarz. Dygnęła uprzejmie i opanowanym gestem podała rękę panu Lesterowi, pilnie unikając jego spojrzenia.

Zauważyła go od razu, gdy tylko pojawił się w drzwiach sali, i natychmiast zaintrygowała ją jego posępna, mroczna uroda. W czarnym fraku doskonale podkreślającym postawną sylwetkę, z gęstwiną ciemnych włosów opadających na czoło, i przenikliwym spojrzeniem szafirowych oczu, przywodził na myśl gotowego do ataku drapieżnika. Kiedy poczuła na sobie jego wzrok, na chwilę zgubiła taneczny rytm, a serce szybciej zabiło w jej piersi.

Teraz, gdy te ciemnoniebieskie oczy spoglądały na nią z bliska, uniosła głowę i ze spokojem oświadczyła:

- Pan Lester i ja nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać, ciociu. Jack ujął jej rękę i stwierdził z galanterią:

- Uważam to za złośliwość losu.

Sophie poczuła, że wewnątrz drży. Jack miał głos głęboki i niewiarygodnie męski. Kiedy już się opanowała, podniosła wzrok. Jack popatrzył jej w oczy i nagle się uśmiechnął.

Sophie zeszywniała. Unosząc dumnie podbródek, wytrzymała jego spojrzenie.

- Często pan tu poluje?

Uśmiech dosięgnął jego oczu, a prawie niezauważalna zmiana pozycji zmniejszyła dzielący ich dystans.

- Tak, panno Winterton. Wczoraj brałem udział w gonitwie w Quorn.

Sophie udała, że nie dostrzega błysku w jego oczach.

- Mój wuj też jest zapalonym myśliwym. - Zerknęła w bok i zobaczyła, że ciotka jest pogrążona w rozmowie z lady Asfordby, natomiast szerokie ramiona pana Lestera skutecznie odgradziły dziewczynę od kręgu znajomych.

- Ach, tak? - Jack wyraził uprzejme zainteresowanie. Jego wzrok spoczął na drobnych dłoniach, które Sophie spłotła przed sobą, a potem powędrował w górę, nabierając ciepłego wyrazu. - Zdaje się, pani ciotka wspominała, że bawiła już pani kiedyś w Londynie.

- Debiutowałam w stolicy cztery lata temu, lecz wkrótce potem moja matka zachorowała i zmarła.

- I nigdy więcej nie wróciła tam pani? Co za okrucieństwo losu.

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane niemal szeptem. Wszelkie wątpliwości, jakie Sophie mogła żywić co do osoby pana Lestera, w tym momencie się rozwiały. Spojrzała mu w oczy, a on łagodnie się uśmiechnął.

- Ojciec głęboko przeżył śmierć mojej matki. Wycofał się, a ja pozostałam z nim w naszym domu w Northamptonshire i pomagałam zarządzać majątkiem.

Spodziewała się zupełnie innej reakcji, tymczasem we wzroku pana Lestera błysnął niekłamany podziw.

- Pani lojalność wobec pogrążonego w żałobie ojca zasługuje na najwyższy szacunek - powiedział z powagą, a panna Winterton skłoniła głowę i odwróciła wzrok. Zachwycał się idealnym owalem jej twarzy, niebieskimi oczami w lśniacej, ciemnej oprawie, prostym noskiem oraz pełnymi ustami w kolorze dojrziałych poziomek. Dziewczyna miała zdecydowany podbródek, a cerę gładką i kremową jak najczystsza dewońska śmietanka. Jack chrząknął. - A więc nie powróciła już pani do Londynu?

- Nie, i nawet o tym nie myślałam, byłam bowiem zbyt zajęta, a ponadto często jeździłam z wizytami do sióstr ojca do Bath i Tonbridge Wells. - Podniosła wzrok i roześmiała się na widok komicznej miny pana Lestera.

- Tonbridge Wells? - powtórzył z emfazą. - Droga panno Winterton, czyż ciężar tych szacownych zabytków pani nie przytłaczał?

Sophie mimowolnie zachichotała.

- Rzeczywiście, mało tam życia. Na szczęście moja matka miała wiele przyjaciółek, które często zapraszają mnie do siebie. W domu nieraz tęskniłam za młodszym towarzystwem. Po śmierci mamy ojciec zupełnie odciął się od świata.

- A teraz?

- Moja ciotka - Sophie skinęła w stronę Lucilli siedzącej na fotelu, który dziwnym trafem był już oddalony o dobry krok - zdołała namówić papę, żeby wziął udział w ekspedycji naukowej. Papa jest paleontologiem. - Zza długich rzęs rzuciła mu wyczekujące spojrzenie. Jack uniósł pytająco brwi, a wtedy wargi Sophie drgnęły w uśmiechu. - Zajmuje się starymi kośćmi - wyjaśniła konspiracyjnym szeptem. Nagle wydało jej się, że mimo ostentacyjnej pewności siebie pan Lester może wcale nie jest takim cynikiem, za jakiego chciałby uchodzić.

W tej samej chwili Jack spojrzał na nią przenikliwie i zanim zdążyła się wycofać, uniósł głowę i powiedział:

- O ile słuch mnie nie myli, orkiestra właśnie zaczyna grać walca. Czy wyświadczy mi pani ten zaszczyt, panno Winterton, i zechce ze mną zatańczyć?

Zaproszenie zostało poparte uśmiechem, lecz wzrok pana Lestera wyraźnie mówił, iż nie przyjmie odmowy.

Pełnym wdzięku skinieniem Sophie przyjęła wyzwanie, jednak jej wystudiowany spokój omal nie prysł, gdy znalazła się na parkiecie. Ramię Jacka władcym uściskiem otoczyło jej kibić,

a dziewczyna mimowolnie zadrżała. Lester zawirował z nią, a ona poczuła się lżejsza niż piórko - przed wzleceniem w powietrze ratowało ją jego silne ramię oraz dotyk gorącej dłoni.

Nigdy dotąd w taki sposób nie tańczyła walca. Poruszała się jak we śnie, wiedzona jedynie instynktem, a jej stopy fruwały nad posadzką. Wreszcie odważyła się podnieść wzrok.

- Świetnie pan tańczy, sir.

Spod ciężkich powiek spojrzały na nią szafirowe oczy.

- Wiele praktykowałem, moja droga.

Znaczenie jego słów było tak oczywiste, że Sophie powinna spłonąć rumieńcem, lecz znalazła w sobie dość odwagi, by wdzięcznie się uśmiechnąć. Podświadomie wyczuwając jednak grożące jej ze strony Lestera niebezpieczeństwo, nie próbowała już więcej nawiązać rozmowy.

Jack też wolał milczeć. Wiedział już o pannie Winterton wszystko, co chciał wiedzieć, zaś uwolniony od konwersacji, mógł bez reszty oddać się przyjemności trzymania Sophie w ramionach. A ona tak doskonale do nich pasowała! Nie była ani za wysoka, ani - Bogu dzięki — za niska. Gdyby przysunęła się nieco bliżej, jej loki muskałyby go w nos, a czołem dotknęłaby jego podbródka, lecz panna Winterton nie czuła się na tyle rozluźniona, by postąpić w tak śmiały sposób, co zresztą było zupełnie zrozumiałe. Mimo to zdawała się zadowolona, że trzymał ją w ramionach. Z trudem powściągnął pokusę, by korzystając z przywilejów tańca, przytulić dziewczynę do siebie, jednak po pierwsze, zbyt wiele oczu na nich spoglądało, a po drugie, piękna Sophie wcale jeszcze nie wiedziała, że pan Lester nieodwołalnie uznał ją za swoją własność.

Zabrzmiały ostatnie takty walca. Jack spojrzał z uśmiechem na partnerkę i podał jej ramię.

- Pozwoli pani, panno Winterton, że odprowadzę panią do ciotki.



- Dziękuję panu. - Ruszyła na miejsce, przybierając maskę chłodnego spokoju. Jednak zamiast zostawić ją u boku ciotki, pan Lester skinął uprzejmie Lucilli, po czym podprowadził Sophie do kręgu, który właśnie zaczynał się formować. Sophie poczuła, że nerwy ma coraz bardziej napięte. Spojrzała na muzykantów, którzy właśnie zaczęli stroić instrumenty.

- Cieszę się, Lester, że nie należysz do tych londyńskich dandysów, którzy uważają, że są ponad tańce na wiejskich balach. - Uważne spojrzenie lady Asfordby omiotło zgromadzony krąg i zatrzymało się na rozpromienionej młodej panience. - Wydaje mi się, że panna Elderbridge z radością wyświadczy panu ten zaszczyt.

W tej sytuacji Jackowi nie pozostało nic innego, jak tylko skłonić się przed rzeczoną panną, która z przejęciem zapewniła go, że z najwyższą przyjemnością ofiaruje mu kolejny taniec. Słyszac głos Sophie, Jack odwrócił się i zobaczył, jak dziewczyna kładzie rękę na ramieniu nowego tancerza. Odczekał na właściwy moment, a kiedy ich spojrzenia znów się spotkały, rzucił półgłosem:

- Jeszcze się spotkamy, panno Winterton.

Sophie otworzyła szeroko oczy, a potem, trzepocząc rzęsami, skłoniła głowę. Wirując w ramionach swojego tancerza wciąż miała w uszach słowa, którymi pożegnał ją Lester. Serce biło jej tak głośno, że z trudem przychodziło jej skoncentrować się na rozmowie z panem Simpkinsem.

Pożegnalne słowa pana Lestera zawierały podtekst - a ona nie wiedziała, czy właściwie zrozumiała jego intencje.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Intencje pana Lestera były jednak zupełnie jednoznaczne. Do takiego wniosku doszła Sophie, kiedy nazajutrz wysiadała z powozu państwa Webb przed bramą cmentarza. Wtedy właśnie dostrzegła zarys szerokich pleców i od razu rozpoznała Jacka poradzającego się między grobami. Ledwo na niego spojrzała, natychmiast odwrócił się, jakby czując na sobie jej wzrok. Białe zęby błysnęły w uśmiechu. Nagłe szturchnięcie przez Clarissę uświadomiło Sophie, gdzie się znajdują. Szybko się opanowała i zeskoczyła na ziemię.

W zaciszu cmentarnej bramy długo czegoś szukała w swojej torebce i wygładzała fałdy bordowej peleryny, podczas gdy jej kuzyni Jeremy, George, Amy i Clarissa (bliźnięta Henry i Hermione były jeszcze zbyt małe, żeby zabierać je do kościoła), wysiadali kolejno z powozu i pod czujnym okiem matki poprawiali na sobie ubrania. Kiedy wreszcie Lucilla dała znak, wszyscy ustawili się gęsiego. Na czele, tuż za matką, szła Amy, za nią Sophie z Clarissą; pochód zamykali dwaj chłopcy.

Kiedy zaczęli wchodzić po schodach, Sophie przezornie starała się nie patrzeć w lewo, w stronę cmentarza, tylko szła ze wzrokiem utkwionym w wyniosłej wieży, rysującej się ciemnym konturem na tle nieba. Tego roku marzec miał wyjątkowo łagodną aurę. Po bładoniebieskim błękicie płynęły białe obłoczki, popychane orzeźwiającym wiatrem.

- Dzień dobry, pani Webb.

Grupa zatrzymała się. Mimo iż Sophie miała przed sobą je-

dynie plecy ciotki, odniosła wrażenie, że nawet tę niewzruszoną matronę zaskoczył widok Jacka Lestera, który uprzejmie się przed nią skłonił u drzwi kościoła. Tor jego bezcelowej na pozór wędrówki dziwnym trafem przeciął się w tym miejscu z ich drogą.

- Pan Lester! Co za szczęśliwy traf! - Ciotka była wyraźnie uradowana. - Nie spodziewaliśmy się, że tak szybko pana spotkamy. Zechce pan zasiąść z nami w naszej ławce?

- Z najwyższą przyjemnością, madame. - Dopiero teraz Jack spojrział na Sophie i uśmiechnął się. - Dzień dobry, panno Winterton. Dzień dobry, panno Webb. - Skinął głową Clarissie.

Sophie dygnęła i podała mu rękę.

- Sophie, kochanie, wskaż panu Lesterowi drogę, a ja zajmę się naszą trzódką. - Ciotka wykonała nieokreślony gest w stronę swojej progenitury, która i bez jej pomocy trafiłaby do ławki zajmowanej od lat przez rodzinę Webbów.

Kiedy Lucilla wprowadziła dzieci do kościoła, panna Winterton odważyła się spojrzeć w górę. Wzrok jej napotkał parę ciemnoniebieskich oczu, z których wyzierało życzliwe zrozumienie.

- Pozwoli pani, panno Winterton? - Szarmanckim gestem Jack zaoferował jej ramię, a kiedy się zawahała, uniósł lekko brwi.

Z dumnie podniesioną głową Sophie położyła dłoń na jego ramieniu, a on poprowadził ją do drzwi. Ich wspólne pojawienie się w mrocznej nawie wywołało powszechne poruszenie. Dochodziła jedenasta i kościół prawie się już wypełnił. Sophie ze spokojem wskazała Jackowi dwie ławki, gdzie już siedzieli jej kuzyni. Kiedy szli środkiem kościoła, dziewczyna podchwyciła niechętnie spojrzenie pani Marston oraz pełen dezaprobaty wzrok jej syna.

Zaciskając wargi, aby się nie roześmiać, pomyślała, że skoro wydarzyło się to w domu bożym, być może pan Lester został przyślany przez Stwórcę po to, żeby jej ułatwić niewdzięczne zadanie odrzucenia konkurów pana Marstona. Nie miała jednak czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo już po chwili siedziała w ławce Webbów, pomiędzy Lucillą a panem Lesterem. Na szczęście pastor, pan Snodgrass, nie kazał na siebie długo czekać.

Wkrótce przekonała się też z ulgą, że pan Lester zachowuje się nienagannie, jakby chodzenie do kościoła w niedzielę naprawdę należało do jego obyczajów.

Siedząc u jej boku, Lester czekał tylko sposobnej chwili.

Kiedy wszyscy wstali, żeby odśpiewać pierwszy hymn, dotknął odzianej w rękawiczkę dłoni Sophie, nachylił się ku dziewczynie i wyszeptał:

- Nie spodziewałem się, panno Winterton, że podczas pobytu w Leicestershire będę chodził do kościoła.

Podniosła na niego oczy, a potem spuściła wzrok na książeczkę oprawną w niebieską skórę. Nie było sensu zastanawiać się dłużej nad przyczyną, jaka sprowadziła Jacka do małego kościółka w Aflingham Downs. Zajęta przerzucaniem stron modlitewnika znów podniosła na Lestera oczy, które, zgodnie z jej intencją, miały wyrażać niedowierzenie.

- Możemy przecież wspólnie korzystać z mojej książeczki - zaproponowała uprzejmym tonem.

Odpowiedział jej tak niewinnym uśmiechem, że gdyby nie znała go lepiej, mogłaby uwierzyć, że tylko przez zwykłe niedopatrzenie zapomniał swojego modlitewnika. Z książeczką w rękę zwróciła się ku Lesterowi.

Zabrzmiały organy. Nabierając tchu w płuca, Sophie lekko zadrżała, ponieważ pod pretekstem wspólnego czytania ze śpiewnika Lester przysunął się bliżej. Jego ramię znajdowało się za jej plecami, zaś jej ramię tuż przy jego torsie. Czuła bijące

od niego ciepło, a na karku przeszywające spojrzenia pani Marston oraz jej syna.

Kiedy jej dłoń zaczęła drżeć, ręka Lestera podtrzymała śpiewnik. Stał tak blisko, z pochyloną głową, a jego oczy musiały znajdować się tuż obok, podobnie jak usta. Najwyższym wysiłkiem woli Sophie próbowała skoncentrować się na śpiewie, ale i tu przeszkodą okazał się ciepły, głęboki baryton pana Lestera, doskonale współbrzmiały z jej sopranem.

Śpiewali przepojony radością hymn pochwalny.

Kiedy skończyli, Sophie zakręciło się w głowie, więc raz i drugi zaczerpnęła tchu.

Jej towarzysz zawahał się; czuła na sobie jego wzrok, A potem wziął z jej ręki modlitewnik, zamknął go i z powrotem oddał.

- Dziękuję, panno Winterton.

To okazało się silniejsze od niej. Musiała na niego spojrzeć. Niebieskie oczy, pełne wewnętrznego ciepła, były tak blisko, jak to sobie wyobrażała. Jej uwagę przykuły zwłaszcza jego usta, rozchylone w uśmiechu.

Na moment czas stanął w miejscu.

Sophie wstrzymała oddech i pochyliła głowę.

Usiedli jako ostatni.

Kazanie nie przyniosło ukojenia. Pastorowi Snodgrassowi nie udało się wygrać z jej myślami oraz świadomością, że pan Lester jest tuż obok. Drugi hymn przeżyła jedynie dlatego, że wreszcie pojęła, w czym tkwiło niebezpieczeństwo. Śpiewała ile sił w piersi, ignorując głos Jacka. Tylko tyle mogła zrobić, bo jego osoby nie dało się tak łatwo zignorować.

Kiedy po nabożeństwie środkiem głównej nawy szli do wyjścia, poczuła pewną ulgę. Kościół opuścili jako ostatni. Lucilla z dziećmi była już na dworze i przystanęła na schodach, by jak zwykle zamienić parę słów z wikarym.

- Pastor zna, oczywiście, Sophie - powiedziała, a duchowny ski-

nał głową i z promiennym uśmiechem uściśnął rękę dziewczyny. - Nie jestem jednak pewna, czy zdążył już pastor poznać pana Lestera z Rawling's Cottage. - Wskazała na Jacka, który stał tuż za Sophie.

- Ach, tak? - Pan Snodgrass był roztargnionym pocziw-  
cem. - Nie przypominam sobie, żebym znał kogokolwiek  
z Rawling's Cottage. - Mrugając oczami, spojrział na Jacka.

- Rzadko bywam w tych stronach - powiedział Lester, ści-  
-kając podaną mu rękę.

- No tak. - Pastor ze zrozumieniem pokiwał głową. - Za-  
pewne przyjechał pan na polowanie?

- Tak jest. - Jack zerknął na Sophie.

Dziewczyna odwróciła wzrok. Ciotka zatrzymała się nieco  
Mej, aby porozmawiać z panią Marston. Clarissa czekała z bo-  
ku, ze znudzoną miną, przeznaczoną dla Neda Ascombe'a, który  
stał nieopodal, z równie obojętnym wyrazem twarzy. Na widok  
ukradkowych spojrzeń, jakie ta para raz po raz sobie rzucała,  
Sophie uśmiechnęła się do siebie z poczuciem wyższości, po  
czym wolnym krokiem zbliżyła się do ciotki.

Jack chciał pójść za nią, ale zatrzymał go pastor.

- Dawniej polowałem z Cottesmore'ami, co za wspaniałe  
towarzystwo. Major Coffin był wtedy łowczym. - Duchowny  
urwał i pograżył się w miłych wspomnieniach.

Kątem oka Jack spostrzegł, że Sophie podeszła do ciotki,  
która właśnie rozmawiała z tęgą matroną, spowitą w wełniane  
szale.

- Był też, oczywiście, pan Dunbar...

Nagle jakiś ciemno ubrany młodzieniec podszedł do Sophie.  
Jack natychmiast odwrócił się do pana Snodgrassa.

- Ma pastor absolutną rację. Cottesmore'owie to rzeczywi-  
ście wspaniali ludzie. Proszę wybaczyć, ale wydaje mi się, że  
panna Winterton mnie potrzebuje.

Pożegnał go skinieniem głowy i szybkim krokiem ruszył ku Sophie. Dotarł w samą porę, by usłyszeć, jak nieznajomy dżentelmen zwraca się do niej tonem, który wydał mu się zdecydowanie zbyt poufały:

- Wspomniała pani, że wraz z ciotką pod koniec tygodnia wybiera się pani do Londynu. Czy mogę mieć nadzieję, że jeszcze ujrzę panią przed wyjazdem?

Sophie propozycja ta wcale nie przypadła do gustu.

- Panie Marston - powiedziała z uprzejmym uśmiechem - mojej ciotce będzie jak zawsze bardzo miło, gdy zechce nas pan odwiedzić wraz ze swoją matką. Nie znam jednak planów cioci na ten tydzień. Przeprowadzka całej rodziny do miasta to sprawa bardzo skomplikowana.

Czując na sobie czyjś wzrok, odwróciła się i z ulgą spostrzegła pana Lestera, który jednak nie patrzył już na nią, tylko surowym wzrokiem mierzył pana Marstona.

- O ile pamiętam - zwróciła się Sophie do Jacka - przedstawiałam już panu pana Marstona.

Lester zwrócił na moment wzrok w jej stronę.

- W rzeczy samej, panno Winterton - powiedział, po czym zimno skinał intruzowi głową.

Marston wyprostował się, wciągnął policzki, zadarł nos i sucho powiedział:

- Witam, Lester - po czym zwrócił się do Sophie: - Muszę powiedzieć, panno Winterton, że pani Webb ma zbyt miękkie serce, jeżeli chodzi o młodsze dzieci. One są jeszcze za małe na takie wyprawy. - Obrzucił surowym wzrokiem Jeremy'ego i George'a, którzy właśnie ścigali się między grobami. - Powinni siedzieć w domu i odrabiać lekcje.

- Ależ nie, panie Marston, niech pan raczej pomyśli o tym, jak pouczająca będzie dla nich ta podróż. - Sophie nie dodała przy tym, że określenie „miękkie serce” stanowczo nie pasuje

do jej ciotki. Lucilla mogła sprawiać wrażenie kruchej istoty, lecz wolę miała żelazną. Sophie dobrze znała tę kombinację, ponieważ jej własna matka była taka sama. - Dzieci tak bardzo cieszą się na ten wyjazd.

- Wydaje mi się, Marston, że to państwo Webb decydują o takich sprawach.

Sophie zamrugała ze zdumienia, słysząc pełen wyższości ton Lestera. Odwróciła się i zobaczyła przed sobą ramię Jacka.

- Pozwolę sobie odprowadzić panią do powozu, panno Winterton. Pani ciotka już poszła.

Musiała przyznać, że wyraz jego twarzy lekko ją zaskoczył. Pod maską uprzejmej obojętności wyczuła napięcie, którego przyczyny nie potrafiła odgadnąć. Mimo to z radością powitała pretekst, by uwolnić się od Phillipa Marstona, tym bardziej że był tego dnia nastawiony do świata wyjątkowo zgryźliwie.

- Dziękuję panu - zwróciła się do Lestera bez uśmiechu. Przyjęła jego ramię, odwróciła głowę i zobaczyła, że pan Marston dziwnie się zasepił.

- Zegnam, panie Marston - powiedziała.

Nagle uświadomiła sobie, że stoi przy boku Lestera u szczytu schodów. Serce podeszło jej do gardła.

Jack patrzył na nią ciepłym wzrokiem.

- Z przyjemnością pomogę pani zejść po schodach, moja droga. Tyle przynajmniej mogę zrobić w rewanżu za wspólnie pędzony poranek.

Sophie nie musiała się odwracać, by mieć pewność, że Phillip Marston i jego matka idą tuż za nimi.

- Rzeczywiście jest pan moim dłużnikiem, panie Lester - powiedziała.

Jack uśmiechnął się.

- Z radością zrewanżuję się za pani uprzejmość, panno Winterton, gdy już spotkamy się w Londynie.



Zabrzmiało to jak obietnica, którą potwierdziła jej ciotka, gdy tylko podeszli do powozu.

- Chętnie bym pana do nas zaprosiła, sir - oświadczyła Lucilla - ale ponieważ już wkrótce wyjeżdżamy, byłoby to niezbyt rozsądne. Może wobec tego odwiedzi pan nas w Londynie?

- Z najwyższą przyjemnością. - Drzwi powozu zamknęły się i Lester uprzejmie się uklonił. - Nie mogę się już doczekać spotkania. Zegnam miłe panie - dodał, spoglądając Sophie w oczy.

Skinęła mu na pożegnanie. Powóz ruszył i konie odnalazły właściwe tempo. Odjeżdżając, Sophie zachowała pod powiekami obraz postawnej sylwetki Lestera, który wyparł z jej pamięci bladą postać pana Marstona. Oparła głowę o skórzane poduszki, usiłując zebrać rozproszone myśli.

A jednak, mimo zamętu panującego w jej sercu, zdołała zauważyć, że ciotka przez całą drogę do domu nie przestawała się uśmiechać.

W rezydencji Webbów niedzielne popołudnia zwykły upływać bardzo spokojnie, a Sophie z reguły spędzała je w ustronnej bawialni. W domu zamieszkiwanym przez piątkę psotnych dzieci zawsze znalazł się stos bielizny do pocerowania. I choć do najcięższych prac zatrudniono szwaczkę, Lucilla zachęcała Clarissę i Sophie, by pomagały w szyciu wymagającym większej precyzji.

Sophie usiadła wygodnie na jednej z rozłożystych, starych kanap. Igła w jej ręku połyskiwała blado w promieniach słońca, wpadających przez wysokie okna. Ręce zajęte miała robótką, lecz myślami była daleko.

Kiedy skrzypnęły drzwi, podniosła głowę.

- Przyszła Melly. - Do pokoju weszła Clarissa, a za nią jej najserdeczniejsza przyjaciółka, Mellicent Hawthorne.

Sophie serdecznym uśmiechem powitała pulchną szatynkę, przypominającą nieco radosnego psiaka. Wrażenie to potęgowały jeszcze brązowe włosy zwisające w rurkach wokół twarzy jak uszy spaniela oraz olbrzymie piwne oczy, które w tej chwili lśniły z podniecenia.

- Mama rozmawiasz panią Webb, więc mam co najmniej godzinę, a to mnóstwo czasu. - Melly zwinęła się w fotelu, a Clarissa usiadła w drugim rogu kanapy. Gdy sięgnęła po igłę, Melly zaproponowała:

- Chcecie, to wam pomogę?

Kuzynki wymieniły szybkie spojrzenia.

- Nie, nie trzeba - pospieszenie zapewniła Clarissa. - Nie mamy zbyt wiele do roboty - dodała, udając, że nie widzi kosayka pełnego bielizny do pocerowania.

- To dobrze - stwierdziła z ulgą Melly. - Obawiam się, że mama ze mnie szwaczka.

Sophie przygryzła wargi, a Clarissa pochyliła się nad robótką. Ostatnim razem, kiedy Melly „pomagała” im w szyciu, należało potem spruć i wyprać połowę rzeczy, żeby usunąć plamki krwi, bo tak bardzo pokłuła sobie igłą palce.

- Mam nadzieję, że pani Webb nie każe wam szyć w Londynie. Oooch! - Melly aż jęknęła. - Nie macie pojęcia, jak bardzo wam zazdroszczę! Mogę sobie tylko wyobrazić, że jestem w stolicy, otoczona wielbicielami i londyńskimi elegantami, takimi jak pan Lester.

Clarissa uniosła głowę, a oczy jej się zaświeciły.

- Masz rację, już nie mogę się doczekać! To będzie coś wspaniałego! Eleganckie towarzystwo i ci wszyscy dżentelmeni. Oni na pewno są znacznie atrakcyjniejsi od tutejszych panów. No bo czemu nie? - Wzruszyła ramionami. - Ach, to takie podniecające!

Zapał, z jakim Clarissa wygłosiła swoją pochwałę londyń-

skiej socjety, sprawił, że Sophie zerknęła znad robótki. Oczy kuzynki lśniły niewinną nadzieją. Sophie zmarszczyła brwi, a po chwili rzuciła:

- Nie powinnaś oceniać wszystkich londyńskich dżentelmenów według pana Lestera, Clarisso.

Niestety, Clarissa zrozumiała ją opacznie.

- Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł być bardziej elegancki od niego. Frak, który nosił na balu, był idealny, a dziś rano także wyglądał wspaniale. Musisz przyznać, że on ma w sobie coś. - Clarissa przerwała, zaczerpnęła tchu, po czym ciągnęła: - Zauważyłaś, z jakim wdziękiem się kłania? Przy nim wszyscy wydają się tacy niezdarni. Poza tym wyraża się tak elegancko.

- A jego głos! - dorzuciła Melly. - Na samo wspomnienie cała aż drzę.

Sophie boleśnie ukłuła się w palec. Marszcząc brwi, podniosła go do ust i wysssała kropelkę krwi.

- A jak on tańczy walca! Jak młody bóg... rozumiecie, co mam na myśli - dodała z entuzjazmem Clarissa.

- Niestety, nie miałyśmy zbyt wiele okazji, aby z nim porozmawiać - zauważyła Melly.

- Och... - Clarissa lekceważąco machnęła ręką. - Założę się, że w rozmowie także jest bardzo elegancki. Nie mam co do tego wątpliwości. Przecież pan Lester obraca się w najlepszych kręgach, a tam umiejętność konwersacji jest nieodzowna. Nie uważasz, Sophie?

- To możliwe. - Panna Winterton znów sięgnęła po igłę. - Musisz jednak pamiętać, że w kontaktach z dżentelmenami obdarzonymi tyłoma zaletami należy mieć się na baczności.

Clarissa, której oczy lśniły radosnym blaskiem, a policzki płonęły rumieńcem, nie zamierzała przyjąć do wiadomości tego ostrzeżenia.

- Ależ nie - powiedziała, kręcąc głową. - Mylisz się, Sophie. On ma wielkie życiowe doświadczenie i z całą pewnością można mu zaufać, jak również podobnym mu dżentelmenom. Jestem przekonana, że wiedzą, jak należy postępować z kobietami.

Sophie ukradkiem zrobiła powątpiewającą minę. Była absolutnie przekonana, że Jack Lester doskonale wiedział, jak należy postępować z kobietami, ale na pewno nie w takim sensie, o jaki chodziło Clarissie.

- Musisz mi wierzyć, kiedy mówię, że będziesz znacznie bardziej bezpieczna z mężczyznami, którzy mają nieco mniej doświadczenia niż pan Lester.

- Daj spokój, Sophie. - Kuzynka spojrzała na nią ze zdumieniem. - Czy masz do niego jakąś awersję? Jak możesz? Musisz przecież przyznać, że on jest bosko przystojny.

Kiedy stało się jasne, że ani Clarissa, ani Melly nie zadowolą się zdawkową odpowiedzią, Sophie westchnęła.

- No dobrze, niech wam będzie. On rzeczywiście jest bardzo przystojny.

- I elegancki?

- I elegancki. Jednak.

- I jest też straszliwie... - w tym momencie Melly zawiodła wyobraźnia - ..uroczy - dokończyła po namyśle.

Sophie spojrzała surowo na obie panienki.

- I uroczy. Mimo to...

- I taki wytworny w rozmowie, prawda?

- Clarisso! - skarciła kuzynkę Sophie.

- A nie jest? - spytała ze śmiechem dziewczyna.

Sophie mimowiednie uśmiechnęła się.

- No dobrze - skapitulowała, unosząc rękę. - Przyznaję, że pan Lester jest niedościgłym wzorem męskich cnót.

- I dobrze ci się z nim tańczyło, prawda? Susan Elderbridge

była w siódmym niebie, a przecież przypadł jej tylko prosty ludowy taniec

Sophie wolala nie pamiętać ani walca, ani żadnej innej okazji przy której miała do czynienia z panem Lesterem. Niestety, wspomnienia same nasuwały się ze zdwojoną siłą, a oczy Jacka rozświeślały jej wyobraźnię szafirowym blaskiem... któremu jednak nie mogła zaufać.

Zamrugła i skupiła uwagę na twarzy Clarissy, z której wprost biła niewinna ciekawość.

- Pan Lester jest w tych sprawach bardzo... bardzo biegły.

Tym stwierdzeniem zamknęła dyskusję i pochyliła się nad szyciem, w nadziei, że kuzynka zrozumie aluzję.

Jednak Clarissa jeszcze nie skończyła.

- Czyli jesteśmy zgodne! - wykrzyknęła, wymachując z entuzjazmem rękami. - Pan Lester to ideał, marzenie każdej dziewczyny. Dlaczego więc, Sophie, nie chcesz znaleźć szczęścia w jego ramionach?

- W jego albo kogoś takiego jak on - dorzuciła bardziej pragmatyczna Melly.

Sophie przez chwilę milczała. Zanim jeszcze Clarissa głośno zadała jej to pytanie, próbowała znaleźć odpowiedź. Czy jej odczucia są zwyczajną reakcją na mężczyzn takich jak Jack Lester? A może... Szybko odsunęła od siebie tę myśl.

- Dlatego, Clarisso - odparła wreszcie, składając pocerowaną koszulę Jeremy'ego - że to bardzo nierozsądne myśleć w taki sposób o mężczyznach pokroju pana Lestera.

- Ale dlaczego?

Sophie westchnęła i rzuciła:

- Bo to lekkoduch i uwodziciel.

Więc jednak to powiedziała. Jakie to smutne, że musiała wylać kubeł zimnej wody na głowy tych dwóch panienek.

Dwie pary oczu zrobiły się okrągłe, a dwie pary ust otworzyły się ze zdumienia.

Pierwsza opamiętała się Clarissa.

- Naprawdę? - zapytała takim tonem, jakby dokonała jakiegoś skandalicznego odkrycia.

- Nie! - krzyknęła Melly. - Skąd możesz to wiedzieć?

We wzroku Clarissy również malowało się to pytanie.

Sophie stłumiła westchnienie. Jak mogła im to wytłumaczyć? Ten subtelny błysk w jego oczach? Te dwuznaczne nuty głosu? Te nieco zbyt gładkie maniery? A potem przypomniała sobie coś, co uderzyło ją, gdy tylko zobaczyła Jacka Lestera w progu sali balowej lady Asfordby.

- Bije od niego szczególnie arogancja. Zachowuje się tak, jakby świat był jego ostrągą, a kobiety jego perłami.

By mógł się nimi cieszyć na każde zawołanie, pomyślała i zaraz zdziwiła się, skąd coś takiego przyszło jej do głowy.

Panienci zamilkły. Po chwili Clarissa podniosła wzrok znad robótki.

- Nie chciałabym podważać twoich słów, Sophie, ale wydaje mi się, że nie masz racji. A przynajmniej jeżeli chodzi o pana Lestera.

Sophie nie oponowała, tylko spojrzała pytająco.

Clarissa poczuła przypływ odwagi.

- Gdyby pan Lester był lekkoduchem, mama by go nie zapraszała, a przecież ona nawet go zachęcała. Kiedy dziś rano go zobaczyła, wydawała się wprost zachwycona, sama to widziałas. Poza tym z własnej woli zaproponowała mu, aby usiadł 2 nami w kościele, i to właśnie koło ciebie.

Problem ten dręczył Sophie od rana. Wszystko, co mówiła Clarissa, było prawdą, panna Winterton nie miała tylko pewności, jaki cel przyświecał ciotce. Jeżeli pan Lester jest dandysem, to jednym z bardziej niebezpiecznych, jak to intuicja podpo-

wiała Sophie, to być może Lucilla chciała wykorzystać okazję, by siostrzenica mogła w jego towarzystwie poćwiczyć polski i ogładę, które to cechy niewątpliwie przydadzą się jej w Londynie.

- Tak czy owak - odezwała się Clarissa, przerywając rozmyślenia Sophie - to, co mówiłam na początku, jest niezaprzeczalną prawdą. Doświadczeni londyńscy dżentelmeni są o wiele bardziej interesujący niż dżentelmeni z prowincji.

Domyślając się, że Clarissa ma na myśli konkretnego dżentelmena mieszkającego na wsi, Sophie poczuła się w obowiązku zwrócić kuzynce uwagę na pewne sprawy.

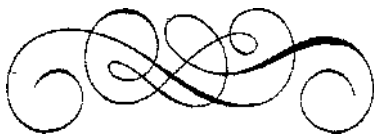
- Dżentelmeni mieszkający na wsi zyskują z wiekiem, a przecież nawet bardzo światowi mężczyźni byli kiedyś młodzi i niedoświadczeni.

Uwaga ta rozśmieszyła Melly.

- Możecie sobie wyobrazić, że pan Marston był kiedykolwiek młody?

Clarissa zachichotała. Sophie czuła, że powinna je skarcić, ale za bardzo się z nimi zgadzała, aby móc to uczynić z czystym sumieniem. Dlatego też, gdy Clarissa i Melly zaczęły plotkować o różnych poważnych panach z sąsiedztwa, próbując wyobrazić sobie ich w młodości, ona sama zastanawiała się, jakim był Jack Lester przed dziesięciu czy piętnastu laty. Jednak nie potrafiła sobie wyobrazić jego oczu bez owego szczególnego, wyrafinowanego błysku. Ganiąc się w duchu za tak płocze myśli, sięgnęła po kolejną sztukę bielizny.

O, tak, Jack Lester niewątpliwie jest urodzonym uwodzicielem, .



## ROZDZIAŁ TRZECI

Los rzeczywiście zdawał się mu sprzyjać.

Był piękny, słoneczny poranek. Jack jechał właśnie dwukółką do wsi, gdy nagle dostrzegł kilka postaci na dróżce na przeciwnym zboczach wąskiej doliny. Zmrużył oczy, patrząc pod słońce. Szczupła kobieta w znajomej wiśniowej pelerynie prowadziła starego konia zaprzęgniętego do kabrioletu. Obok podskakiwała młoda panienka.

- Wygląda na to, że mamy problem z koniem, Jigson - rzucił do służącego, który przycupnął z tyłu powozu.

- Tak, panie - odparł Jigson. - Pewnie kamyk ugrzązł mu pod podkową.

Przed nimi ukazał się wąski trakt łączący obie drogi prowadzące wzdłuż doliny. Jack uśmiechnął się i wziął zakręt.

- Dlaczego jedziemy w tamtą stronę, sir? Myślałem, że wybieramy się do wsi.

- A gdzie twoja rycerskość, Jigson? - Jack z uśmiechem skierował swoje konie na obsadzoną żywopłotem, stromą ścieżkę. - Nie możemy pozostawić naszych dam w tarapatkach.

A zwłaszcza jednej damy.

Powinien już, oczywiście, wyjechać do Londynu albo przynajmniej zniknąć z pola widzenia. Jego doświadczony szwagier na pewno doradziłby mu taki strategiczny odwrót.

„Nie należy bardziej napierać na kobietę niż na swój płot” - często powtarzał Jason. Mówił, oczywiście, o uwodzeniu, czyli o tym, z czym Jack zamierzał raz na zawsze zerwać. Postanowi-



wszy, że od tej pory będzie występował w roli starającego się o złotowłosą piękność, zdecydował się zignorować głos doświadczenia i zdać się na intuicję, która podpowiadała mu, iż ustąpienie pola Phillipowi Marstonowi nie jest dobrym pomysłem.

Marston, dobrze sytuowany właściciel majątku sąsiadującego z włościami Webbów, uchodził za człowieka poważnego. Wiejska plotka głosiła także, że szukał sobie żony, dlatego też zwrócił swoje afekty ku pannie Winterton.

Jack popędził konie, które niemal galopem pokonały mostek i wzięły ostry zakręt, tak że Jigson aż krzyknął z przerażenia. Lester marszcząc brwi, pomyślał, że być może stwarza sobie problemy tam, gdzie ich nie ma. Los nie mógłby przecież okazać się tak okrutny, by postawić na jego drodze tę złotowłosą istotę tylko po to, aby później pchnąć ją w ramiona innego. Poza tym Jigson, który często odwiedzał lokalną gospodę, nie słyszał żadnych plotek o tym, aby pan Marston wybierał się na sezon do Londynu.

Gładko pokonując kolejny zakręt, Jack odetchnął z ulgą. Jeszcze jedno zakole i znalazł się oko w oko z damami.

Sophie spojrzała w górę i ujrzała pędzący ku nim zaprzęg okazałych gniadoszy. Chwyliła Amy i zamrugła w przerażeniu, kiedy konie przemknęły tuż obok, zatrzymując się nieopodal. Dopiero wtedy zobaczyła, kto powoził.

Kiedy Jack rzucił Jigsonowi lejce i zeskoczył z eleganckiego ekwipażu, miała czas docenić piękne kształty powoziku oraz klasę koni. Lester ruszył ku niej wąską dróżką. Poły płaszcza uderzały o lśniące, skórzane buty, szyję miał omotaną kosztownym fułarem i prezentował się tak elegancko, jakby wybrał się na spacer na Bond Street. Jego promienny uśmiech wyraźnie świadczył o tym, że cieszy się z ich spotkania.

- Dzień dobry, panno Winterton.

Nie mogła mu nie odpowiedzieć,

- Dzień dobry, sir - powitała go z ujmującym uśmiechem.
- Dobbin zgubił podkowę.

Jack położył rękę na karku starego konia, po czym obejrzał końskie kopyto.

- Czy jest we wsi jakiś kowal? - zapytał.
- Tak, właśnie tam idziemy.

Lester skinął głową.

- Jigson, zaprowadź konia panny Winterton do kuźni i-powiedz kowalowi, żeby natychmiast przybił podkowę. Potem odstaw kabriolet do Webb Park i czekaj tam na mnie.

Sophie zamrugła oczami.

- Ale ja wybierałam się w odwiedziny do starej niani mojej matki. Ona mieszka na drugim końcu wsi. Odwiedzam ją w każdy poniedziałek.

W odpowiedzi Jack skłonił się szarmancko.

- Wobec tego niech mnie pani uważa za swojego woźnicę, panno Winterton. Pani także, panno Webb - dodał, patrząc na Amy, która z otwartymi ustami podziwiała jego dwukółkę.

- Nie możemy się tak panu narzucać... - Protest zamarł na ustach Sophie, gdy Jack uniósł głowę. W jego wzroku malowała się absolutna pewność siebie.

Potem przeniósł wzrok na Amy.

- A co pani na to, panno Webb? Chciałaby pani zakończyć dzisiejszy ranek małą przejażdżką?

Amy aż się zająknęła z wrażenia.

- Och! Co to będzie, gdy powiem o tym Jeremy'emu i George'owi! - Zadarła główkę do góry i obdarzyła Jacka promiennym uśmiechem, a potem wyciągnęła rączkę. - Na imię mi Amy, proszę pana.

Uśmiech Jacka był równie promienny.

- Miło mi, panno Amy. - Skłonił się przed nią szarmancko,

a po wyrazie twarzy dziewczynki uznał, że właśnie zyskał do-  
zgonną przyjaciółkę. Prostując się, rzucił Sophie triumfalne  
spojrzenie.

Zmierzyła go urażonym wzrokiem, jednak wcale nie czuła  
pretensji. Propozycja przejażdżki jego dwukołką wydała jej się  
znacznie bardziej atrakcyjna niż spacer. A poza tym Amy nawet  
nie chciała słyszeć, by miały pójść piechotą. Tym sposobem  
Sophie straciła zdolność decydowania o sobie, co niezbyt jej się  
spodobało.

Służący zajął już się Dobbinem.

- Dopilnuję, panienko, żeby kowal zrobił wszystko jak na-  
leży - powiedział z szacunkiem.

Nie miała innego wyjścia, jak tylko mu podziękować i ru-  
szyć za Jackiem i Amy. Nagle przyspieszyła kroku.

- Jeżeli pomoże mi pan wsiąść jako pierwszej, Amy mogła-  
by siedzieć między nami.

Jack odwrócił się, unosząc kpiąco brew. Zagadkowe spojrzenie,  
jakim obrzucił Sophie, wywołało rumieniec na jej policzkach.

- Słuszna uwaga, panno Winterton.

Sophie odetchnęła i wyciągnęła rękę. Lester najpierw spojrzał  
na piękną dziewczynę, a po sekundzie uniósł ją w górę jak piórko  
i posadził na wyściełanym siedzeniu dwukółki. Wstrzymała od-  
dech. Jack trzymał ją mocno, długo zaciskając palce wokół jej talii,  
a nim zwolnił uścisk, zajął Sophie w oczy. Zadrżała i oblała się  
purpurowym rumieńcem. Spuściła wzrok, zaczęła nerwowo popra-  
wiać spódnice, po czym odsunęła się, żeby zrobić miejsce dla Amy.

Lester chwycił lejce i już miał zawrócić, kiedy Sophie przy-  
pomniała sobie cel swojej wyprawy.

- Koszyk! - zawołała, odwracając się w stronę kabrioletu.  
- Dla Mildred. Jest pod siedzeniem.

Jack uspokoił ją uśmiechem. W okamgnieniu Jigson wyjął  
kosz i przeniósł do dwukółki.

- A teraz - zapytał Jack - w którą stronę?

- Na drugi koniec wioski i potem drogą do Asfordby, jakąś milę. Mildred ceni sobie spokój. Jest już dość stara.

Jack śmignął konie batem.

- O ile pamiętam, to niania pani matki, tak? Czy rodzina pani matki pochodziła z tych stron?

- Nie, z Sussex. Mildred przyjechała do Webb Park razem z ciocią Lucilla, zaraz po jej ślubie. Ciotka była młodsza, więc Mildred została przy niej.

Jack zerknął ukradkiem na nieskazitelną profil dziewczyny. Główka Amy znajdowała się tak nisko, że nie zasłaniała mu wspaniałego widoku.

- Często przejmuję pani obowiązki ciotki?

- Tak, kiedy u niej mieszkam - odparła Sophie po namyśle.

- Ciocia Lucilla jest tak bardzo zajęta. Ma jeszcze bliźniaki, młodsze od Amy. Mają teraz po sześć lat.

- Pewnie pani ciotka ma z nimi krzyż pański? - spytał z uśmiechem Jack.

- Choć w tym określeniu jest szczypta prawdy, jednak nie jest ono do końca właściwe, są to bowiem wspaniałe i urocze dzieci - odparła ze śmiechem Sophie.

- Więc stara się pani pomóc, przejmując niektóre obowiązki pani domu, tak?

- To nie są szczególnie uciążliwe zajęcia - powiedziała Sophie. - Zresztą, odkąd mama umarła, to samo robiłam w domu mojego ojca.

- Rzeczywiście, wspominała mi już pani, iż była zmuszona pomagać ojcu.

Sophie skarciła go wzrokiem.

- Musiał mnie pan źle zrozumieć, nie uważam bowiem, aby spełnianie codziennych obowiązków było czymś nadzwyczajnym lub przykrym. - Coś w tonie Jacka kazało jej pospieszyć

z tym wyjaśnieniem. - Byłam sekretarką papy zarówno w kwestiach dotyczących majątku, jak też jego prac naukowych. No i, oczywiście, od śmierci mamy zajmowałam się domem. - Niezła lista talentów, a mimo to Sophie nie mogła się powstrzymać, by nie dorzucić: - Oczywiście nie urządałam przyjęć, ale chociaż mój ojciec wycofał się z życia towarzyskiego, nie mógł tak zupełnie ignorować sąsiedzkich kontaktów. Prowadzenie tego starego domu jedynie z garstką służby to był prawdziwy koszmar! - Sophie aż się wzdrygnęła na samo wspomnienie.

- A kto teraz zajmuje się domem? - rzucił jakby mimochodem Jack, mimo iż problem ten żywo go interesował.

- Jest zamknięty - poinformowała go Sophie, nie ukrywając zadowolenia. Kiedy dwukółka weszła w zakręt, przysunęła się bliżej. - Ojciec początkowo oponował, lecz w końcu udało mi się go przekonać, żeby zostawił tylko stróża, a resztę służby zwolnił. Kto wie, papy może nie być nawet przez kilka lat.

- Wybacz mi pani moją impertynencję, nie wydaje mi się jednak, by ta perspektywa szczególnie panią martwiła. - We wzroku Jacka malowała się ciekawość.

Sophie uśmiechnęła się.

- Bo tak też jest. Cieszę się, że papa wrócił do swoich „starożytnych kości”. Był taki nieszczęśliwy po śmierci mamy, że byłaby to z mojej strony karygodna niewdzięczność, gdybym pozbawiła go źródła jedynej radości, jaka mu jeszcze pozostała. Myślę, że praca pozwala mu uwolnić się od wspomnień i dobrze mu robi zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. - Z gorzkim uśmiechem zwróciła się do Jacka. - Poza tym, mimo iż robiłam wszystko dla jego dobra, czasami potrafił być bardzo nieprzyjemny.

- Wiem, co próbuje mi pani powiedzieć. - Jack uśmiechnął się szeroko. - Mój ojciec jest dokładnie taki sam.

Sophie natychmiast skorzystała z okazji, żeby skierować rozmowę na inne tory.

- Czy jest pan jedynakiem?

- Ależ nie. - Lester spojrział na nią rozbawiony. - Jest nas czworo. - Musiał znowu zwrócić wzrok na konie, lecz mówił dalej: - Ja jestem najstarszy, a potem jest Harry. Następnie moja siostra, Lenore, która wyszła za mąż za Eversleigha, zaś beniaminkiem naszej rodziny jest Gerald. Nasza matka zmarła kilka lat temu, ale ojciec trzyma się całkiem nieźle. Zajmowała się nami ciotka Harriet, lecz tak naprawdę większość obowiązków przejęła Lenore. - Znowu spojrział z ukosa na Sophie. - Moja siostra należy do osób niezwykle zaradnych. Czuła się absolutnie szczęśliwa w Berkshire, gdzie mogła prowadzić dom i zarządzać majątkiem. Muszę ze wstydem przyznać, że kiedy przed dwoma laty wyszła za mąż, byłem kompletnie nieprzygotowany na przejęcie takich ciężarów.

Widząc gorzki grymas na jego ustach, Sophie pospiesznie spytała:

- Ale poradził pan sobie, prawda?

Jack rozpogodził się.

- Szybko się uczę. - Przez chwilę powoził ze wzrokiem utkwionym w gościńcu, a potem dorzucił: - Niestety, ciotka Harriet zmarła w zeszłym roku. Majątkiem potrafię zarządzać, ale dom... to już zupełnie inna sprawa. Jest to, podobnie jak A przypadku pani rodzinnego gniazda stara rezydencja z masą pokoi i korytarzy.

Ku swemu zdumieniu, Jack usłyszał ciche westchnienie.

- Te rezydencje są bardzo niewygodne, jednak człowiek czuje się w nich jak w prawdziwym domu, nieprawdaż?

Jack odwrócił się i spojrział na Sophie.

- No właśnie. - Przez dłuższą chwilę dziewczyna patrzyła mu w oczy, a potem nagle odwróciła wzrok. Przed nimi, po prawej, ukazały się pierwsze zabudowania wioski.

- Droga w lewo prowadzi do Asfordby.

Przejazd przez niewielką osadę wymagał od Jacka pełnego skupienia, gdyż jego dobrze ułożone gniaszki poczuły dziwną awersję najpierw do stadka gęsi przy drodze, potem do wózka z beczkami piwa, a na koniec z równowagi wytrąciło je skrzywienie wyblakłego szyldu gospody.

Kiedy mijali ostatnie domostwa, Sophie powiedziała:

- Chata Mildred jest za następnym zakrętem, po prawej stronie.

Jack zatrzymał konie przy starannie przystrzyżonym żywopłocie, za którym znajdował się mały, zadbany ogródek. Od furtki do drzwi chaty prowadziła wąska ścieżka.

- Z chęcią pomógłbym pani wysiąść - odezwał się z żalem, - ale nie mogę puścić lejców. Konie są zbyt nerwowe.

- Nie szkodzi, poradzę sobie - zapewniła go.

Zebrała spódnicę i zeskoczyła na ścieżkę. Wzięła koszyk, po czym odwróciła się do Amy.

- Ja tu zostanę z panem Lesterem - kategorycznym tonem oświadczyła jej mała kuzyneczka. - Stara Mildred zawsze chce inaczej, a ja tego nie cierpię. - Dziewczynka wykrzywiła buzię.

Sophie z trudem powstrzymała śmiech i spojrzała pytająco na Jacka.

- Poradzę sobie - odparł z uśmiechem.

- Dobrze, ale bądź grzeczna - powiedziała Sophie do Amy, a potem podeszła do furtki.

Gdy tylko zapukała, natychmiast ukazała się Mildred, która musiała już niecierpliwie wyczekiwać Sophie. Na widok dwukółki u płotu niania szybko wciągnęła dziewczynę do domu i ledwo drzwi się zamknęły, zaczęła prawić kazanie. Ostatecznie Sophie spędziła więcej czasu na zapewnianiu Mildred, że pan Lester jest dżentelmenem absolutnie godnym zaufania niż na wypytywaniu staruszki o jej zdrowie, co było przecież celem wizyty.

Kiedy się pożegnały, Sophie wróciła do dwukółki i odkryła, że Jack uczy Amy trzymać lejce. Wstawiła pusty koszyk : wspięła się na kozioł.

Jack wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wsiąść, a potem zapytał:

- Webb Park?

Skinęła z uśmiechem. Rozbawiona Amy trzymała lejce i radośnie paplała, podczas gdy konie przeszły w kłus.

W górze ptaki wywodziły swoje trele. Pączki na drzewach jeszcze się nie rozwinęły, ale gdzieniegdzie wystrzelały ku niebu kępy złotych żonkili, triumfalnie obwieszczając nadejście wiosny.

- Mogę zapytać, panno Winterton, jakie nadzieje wiąże pani z pobytom w stolicy? - Jack przerwał ciszę, która zapadła, odkąd Amy skupiła się na powożeniu. Spojrzał na Sophie. - Czy mają to być bale aż do białego rana, tańce do upadłego, Covent Garden, opera, teatry?

Sophie roześmiała się.

- O, tak. I nie tylko.

- Tak? A co jeszcze? - Jack uniósł brwi. - Ach, rozumiem. Trzy bale co noc, spacer i dwie herbatki każdego popołudnia, no i, oczywiście, plotki, plotki, plotki bez końca.

- Zapomniał pan o modystkach.

- A także o gorseciarkach. Nie powinniśmy też zapominać o szewcach, rękawicznikach, kaletnikach i tak dalej, i tak dalej.

- Nie mówiliśmy jeszcze o rozrywkach intelektualnych.

- Na miłość boską, tylko nie to, panno Winterton! - Jack skrzywił się z pogardą. - Tylko nie muzea!

- Ależ tak! - zapewniła go z przekonaniem Sophie. - Przede wszystkim zamierzam obejrzeć marmury lorda Elgina.

- Ach, te? One się nie liczą. - A kiedy Sophie rzuciła mu pytające spojrzenie, wyjaśnił: - Są zbyt modne.



Śmiech Sophie zadźwięczał jak srebrny dzwoneczek. Jack uśmiechnął się, chwilę odczekał, a potem zapytał:

- Czy planuje pani konne przejażdżki po parku?

- To wysoce prawdopodobne. - Sophie spojrzała na niego ponad głową Amy. - Wszyscy moi kuzyni jeździli konno, zanim nauczyli się chodzić. Wuj uwielbia konie i jestem pewna, że przyśle nam wierzchowce.

- Więc nie będzie pani zadawać szyku w powozie?

- Niestety - westchnęła Sophie. - Chociaż zawsze chciałam powozić, nigdy nie miałam okazji, żeby się tego nauczyć.

Nagle dwukółka zwolniła, a kiedy się zatrzymała, Sophie spojrzała na Jacka.

Odpowiedział jej znaczącym uśmiechem.

- To zabrzmiało jak krzyk z głębi serca. Niech nikt nie waży się powiedzieć, że jakiś Lester odmówił prośbie damy.

Zamrugła oczami.

Jack śmiał się już otwarcie.

- Nauczę panią.

- Tutaj?

- I teraz. - Przechylił się obok Amy. - Proszę w ten sposób ująć lejce.

Rozbawiona Sophie wykonała polecenie, poruszając lejcami zgodnie z instrukcjami Jacka. Było to dosyć skomplikowane, zwłaszcza że między nimi siedziała Amy.

- Nic z tego nie będzie - odezwał się po chwili Jack. Zostawił jej lejce i odchylił się, spoglądając z zastanowieniem na konie. - Niech pani przez chwilę potrzyma lejce. Konie nie spłoszą się, jeśli będą czuły pewną siłę. - Wyskoczył z powozu i dodał: - Zresztą nie są już teraz specjalnie żwawe, trochę zdążyły się zmęczyć.

Sophie miała nadzieję, że wiedział, co mówi. Kiedy prowadzący koń zadarł głowę, serce podeszło jej do gardła.

Jack obszedł dwukólkę i powiedział:

- Proszę się przesunąć, panno Amy, tak żebym mógł dać pani kuzynce pierwszą lekcję.

Gdy koń szarpnął się, Sophie spojrzała z przerażeniem na Lestera.

- Ho, ho! - Silna dłoń zacisnęła się wokół jej palców, naróżając lejce, i koń natychmiast się uspokoił.

Sophie poczuła, że się rumieni. Pozbawiona wyboru przesunęła się, robiąc miejsce dla nauczyciela. Pierwsza lekcja? Ale czego?

Zerknęła na Jacka spod rzęs i dostrzegła w jego oczach ironiczny błysk.

- Panno Winterton - powiedział półgłosem - a gdybym tak zaproponował gwineę za pani myśli? Przyjęłaby ją pani?

Sophie zrobiła się purpurowa. Szybko przeniosła wzrok na konie, dlatego nie zauważyła uśmiechu Jacka.

- Po pierwsze, musi pani pamiętać, żeby...

Ku swemu zdumieniu Sophie już wkrótce przekonała się, że mimo niepokojącej bliskości Lestera nauczyła się operować lejcami i panować nad końmi. Co więcej, Jack ani na moment nie wyszedł z roli nauczyciela, być może zresztą dlatego, że obawiał się o swoje konie. W każdym razie, podejrzenia dziewczyny okazały się niesłuszne, nieufność zniknęła, a ona, uspokojona, całkowicie poświęciła się ćwiczeniu nowej umiejętności.

Webb Park zdecydowanie zbyt szybko ukazał się na horyzoncie.

Sophie wprowadziła dwukólkę na podjazd i łagodnie zatrzymała na wyżwirowanym placyku. Z błyskiem w oczach i z rumieńcami na policzkach odwróciła się i oddała swojemu towarzyszowi lejce.

- Pierwsza próba wypadła znakomicie, moja droga. - W odpowiedzi na jej nieśmiały uśmiech Jack także się uśmiechnął.

Stajenny wyszedł przed dom, aby odprowadzić konie, Jack rzucił mu lejce i zeskoczył z kozła, zaś Amy wygramoliła się z powozu i pobiegła, by się wszystkim pochwalić wspaniałą przygodą.

Sophie przesunęła się ku brzegowi dwukółki i wcale nie protestowała, gdy Jack pomagał jej wysiąść. Kiedy dotknęła nogami ziemi, spojrzała w górę i nagle ogarnęło ją dziwne onieśmienie. Szybko stłumiła w sobie to uczucie, wzięła pusty koszyk i wyciągnęła rękę do Lestera.

- Dziękuję panu. Zachował się pan dzisiaj jak prawdziwy rycerz. Muszę panu podziękować nie tylko za ratunek, który przyszedł w samą porę, ale również za naukę.

Jack ujął zdecydowanie jej dłoń.

- To ja jestem pani dłużnikiem, panno Winterton, bowiem nie zdarzyło mi się jeszcze, bym podróżował z panną o tak rozlicznych talentach.

Ukrywając radość, jaką sprawił jej ten komplement, Sophie rzuciła Jackowi sceptyczne spojrzenie.

- Obawiam się, że aż tak bardzo nie różnię się od reszty panien.

Uśmiech rozjaśnił surową twarz Jacka.

- I tu się pani myli, moja droga. - Poszukał jej spojrzenia.

- Jest pani absolutnie wyjątkowa.

Sophie otworzyła szeroko oczy i zadrzała.

Spod opuszczonych powiek Jack patrzył na smukłą dłoń Sophie, a potem uniósł jej rękę do ust i ucałował wewnętrzną stronę nadgarstka, tuż nad rękawiczką.

- Swoją urodą przyćmi pani wszystkie stołeczne piękności, zapewniam panią, moja droga.

Pocałunek zapiekł ją żywym ogniem, a serce szybciej zabiło w piersi. Dziewczyna z najwyższym trudem zdołała się opanować, lecz wreszcie na jej twarzy ukazał się spokojny uśmiech.

- Jest pan zbyt dla mnie łaskaw. Czy wejdzie pan, żeby się

przywitać z moją ciotką? Na pewno będzie chciała podziękować panu za pomoc.

Lester przyjął odprawę bez mrugnięcia, choć cień rozbawienia przemknął przez jego twarz.

- Nie, dziękuję. Wiem, że pani ciotka jest bardzo zajęta. Nie będę jej się narzucał o tej porze.

Sophie pochyliła głowę.

- Wobec tego życzę panu miłego dnia, sir.

Wtedy Jack uśmiechnął się tym swoim leniwym, drażniącym uśmiechem.

- *Au revoir*, panno Winterton.

Sophie odwróciła się i zaczęła wspinać po schodach. W progu przystanęła i spojrzała za siebie. Lester wsiadł już do dwukółki i szarpnął lejce. Pomachał dziewczynie na pożegnanie.

Patrzyła w ślad za nim tak długo, aż ciemna głowa Jacka zniknęła w oddali, a potem opuściła rękę i ze zmarszczonym czołem weszła do domu. W kuchni natknęła się na Amy, która właśnie zajadała świeżo upieczonego pączka.

- Chodź, Amy, musisz się przebrać.

Prowadząc dziewczynkę na górę, panna Winterton została brutalnie wyrwana ze swoich rozmyślań, kuzynka bowiem z niewinną miną piskliwym głosem zapytała:

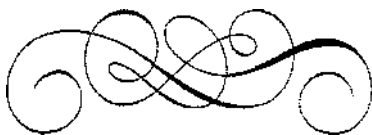
- Czy pan Lester zaleca się do ciebie, Sophie?

Poczuła nagły ucisk w gardle i na moment zrobiło jej się ziemno w oczach. Zakasłała nerwowo.

- Amy, na miłość boską! - Panujący na schodach mrok ukrył jej krwawy rumieniec. - Oczywiście, że nie. On sobie tylko żartował. - Zaczęła rozpaczliwie szukać jakichś bardziej przekonujących słów, ale bezskutecznie. W rozpacz klasnęła w dłonie i powiedziała:

- Pospiesz się, Amy. Jazda na górę!

Idąc po schodach za dziewczynką, Sophie nie kryła wzburzenia. Żeby coś takiego usłyszeć z ust niewinnego dziecka!



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Jakby jeszcze nie dość zadowolona ze swoich dotychczasowych osiągnięć, pani Fortuna zdawała się wiernie towarzyszyć Jackowi na każdym życiowym zakręcie.

Osadzając karego rumaka w cieniu żywopłotu, Lester patrzył z uśmiechem, jak mała kawalkada z tętentem kopyt wspinała się na Ashes' Hill.

Jigson, który z przejęciem odgrywał swoją rolę w tym spisku, od jakiegoś czasu pilnie nadstawiał ucha, ilekroć tylko znalazł się w gospodzie. To od niego Jack dowiedział się, że najmłodszy Webbowie, w towarzystwie panny Winterton oraz panny Webb, zwykli zażywać popołudniowych konnych przejażdżek. Przy sprzyjającej pogodzie jeździli po polach i wzdłuż wiejskich traktów, ale zgodnie z tym, co twierdził jeden ze służących państwa Webb, właśnie Ashes' Hill stanowiło ulubiony cel ich wypraw.

Widząc, jak wyjeżdżają na rozpościerającą się przed nim łąkę, Jack się rozpromienił. Jego złotowłosa wybranka wyglądała wręcz zjawiskowo w ciemnozielonym, aksamitnym kostiumie amazonki i wysokich butach do konnej jazdy. Na złocistych lokach upięła typowo kobiecą konstrukcję. Jack wiedział, że Sophie nazwałaby ją kapeluszem, lecz jego zdaniem ten zwiewny strzępek materiału z bażancim piórem z trudem zasługiwał na to miano. Odwrócił się do Percy'ego, który towarzyszył mu na gniadym wałachu.

- Jedziemy?

Percy, właśnie zajęty rozważaniami o wyższości tweedu w jodełkę nad pepita, ocknął się i wyteżył wzrok.

- Co? Ach, tak, już pora,

Jack z uśmiechem wyprowadził konia z zarośli.

Sophie obserwowała uważnie poczynania kuzynów, a Clarissa, która nieco wcześniej dotarła na szczyt wzgórza, odwróciła się, żeby podziwiać roztaczający się przed nimi widok. Kamienne murki i uspione żywopłoty dzieliły brunatne pola na mniejsze połacie, muśnięte tu i ówdzie bladym odcieniem zieleni. Czternastoletni Jeremy i dwunastoletni George znajdowali się już o kilka jardów od wierzchołka. Pochód zamykała mała Amy na swojej spokojnej kłaczce. Bliźniaki, które jeszcze nie przesiadły się z kucyków na konie, nie brały udziału w popołudniowych przejażdżkach.

Upewniwszy się, że wszystko w porządku, Sophie popuściła cugli. Z rozpromienionym wzrokiem i zarumienionymi policzkami nabrała w płuca rzeńskiego powietrza.

- Co za miłe spotkanie, panno Winterton!

Zaskoczona, odwróciła głowę, a na dźwięk znajomego głosu spleśniała rumieńcem, nim jeszcze zdążyła zobaczyć Lestera. Jechał na wspaniałym, karym wierzchowcu. Rumak dumnie kroczył, biła od niego pierwotna siła.

Przeniosła spojrzenie na jeźdźca.

Miękka tweedowa marynarka opinała jego szerokie ramiona, i muskularne uda w bryczesach z kozłej skóry bez trudu kontrolowały ruchy zwierzęcia. Rysy twarzy wyrażały chłodną dumę, która bardziej nawet niż nazwisko świadczyła o przynależności Jacka do uprzywilejowanej kasty. Oczy miały odcień szafiru i wnikliwe wejrzenie.

- Dzień dobry, sir. - Podała mu dłoń w cienkiej, skórkowej rękawiczce, zażenowana uczuciem ciepła, które nagle ją ogarnęło, i równie nagłym brakiem tchu.

Lester ujął jej dłoń i nachylił się, wykonując ten niełatwy manewr z podziwu godną gracją. Jego oczy zlustrowały uważnie Sophie.

- Zobaczyliśmy was, jak wjeżdżaliście na wzgórze, i zaczęliśmy się zastanawiać, czy moglibyśmy wam towarzyszyć.

~ Co za wspaniały pomysł! - wykrzyknęła Clarissa.

Sophie dojrzała w oczach Jacka cień uśmiechu.

- Proszę bardzo - odparła.

W odpowiedzi otrzymała uśmiech, od którego zrobiło jej się gorąco.

Wskazując na Percy'ego, który w tym momencie podjechał do rozmawiających, Jack powiedział:

- Panno Winterton, chciałbym pani przedstawić lorda Percy'ego Almsworthy'ego.

- Miło mi panią poznać, panno Winterton.

Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że lord Percy jest człowiekiem ulepionym z zupełnie innej gliny niż jego przyjaciel. Uspokojona Sophie podała mu z uśmiechem rękę.

Kiedy wychylił się z siodła, aby ją ująć, dostrzegła w jego łagodnych oczach błysk aprobaty.

Przedstawiła mu swoich kuzynów, a Jeremy i George nie mogli się wprost doczekać, kiedy Amy nieśmiało powie „dzień dobry”, i zaraz potem zasypali jeźdźców gradem pytań.

- Co za wspaniały koń, sir!

- A jakie ma pęciny!

- Z jakiej stajni pochodzi?

- Czy to koń czystej krwi?

Jack roześmiał się.

- Mój brat ma go po Jacku Whistle'u.

- Tym, co wygrał derby? - Na twarzy Jeremy'ego odmalował się najwyższy podziw.

Jack spojrzał Sophie w oczy.

- Tym samym.

- Czy pana brat też tu przyjechał? - dopytywał się George.

Jack mimowolnie się uśmiechnął.

- Owszem, ale pojechał do Belvoir.

- Och. - Chłopcóm zrzedły miny. Nie mogli odżałować, że stracili okazję poznania człowieka, który potrafił wyhodować tak wspaniałego karego ogiera.

- Nic straconego - zapewnił Jack, znów spoglądając na Sophie. - Wspomnę mu, że chcielibyście z nim porozmawiać. Możecie się przecież spotkać w Londynie, w Hyde Parku.

- Na Rotten Row? - Jeremy miał oczy okrągłe jak spodki.

Gdy Lester skinął głową, chłopak z radością wykrzyknął:

- Kapitalnie! - A potem nagle zwrócił się do George'a: - Kto pierwszy do tego dębu? - I już obaj galopowali po stoku ku widocznemu w oddali drzewu.

W niemym porozumieniu Sophie i Jack ruszyli w ślad za chłopcami.

- Musi im pan wybaczyć - odezwała się panna Winterton.

- Oni świata nie widzą poza końmi.

- Harry i ja byliśmy tacy sami - odparł z uśmiechem Jack.

Kilka kroków za ich plecami Clarissa rozmawiała z lordem Percym. Wprawdzie dwóm jadącym parom nie towarzyszyła przyzwoitka, ale Sophie nie widziała w tej eskapadzie nic zdrożnego. Obecność małych kuzynów sprawiała, że było to bardzo niewinne spotkanie towarzyskie.

Jack dopiero po chwili zauważył, że nie towarzyszył im służący. Zasepił się.

- Panno Winterton, czy pani i kuzyni często wybieracie się bez eskorty?

Sophie spostrzegła cień nagany w jego wzroku. Uniosła brwi.

- Moi kuzyni świetnie jeżdżą konno. Co mogłoby nam się przydarzyć podczas jazdy po wiejskich drogach?

- To mają być drogi?

Sophie spłoneęła rumieńcem.

- Chyba pan nie przypuszcza, że tacy żywi chłopcy jak Je-



remy i George zadowolą się spokojną jazdą - powiedziała z wyrzutem, a po chwili dodała: - Clarissa i ja także doskonale radzimy sobie w siodle, a klacz Amy jest już taka stara, że z trudem można ją skłonić do żywszego kroku.

Chcąc zaprzeczyć tej niemiłej opinii, Amy natychmiast wysforowała się przed Sophie i Jacka, lecz, niestety, ku jej rozpaczy stara kobyła za nic w świecie nie dała zmusić się do galopu.

- A poza tym - dodała Sophie, zerkając z ukosa na Lestera - nie mogę uwierzyć, żeby pański brat - Harry, prawda? - godził się jeździć wyłącznie po bitych traktach.

Ku jej zdumieniu usta Jacka zacisnęły się w cienką linię.

- Rzeczywiście, nie godził się na to, panno Winterton. Właśnie dlatego czuję się upoważniony do wyrażenia swojej opinii na temat ewentualnych szkód, jakie mogą sobie wyrządzić dwaj odważni młodzieńcy na szybkich koniach. - Przeniósł wzrok z krążących wokół dębu chłopców na Sophie i dodał: - Toteż jestem zdania, że absolutnie powinien towarzyszyć wam służący.

Lekko poirytowana, Sophie poklepała po szyi swojego siwego ogiera.

- Nie musi się pan obawiać, że mi uciekną. Mało który koń potrafi przegonić Szejka.

Dopiero teraz Jack spojrzał uważnie na jej wierzchowca. Na widok wielkiego łba, długich nóg, potężnego karku i zadu poczuł niepokój. Mimo świadomości, że nie spodoba jej się jego pytanie, chrząknął i zapytał:

- Panno Winterton, czy zawsze jeździ pani na tej bestii?

Jego ton tak bardzo zaskoczył Sophie, że spojrzała na Lestera pytająco.

- Nie - przyznała z wahaniem. - Wuj ma. wielkie stajnie, a my pomagamy mu i ujeżdżamy kolejno wszystkie konie.

- A czy wuj pani wie, że dosiada pani tak niebezpiecznego ogiera? - surowym tonem indagował nadal Jack.

Sophie zachnęła się.

- Sir - powiedziała, wyraźnie akcentując każde słowo - wychowałam się wśród koni. Jeździłam konno od dziecka. Zapewniam pana, że potrafię sobie poradzić zarówno z Szejkiem, jak i z każdym koniem mojego wuja.

- Ten koń jest za silny dla pani - upierał się Jack. - Nie powinna go pani ujeżdżać.

Nad ich głowami kołowały ze śpiewem skowronki. Konie kłusem pokonywały zbocze. Sophie, zaczerwieniona z gniewu, Popatrzyła przed siebie. Biała koronka, przysłaniająca jej dekolt, unosiła się przy każdym oddechu.

- Panie Lester - wycedziła lodowatym tonem - zakończmy już ten temat. Doskonale radzę sobie z Szejkiem. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym dołączyć do moich kuzynów.

Ściągnęła cugle i Szejek pomknął po zboczu. Wydało jej się, że słyszy gniewne parsknięcie, a potem kary ogier ją dogonił. Pędziła ze wzrokiem wbitym przed siebie, udając, że nie widzi towarzyszącego jej jeźdźca.

Spod zmrużonych powiek Jack z dezaprobatą śledził jej poczynania.

Obaj chłopcy wraz z Amy czekali pod dębem. Sophie ściągnęła cugle i spojrzała za siebie. Clarissa i lord Percy jechali w tyle. Kiedy lord przybliżył się, usłyszała jego słowa:

- Moim zdaniem najładniejsze czepki można dostać u Drusilli, tuż obok Bruton Street. To ostatni krzyk mody.

Nie ulegało wątpliwości, że kuzynka oraz lord Percy szczerze interesowali się modą. Almsworthy sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego, a Clarissa z uwagą chłoneła każde jego słowo. Z pogardliwym prychnięciem Sophie odwróciła się w stronę młodszych kuzynów.

- Pojedziemy wzdłuż żywopłotu, na łąki, a potem okrąży-  
my las.

Jej ton wyraźnie dowodził, że jest zdenerwowana. Jeremy, George i Amy popatrzyli po sobie, a potem bez słowa ruszyli za Szejkiem. Jack jechał obok; Sophie nawet nie próbowała go wyprzedzić. Clarissa z lordem Percym zamykali kawalkadę, po-  
grążeni w dyskusji na tematy krawieckie.

Sophie zerknęła z ukosa na Jacka, ponieważ jednak nie za-  
reagował na jej ostrzegawcze spojrzenie, ostentacyjnie uniosła  
głowę i puściła się wzdłuż żywopłotu.

Otoczająca ich cisza przedłużała się złowieszczo. Od czasu  
do czasu Sophie czuła na sobie pełen dezaprobaty wzrok Jacka.  
Z niewiadomych przyczyn gardło miała ściśnięte i brakowało  
jej tchu. Gorączkowo próbowała znaleźć jakiś neutralny temat  
do rozmowy.

Za jej plecami George leniwie smagał batem żywopłot.

Później Sophie dowiedziała się, że chłopak niechcący wystra-  
szył z krzaków zająca, który wyprysnął prosto pod kopyta Szejka.

Ogier zarżał i stanął dęba.

Sophie starała się nad nim zapanować, ale z trudem udało jej  
się utrzymać w siodle.

A potem Szejek puścił się galopem.

Pędził wzdłuż żywopłotu, z uczeptioną jego grzbietu Sophie,  
która siedziała w damskim siodle i nie miała dość siły, by  
zapanować nad potężnym zwierzęciem. Wiatr gwizdał jej  
w uszach i pozbawiał ją tchu. Zdesperowana, patrzyła przed sie-  
bie poprzez kosmyki zasłaniające jej oczy oraz przez szorstką,  
końską grzywę drapiącą ją po policzkach. Na końcu pola żywo-  
płot wznosił się stromo do góry. Rozpaczliwie szepcząc słowa  
modlitwy, Sophie poluzowała cugle z jednej strony, przerzuca-  
jąc ciężar ciała na drugą. Niemal szlochając, szarpnęła z całych  
sił. Manewr częściowo się powiódł, ponieważ koń lekko skręcił

łbem, lecz wciąż nie zwalniał. Sophie poczuła, że zaczyna ześlizgiwać się na bok. Krzyk uwiązał jej w gardle. Raz jeszcze rzuciła się w przód i przywarła do łśniącej szyi rumaka. Łąka, ku której zmierzali, rozpościerała się już przed nimi. Koń szarpnął silnie łbem, wyrwijąc Sophie z rąk cugle, i pomknął poprzez pastwisko.

Podrzucana jak kukła na jego grzbiecie, dziewczyna próbowała z powrotem uchwycić cugle. Łąka kończyła się lasem, więc Sophie za wszelką cenę musiała poskromić ogiera.

Jednak Szejk trzymał mocno uzdę między zębami i nawet gdy pannie Winterton znów udało się pochwycić cugle, nie reagował na jej szarpnięcia.

Pierwszym sygnałem, że nadchodzi pomoc, było pojawienie się czarnego kształtu po lewej stronie, a potem wyłonił się Jack i jego kary ogier napał na siwka. Lester wychylił się, chwycił Sophie za rękę i wspólnymi siłami pociągnęli za cugle. Jednak Jack nie szarpał, jakby to uczynił niedoświadczony jeździec, tylko coraz mocniej napierał na rozszalałego konia. Szejk poczuł silną rękę i zaczął zwalniać.

Po chwili oba konie stanęły obok siebie.

Sophie wzięła głęboki oddech, wyprostowała się w siodle - i nagle zakręciło jej się w głowie. Ktoś głośno zaklął, a potem czyjeś silne ręce objęły ją mocno w talii i uniosły w górę.

Kiedy dotknęła stopami ziemi, drżała jak liść.

A zaraz potem znalazła się w mocnym uścisku. Owionął ją kojący zapach tweedu i skóry. Pojękując cicho, Sophie tuliła się do Jacka, jakby był jedyną opoką na tym niebezpiecznym świecie.

- Mój Boże! Nic się pani nie stało?

Lester wydawał się równie wstrząśnięty jak ona. Potrząsnęła głową, niezdolna wykrztusić słowa. Raptem uświadomiła sobie, gdzie się znajdują, i usiłowała się odsunąć.

Tymczasem Jack odepchnął ją nagle od siebie. Zająknęła się i podniosła wzrok, kiedy nią bezlitośnie potrząsnął.

- O ile pamiętam, twierdziła pani, że świetnie sobie radzi z tą bestią!

Sophie patrzyła na Jacka w osłupieniu, nie rozumiejąc płonącej w jego oczach furii. Nagle poczuła lodowaty chłód, a potem cała krew odpłynęła z jej twarzy. W oczach zrobiło jej się ciemno.

Kiedy zaczęła osuwać się na ziemię, Lester zbladł jak kreda. Ze stłumionym przekleństwem przytulił Sophie.

Nie opierała się, tylko wsparta na jego ramieniu bez słowa pozwoliła doprowadzić się do powalonego pnia.

- Proszę usiąść! - powiedział niespodziewanie ostro.

Gdy zaskoczona uniosła głowę, ugięły się pod nią nogi i bezwładnie osunęła się na pień.

Jack stał nad nią z lodowatym wyrazem twarzy.

- Jest pani biała jak prześcieradło. Proszę opuścić głowę.

Lecz Sophie, kompletnie zdezorientowana, patrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem.

Jack znowu zaklął.

Nim Sophie zdążyła zorientować się, co się dzieje, silna dłoń przycisnęła jej głowę do kolan. Znowu zrobiło jej się ciemno przed oczami. Rezygnując z oporu, skupiła się na tym, żeby głęboko oddychać i zaczęła się powoli uspokajać. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że palce Jacka wsunęły się za kołnierzyk jej bluzki i odgarnawszy splecione loki, delikatnie masują jej kark. Chłodne i zdecydowane, kreśliły magiczne wzory na jej wrażliwej skórze. Dotyk Lestera przywołał ją do rzeczywistości; koił rozdygotane nerwy, dając cudowne poczucie bezpieczeństwa.

Trwali tak przez dłuższą chwilę, która wydawała się całą wiecznością. W końcu Sophie wzięła głęboki oddech i wyprostowała się. Ręka głaszcząca jej kark opadła. Sophie zaczerpnęła ponownie tchu i zebrała spódnice.

- Muszę panu podziękować za pomoc, sir. - Sophie starała się mówić z przekonaniem, nie śmiała jednak patrzeć mu w twarz, tylko nerwowo poprawiała ciemnozielony materiał.

- Zamiast podziękowań, panno Winterton, po tysiącokroć wolałbym obietnicę, że nigdy więcej nie dosiądzie pani tego konia. - Chłodny ton nie pozostawiał wątpliwości co do natury tego życzenia.

Sophie wyprostowała się. Lester miał spojrzenie nieprzeniknione, jakby zawisała między nimi jakaś zasłona, za którą ukrył swoje uczucia.

- Panie Lester - powiedziała z naciskiem - to był czysty przypadek.

- To, że wybrała pani tego właśnie konia - odparł sarkastycznym tonem - to nie żaden przypadek. Pani doskonale wiedziała, że ten ogier jest dla pani zbyt narowisty.

Zacisnęła usta i odpłaciła mu równie nieodgadnionym spojrzeniem.

Jack poczuł, że zaczyna tracić panowanie nad sobą.

- Panno Winterton - odezwał się lodowatym tonem - zanim stąd odjedziemy, musi mi pani obiecać, że nigdy więcej nie będzie pani taka lekkomyślna. A ponadto - mówił dalej, przeszywając ją surowym wzrokiem - ja z mojej strony obiecuję pani, że jeśli jeszcze raz przyłapię panią na tym koniu, dopilnuję, żeby przez następny tydzień nie była pani w stanie w ogóle usiąść w siodle. - Patrzył, jak oczy Sophie otwierają się z niedowierzaniem, i uniósł znacząco brwi. - Czy to jasne, moja droga?

Sophie zadrżała. Nie mogąc znieść spojrzenia Lestera, spuściła wzrok na jego usta, zacisnięte teraz w zdecydowaną linię.

Dzieliła ich tak mała przestrzeń. Co za szczęście, że szok, wywołany wypadkiem, z wolna już ustępował. Nagle Sophie odzyskała dawną siłę i poczucie niezależności.

- Nie ma pan prawa wysuwać takich żądań, sir, nie mówiąc już o groźbach.

Jack nie odpowiedział. W nim także szalały emocje. Całą siłą woli starał się opanować chęć, by porwać ją w ramiona i zamknąć w uścisku. Żeby wszem i wobec pokazać, że podjął nieodwołalną decyzję i Sophie należy wyłącznie do niego.

Dziewczyna instynktownie wyczuła, co się z nim dzieje, poczuła się przytłoczona jego obecnością. Czuła niespożytą siłę, namacalną fizyczność emanującą z jego potężnej postaci. Lester emanował jakąś aurą, która spowijała dziewczynę, grożąc, że ją pochłonie; że pozbawi ją własnej woli i zmusi do wszelkiej uległości.

- Sophie! - Głos Clarissy wdarł się w jej rozmyślania. - Nic ci się nie stało?

Zimny dreszcz przebiegł jej po krzyżu. Nagle uświadomiła sobie, że jej serce bije jak oszalałe, a pierś gwałtownie wznosi się i opada. Po raz ostatni napotkała intensywne, szafirowe spojrzenie, a potem przeniosła wzrok na kuzynkę zbliżającą się na czele zaniepokojonej gromadki. Podniosła się z wysiłkiem i na drżących nogach podeszła do wierzchowca Clarissy.

- Wszystko w porządku, nic mi nie jest.

Jack poszedł za nią, gotów w każdej chwili służyć pomocą. Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Czy jest pani w stanie dojechać do domu? - zapytał zatroskanym tonem.

Sophie skinęła głową. Zaczerpnęła tchu i cicho powiedziała:

- Bardzo panu dziękuję. - Jej głos drżał.

Jack odpowiedział krótkim skinieniem. Objął ją w talii i jednym silnym ruchem podsadził na siodło.

Jego bliskość znowu zasiała zamęt w myślach Sophie, zaczęła więc ostentacyjnie wygładzać spódnicę.

Postanowili wracać. Kawalkada uformowała się na nowo.

Sophie z ulgą zauważyła, że Clarissa, wyraźnie przejęta, ulokowała się po jej lewej stronie, oddzielając ją od pana Lestera. Jądcy po prawej stronie lord Percy nie stanowił zagrożenia. Zachowywał się, jakby nic się nie stało, i gawędził na różne błahe ornaty, dając jej szansę na odzyskanie spokoju.

Sophie nie zamieniła już więcej ani słowa ze swoim wybawcą, mimo to przez całą drogę do bram Webb Park czuła na sobie jego intensywne spojrzenie.

Kiedy wreszcie Sophie znalazła się bezpiecznie na łonie rodziny, okazało się, że nie ma warunków na to, by w spokoju rozważyć niedawne wydarzenia. Tego dnia nie podejmowano żadnych gości, więc obiad podano o wcześniejszej godzinie. Cała rodzina Webbów, z wyjątkiem bliźniaków, zasiadła w jadalni wokół długiego stołu.

Jak można się tego było spodziewać, wuj i ciotka otrzymali szczegółową relację z dramatycznej przygody, jaka spotkała Sophie. Dziewczynie pozostało tylko prostować entuzjastyczne ozdobniki, jakimi młodszy Webbowie ubarwiali swoją opowieść. Ich zachwycone spojrzenia i podekscytowane głosy wyraźnie dowodziły, że Jack Lester stał się w ich oczach bohaterem bez skazy.

- Moja kochana Sophie - powiedziała ciotka Lucilla, której opanowania nie zakłóciłoby nawet trzęsienie ziemi - mam nadzieję, że nie odniosłaś przy tym jakichś obrażeń?

- Nie, ciociu. - Sophie odłożyła łyżkę. - Dzięki Bogu, nic mi się nie stało.

- Dzięki panu Lesterowi! - zapiszczała Amy.

- Szkoda, że papa nie widział jego karego konia! - zwrócił się Jeremy do ojca. - Prawdziwy czempion! Pierwsza klasa!

- Naprawdę? - zapytał siedzący u szczytu stołu Horatio



Webb. Niski, tęgawy mężczyzna, o młodzieńczej twarzy, na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie jowialnego ziemianina, którego zainteresowania nie wykraczają poza granice własnego majątku. Dopiero ci, którzy bliżej go poznali i zajrzeli w jego mądre szare oczy - tak czujne, gdy słuchał opowieści zarumienionej Sophie - odkrywali jego błyskotliwą inteligencję. Zyskała mu ona uznanie w sferach finansowych, jak również w pewnej mierze stała się przyczyną, dla której piękna i utalentowana Lucilla Carstairs, miast jakiemuś lordowi, jemu właśnie ofiarowała swoją rękę i była z nim bardzo szczęśliwa. - Muszę przyznać, że z chęcią obejrzałbym konia, który potrafi dogonić Szejka

- Pan Lester podobno zatrzymał się w sąsiedztwie - odpowiedziała Clarissa.

Horatio pokiwał głową.

- O ile wiem, w Rawling's Cottage. - Z niezmaconym spokojem sięgnął po ciężkie sztuce i zaczął krajać pieczeń, którą służący postawił przed nim na srebrnym półmisku.

Sophie z ulgą skonstatowała, że zdrowe apetyty młodych Webbsów przynajmniej na jakiś czas wyparły z ich pamięci niefortunną przygodę.

Po obiedzie przyszła pora na gry towarzyskie, w końcu Sophie, wyczerpana zarówno fizycznie, jak i psychicznie, udała się do łóżka. W zaciszu swojego pokoju zamierzała raz jeszcze przemyśleć wydarzenia minionego popołudnia. I to nie te, o których z takim podnieceniem mówili jej kuzyni, lecz inne, znacznie bardziej niepokojące. Chciała w samotności rozważyć chwile spędzone sam na sam z Jackiem Lesterem. Ona była damą, a on jej rycerzem. Idąc po schodach na górę, obiecywała sobie, że postara się spojrzeć na cały incydent z właściwej perspektywy.

Niestety, ledwo dotknęła głową poduszki, zapadła w ciężki sen, pełen majaków, w którym wciąż prześladowała ją para szafirowych oczu.

Nazajutrz, od wczesnego ranka, cała rodzina zajęła się przygotowaniem do wyjazdu, który miał nastąpić pod koniec tygodnia. Lucilla zadbała już o wszystko, nawet o butelkę wody kwiatowej mającej podczas przejażdżek konnych po parku chronić cerę przed zdradliwymi powiewami wiatru.

Sophie i Clarissa zostały zwolnione z pierwszej tury pakowania i po drugim śniadaniu polecono im stawić się przed szwaczką na ostatnią przysmak peniuarów, nocnych koszul i halek, które, jak to jednogłośnie uznano, mogły zostać uszyte w domu. Za to reszta garderoby miała pochodzić z Bruton Street. Po czteroletniej nieobecności w stolicy żadna z sukien Sophie nie nadawała się do tego, by pokazywać się w niej publicznie, dlatego też jej wizyta u modystki została uznana przez Lucillę za absolutną konieczność, podobnie jak w przypadku Clarissy. Nawet sama Lucilla podczas pobytu w Londynie zamierzała odświeżyć garderobę.

Zanim Sophie była wolna, minęło południe. Ledwo zdążyła zejść na dół do holu, opadli ją młodzi Webbowie i zaczęli domagać się codziennej przejażdżki. Dziewczyna westchnęła w duchu i popatrzyła na zwrócone ku niej rozpromienione twarze.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Ale myślę, że powinniśmy zabrać z sobą służącego. Jeremy, powiedz, proszę, Johnowi, że będzie nam dziś towarzyszył. Zawołam Clarissę i spotkamy się przy stajniach.

Na szczęście kuzyni nie skomentowali odstępstwa od przyjętych obyczajów. Jeremy skinął tylko głową i cała trójka wyszła w pośpiechu.

Sophie ruszyła z powrotem na górę, starając się nie myśleć o tym, co naprawdę skłoniło ją do podjęcia pewnych środków ostrożności. Zadowolona się stwierdzeniem, że spełniła życzenie ciotki, by w przyszłości nie narażali się na podobne wypadki.

Kiedy wraz z Clarissa pojawiła się w stajniach, Arthur, główny stajenny, uniósł pytająco brwi. Naciągając rękawiczki, Sophie powitała go skinieniem.

- Pojadę dziś na Jantarze. O ile pamiętam, tkwi w boksie od dłuższego czasu.

Arthur wzruszył ramionami, co miało oznaczać, że kwestionowanie zachcianek panienci nie należy do jego obowiązków, po czym udał się po konia. Ku zdumieniu Sophie, Clarissa, która właśnie wsiadała na swoją kasztankę, także powstrzymała się od komentarzy na temat jej wyboru. Jantar miał znacznie łagodniejsze usposobienie niż większość koni ze stajni Webbów. Biorąc z rąk kuzynki szpicrutę, Sophie udała, że nie słyszy wewnętrznego głosu, który od rana nie dawał jej spokoju. Wybór konia nie miał nic wspólnego z panem Lesterem i jego kategorycznymi opiniami.

Treść uwag wygłoszonych pod jej adresem przed i po tym, jak ściągnął ją z grzbietu Szejka, wciąż ją zdumiewała. Nigdy dotąd nie spotkała się z taką arogancją i stanowczo potępiała podobne maniery, a jednak na postępowanie pana Lestera zareagowała z wielkim opóźnieniem i wielce dwuznacznie. Panna Winterton była tym bardzo zaniepokojona.

, Próbując dogonić na spokojnym Jantarze resztę towarzystwa, gorączkowo rozważała nurtujący ją problem.

Do wczoraj skłaniała się ku przypuszczeniu, że Jack Lester żywi ku niej jakąś romantyczną skłonność. Na tę myśl mimowolnie spłonęła rumieńcem i z pewną irytacją zmusiła się, by spojrzeć prawdzie w oczy - to były nie tylko przypuszczenia, ale wręcz nadzieja. Jednak jego wczorajsze zachowanie dało jej wiele do myślenia.

Obok Sophie, pohukując i pokrzykując, przemknęła na swojej kasztance Clarissa.

Zatopiona w myślach dziewczyna nawet tego nie zauważyła. W jej pojęciu miłość była uczuciem łagodnym, opartym na życz-

liwości i trosce o dobro drugiej osoby. Czułe spojrzenia i słodkie uśmiechy - tylko takie jej objawy widywała między ojcem a matką oraz wujem a ciotką, i na nich opierała swoje wyobrażenia. Miłość dawała szczęście, przynosiła spokój i ukojenie.

Zaś to, co zobaczyła poprzedniego dnia w oczach Jacka Lestera, podważyło jej dotychczasową wiedzę na ten temat, co więcej, pozbawiło Sophie pewności i spokoju.

Na wspomnienie tych chwil zadrżała. Co takiego obudziła w Jacku Lesterze? I co właściwie mówiło jego spojrzenie?

To samo pytanie zadawał sobie Jack Lester, odkąd poprzedniego popołudnia wrócił z Webb Park. Gdy tylko odzyskał jasność umysłu, przeraził się własnej gwałtowności. Skąd brały się w nim tak szalone uczucia?

Teraz, kiedy przez okna sączyło się ciepłe popołudniowe światło, Jack nerwowo krążył po salonie Rawling's Cottage, wciąż zmagając się w duchu z rewelacjami wczorajszego dnia. Był zaszokowany intensywnością emocji, jakie wzbudził w nim widok delikatnej Sophie ponoszonej przez spłoszonego ogiera.

Naiwnie z góry założył, że konkury do kobiety, którą wybrał sobie na żonę, będą działaniem przyjemnym i w pełni kontrolowanym, a jego zręczne starania doprowadzą, oczywiście, do tego, że zyska wzajemność pięknej dziewczyny. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak mało wie o miłości. A on jak głupiec wyobrażał sobie, że w wyższych sferach, do których oboje należeli, takie rzeczy zawsze toczą się miłym, dawno ustalonym trybem i nieodmiennie zmierzają ku szczęśliwemu finałowi.

Niestety, źle ocenił całą sytuację.

Błędne wspomnienie walki, jaką musiał stoczyć jego szwagier, by na koniec ulec strzałom Kupidyna, pojawiło się w jego podświadomości. Skoro Jason się nawrócił i przy tym był nad wyraz szczęśliwy, czemu on się waha?

Właściwie już znał odpowiedź.

Uczucia, których doświadczył ubiegłego dnia, niosły z sobą wielkie zagrożenie.

Okazały się bowiem tak potężne, że mogły zmać mu rozum i sprawić, iż przestanie być panem samego siebie.

Miłość - teraz dopiero to sobie uświadomił - jest siłą, z którą należy się liczyć.

Stukanie do drzwi frontowych przerwało jego rozmyślenia. Wyrzał przez okno i zobaczył, jak służący prowadzi do stajni młodą, śliczną klacz. Widok ten zainteresował go i na chwilę oderwał się od uczuciowych dylematów.

Ciche pukanie do drzwi salonu zwiastowało nadejście ochmistrzyni.

- Pan Horatio Webb przybył się z panem zobaczyć.

Jack, zaintrygowany, uniósł brwi.

- Dziękuję, pani Mitchell. Przyjmę go tutaj.

Chwilę później Horatio Webb wszedł do środka. Omiótł wzrokiem wygodny, przytulny pokój, wyłożony dębową boazerią i przyozdobiony sztychami przedstawiającymi sceny myśliwskie, a jego dobroduszną twarz rozjaśnił życzliwy uśmiech. Z dawnych lat pamiętał dobrze Rawling's Cottage, ów szereg budynków, które tworzyły przestronną rezydencję myśliwską z wygodnymi pokojami dla gości i dobrze prowadzonymi stajniami. Zbliżając się do Jacka Lestera, który oczekiwał go przy kominku, Horatio z przyjemnością skonstatował, że młody dziedzic jest dokładnie taki, jak go sobie wyobrażał.

- Panie Webb?

Gdy Horatio zbliżył się, Jack wyciągnął rękę.

- Witam, panie Lester. - Horatio ujął wyciągniętą dłoń i mocno ją uściśnął. - Przyszedłem, żeby w imieniu moim oraz mojej żony wyrazić naszą wdzięczność za pomoc okazaną naszej krewnej w tak niebezpiecznych okolicznościach.

- Zapewniam pana, że to drobnostka. Nie ma o czym mówić. Byłem tam i zrobiłem tylko to, co każdy dżentelmen zrobiłby na moim miejscu.

W oczach Horatia pojawił się błysk.

- Nie wątpię, że każdy dżentelmen na pewno by próbował, ale, jak obaj wiemy, sir, niewielu by się to udało.

Pan Webb promieniał jakąś szczególną aurą, a Jack natychmiast znalazł się w jej zasięgu.

- Może napije się pan madery, sir? - zaproponował z uśmiechem, a kiedy pan Webb skinął głową, podszedł do kredensu i nalał dwie szklaneczki, po czym jedną wręczył swojemu gościowi. - Feniks to jeden z niewielu koni, które mogłyby pokonać pańskiego Szejka. Miałem piekielne szczęście, że tego dnia na nim jechałem. - Wskazał panu Webbowi fotel, po czym sam usiadł naprzeciw gościa.

Horatio sączył powoli maderę, delektując się jej bukietem. Po chwili podniósł wzrok znad szklaneczki, uważnie patrząc na Jacka.

- Raz jeszcze pragnę pana zapewnić, że wysoce sobie cenimy pańską wczorajszą interwencję i gdyby nie to, że wyjeżdżamy wkrótce do Londynu, nalegałbym usilnie, by zechciał pan któregoś wieczora spożyć z nami kolację. - Mówił lekkim tonem, ale ani na moment nie spuszczał wzroku z twarzy Jacka. - Skoro jednak wyjeżdżamy już w piątek, pani Webb za moim pośrednictwem pragnie przekazać panu zaproszenie, by nas pan koniecznie odwiedził, kiedy już rozlokujemy się na Mount Street. Do zaproszenia żony dodaję i moje. Rozumiem, że pan także już wkrótce wyjeżdża do Londynu?

Jack skinął głową i porzucił myśl, by wymóc na gościu obietnicę, aby nie pozwolił Sophie dosiadać niebezpiecznych koni. Uznał, że po szoku, który przeżyła, dziewczyna będzie się trzymać z daleka od narowistych ogierów... przynajmniej do końca tygodnia.

- Lada dzień zamierzam wyjechać. Ponieważ jednak zatrzymam się w Berkshire, nie sądzę, bym przed państwem przybył do stolicy.

Horatio pokiwał głową.

- Proszę przekazać pozdrowienia pańskiemu ojcu. Kiedyś byliśmy jeśli nie przyjaciółmi, to z całą pewnością bliskimi znajomymi.

Jack szeroko otworzył oczy.

- A więc to pan jest tym Webbem! - zawołał i pospiesznie wyjaśnił: - Proszę mi wybaczyć, nie zorientowałem się. W tych stronach jest tylu Webbów. Nie byłem pewny, który z nich był serdecznym druhem mojego ojca. Słyszałem, że mieliście ze sobą wiele wspólnego. Opowiadał mi, że jest pan wielkim miłośnikiem koni.

- O, tak - uśmiechnął się Horatio. - To moja jedyna wada. Myślę jednak, że pan także nią grzeszy.

- Uwielbiam konie - odparł Jack z uśmiechem. - Jednak moje zainteresowania nie dorównują pasji ojca.

- To oczywiście - stwierdził Horatio. - Wy, młodzi, macie inne pasje, lecz stadnina Lesterów jest nadal jedną z najlepszych w kraju, nieprawdaż?

- Tak, pod czujnym okiem mojego brata Harry'ego - odpowiedział Jack. - Nasze psiarnie wciąż dostarczają najlepsze psy gończe.

Rozmowa zeszła na tematy związane z najnowszymi trendami w hodowli koni i psów myśliwskich. Jack, choć szczerze tym zainteresowany, dokonywał jednocześnie w myślach oceny wuja Sophie. Horatio Webb, młodszy od jego ojca, był wieloletnim znajomym Archibalda Lestera. To właśnie on szepnął mu słówko, dzięki któremu nastąpiło odrodzenie fortuny Lesterów.

Korzystając z krótkiej przerwy w rozmowie, Jack rzekł:

- A przy okazji, chciałbym wyrazić nasze gorące podziękowania za jakże trafną poradę w interesach.

Horatio machnął lekceważąco ręką.

- Nie ma o czym mówić. W końcu od czego są przyjaciele?  
 - Zanim Jack zdążył powiedzieć coś więcej, Horatio dodał: -  
 Poza tym, jesteśmy teraz kwita. Zapewniam pana, że nie chciał-  
 bym powitać ekscentrycznego szwagra wiadomością, iż jego je-  
 dynaczka skrzyła kark, ujeżdżając mojego ogiera. Tak jak ja to  
 widzę, rachunki między Webbami i Lesterami zostały wyrów-  
 nane.

Na ułamek sekundy zza dobrotliwej maski błysnęło prawdzi-  
 we oblicze Horatia Webba. Jack pojął, że jego wizyta mogła  
 mieć więcej przyczyn niż te wyjawione. Pozostawało mu tylko  
 przyjąć z wdzięcznością jego werdykt.

- Jestem szczęśliwy, że mogłem okazać się pomocny, sir.

Horatio podniósł się z uśmiechem.

- Muszę już wracać. - Poczekał, aż Jack zadzwoni i wyda  
 polecenie, żeby wyprowadzono jego konia, a potem obaj pano-  
 wie uścisnęli sobie ręce.

Wychodząc, pan Webb raz jeszcze rozejrzał się po pokoju  
 i powiedział:

- Z przyjemnością patrzę na ten dom. Miło wiedzieć, że jest  
 tak dobrze utrzymany. O ile pamiętam, należy do waszej rodzi-  
 ny już od jakiegoś czasu.

Odprowadzając do drzwi wuja Sophie, Jack skinął głową.

- Od pięciu pokoleń. Wszyscy Lesterowie byli wychowy-  
 wani na myśliwych.

- I tak być powinno - znaczącym tonem stwierdził Horatio.

- Niech pan nie zapomni, że będziemy pana oczekiwać w Lon-  
 dynie - dodał, sadowiąc się na grzbiecie klaczy.

Horatio po raz ostatni skinął na pożegnanie, po czym zawró-  
 cił i skierował się w stronę Webb Park. Koń przeszedł w cwał.  
 Na usta starszego pana wypłynął znaczący uśmiech. Cieszyło  
 go to, co zobaczył w Rawling's Cottage. Poza wszystkim wy-



dawało się, że Lesterowie zamierzali pozostać częścią lokalnych społeczności zarówno tutaj, jak i w Berkshire.

Lucilla będzie bardzo zadowolona.

Sophie wróciła z przejażdżki z dotkliwym bólem głowy, a ponieważ rzadko cierpiała na takie dolegliwości, okazały się one tym bardziej uciążliwe. Idąc do saloniku, masowała skronie, żeby choć trochę zmniejszyć pulsujący ból.

Była to, oczywiście, wina Jacka Lestera. Przez połowę drogi zastanawiała się, jak powinna zareagować, jeśli Jack się do nich przyłączy, a przez drugą połowę przeszukiwała wzrokiem horyzont w nadziei, że zobaczy karego wierzchowca. Gdyby nie to, przejażdżka sprawiłaby jej jak zwykle przyjemność. Tymczasem teraz czuła się wprost okropnie.

Rzuciła czepek na krzesło i z ulgą osunęła się na fotel przy kominku.

- Jaka szkoda, że pan Lester i lord Percy nie przyłączyli się do nas. - Clarissa rozsiadła się w drugim fotelu, chętna do plotek. - Byłam pewna, że po wczorajszym spotkaniu będą na nas czekali na Ashes' Hill.

- Może już wrócili do Londynu? - zasugerowała Sophie. - Ziemia rozmiękła już na tyle, że wszyscy ogoniarze wracają pewnie do miasta.

Mianem „ogoniarzy” określano w rodzinie Webbów tych panów, których jedynym celem przyjazdu do Melton Mowbray była chęć zdobycia jako trofeum lisiej kity. Pierwsze objawy roztopów wypędzaly tych dżentelmenów z powrotem na stołeczne salony.

- Nie wydaje mi się, żeby pan Lester i lord Percy byli ogoniarzami. Mają przecież tak wspaniałe konie.

Sophie zaczęła się zastanawiać, czy ból głowy nie ma przypadkiem wpływu na stan jej umysłu.

- Co mają z tym wspólnego konie? - zapytała. - Przecież wszyscy ogoniarze muszą mieć konie.

Jednak myśli Clarissy szły zupełnie innym torem.

- Oni obaj są bardzo eleganccy, prawda? Nie tylko w salonach, w końcu każdy stara się być tam elegancki. Chcę powiedzieć, że mają ten londyński polor.

- Clarisso, uwierz mi, nie wszyscy londyńscy dżentelmeni są tacy jak lord Percy i pan Lester. Niektórzy z nich nie są ani trochę lepsi od tych, których spotykamy tutaj, a niektórzy są nawet o całe niebo gorsi.

- Może i tak - przyznała niechętnie Clarissa - ale to niezaprzeczalny fakt, że żaden z miejscowych panów nie umywa się do pana Lestera i lorda Percy'ego.

Sophie zamknęła oczy. Była zbyt zmęczona, by protestować.

Clarissa podniosła się z fotela i tanecznym krokiem zawirowała po pokoju.

- Och, Sophie! Nie mogę się już doczekać tych wszystkich atrakcji. Chcę poznać tych elegantów, dandysów, fircyków... To będzie niezwykle ekscytujące, kiedy zaczną się do nas zalecać. Oczywiście w absolutnie przyzwoity sposób. - Clarissa wykonała kolejny piruet i dygnęła przed Sophie. - Wiem też - dodała, ścisząc głos - że nie powinnam tak mówić, ale chcę przynajmniej spróbować flirtu.

Patrząc na skapaną w promieniach popołudniowego słońca wdzięczną sylwetkę Clarissy, Sophie pomyślała, że jej kuzynka na pewno bez trudu zrealizuje swe marzenia. Czuła też, że powinna zrobić coś, by ściągnąć dziewczynę z obłoków, a także wziąć w obronę miejscowych dżentelmenów, zwłaszcza zaś Neda. I zrobiłaby to, gdyby nie czuła się tak źle. Gdy jednak pulsujący ból rozsada skronie, a w myślach panuje zamęt, bardzo trudno jest wyszukać rozsądne argumenty.

- A ty, Sophie? - Clarissa przerwała nagle rozważania na

temat świetlanej przyszłości i spojrzała na kuzynkę. - Przyznaj się, że pan Lester ujął cię wczoraj rycerską postawą.

Sophie przymknęła oczy. Kiedy Clarissa wbiła sobie coś do głowy, potrafiła być równie nieustępliwa jak jej matka.

- Rzeczywiście - przyznała niechętnie - pan Lester jest bardzo rycerski. Nie jest to jednak jedyne kryterium, jakim będę się kierować przy wyborze męża.

- To jakie wobec tego są twoje kryteria?

Zza spuszczonej rzes Sophie popatrzyła na uśmiechniętą kuzynkę i doszła do wniosku, że Clarissa nie da się zbyć byle czym.

- To, czy lubi dzieci - powiedziała. Ten sprawdzian pan Lester na pewno by zdał. Doskonale radził sobie z Amy, a także z chłopcami. - Poczucie humoru. - Tę cechę także posiadał, choć czasami w stopniu zasługującym na surową naganą. - Musi być to również człowiek solidny, na którym można polegać, i nie ulegający zbyt łatwo nastrojom. - Z tym akurat jej książę z bajki mógłby mieć pewne kłopoty. Uwodziciele, jak zawsze rozumiała, byli całkowicie nieodpowiedzialni. Układając w myślach listę ewentualnych zalet, Sophie zmarszczyła brwi.

- Powinien być w miarę przystojny, choć nie musi być, oczywiście, Adonisem. Nie może być skąpy, zrzędlivy i uszczypliwy. I powinien umieć tańczyć walca - zakończyła, otwierając oczy i rzucając Clarissie kpiące spojrzenie. - Jesteś zadowolona?

Panna Webb roześmiała się i klasnęła w ręce tak głośno, że Sophie aż się wzdrygnęła.

- Coś podobnego! Przecież to wykapany pan Lester!

Sophie szybko wstała z fotela i roześmiała się, by ukryć zmieszanie.

- Moja kochana, ponosi cię wyobraźnia. Obecność pana Lestera i spotkania z nim to czysty przypadek, uwierz mi.

Clarissa zdumiała się, nie zdecydowała się jednak na to, by wdawać się w spór.

- Myślę, że coś ich dzisiaj zatrzymało - powiedziała tonem sugerującym, że nawet nie dopuszcza innej myśli. A potem, zwi-  
żając wstążki kapelusza, dodała: - Ciekawe, kiedy się znów  
spotkamy.

Zasiadając do obiadu w jadalni, Jack byłby już w stanie  
udzielić Clarissie dokładnej odpowiedzi na to pytanie. Podjął  
nieodwołalną decyzję - nazajutrz opuszczał Leicestershire. I to  
już z samego rana.

Właśnie zakomunikował to Percy'emu, który zajął miejsce  
po jego prawej stronie.

- Co się stało? Myślałem, że zainstalowałaś się tutaj na kilka  
tygodni?

- Rzeczywiście, miałem taki zamiar - potwierdził Jack -  
coś mi jednak wypadło. - I nim Percy zdążył zadać następne  
pytanie, dodał: - Poza tym, pogoda się zmieniła, więc lepiej bę-  
dzie, jeśli przed powrotem do miasta zajrzę do Lester Hall.

- Już wiem, w czym rzecz - stwierdził Percy. - Idą roztopy,  
a to wróży marne warunki dla kolejnych gonitw. Obawiam się,  
że pozostało już ich niewiele do końca sezonu.

Jack pokiwał głową. Zwykł ujeżdżać ciężkie konie, więc  
w nadchodzących tygodniach jego wierzchowcom trudniej by-  
łoby brać udział w gonitwie.

- Chyba zajrzę do mojego staruszka - zastanawiał się na  
głos Percy. - Staje się trochę marudny, kiedy się o nim zapomi-  
na. Pojadę spełnić synowski obowiązek, a potem spotkamy się  
w mieście.

Jack znów pokiwał głową, pogrążony we własnych myślach.  
Prawdę mówiąc, nie musiał wcale spieszyć się do Londynu,  
przecież Webbowie nie będą przyjmowali gości jeszcze co naj-  
mniej przez tydzień.

Decyzja wyjazdu z Leicestershire podyktowana została prze-

konaniem, że scena taka jak wówczas, gdy zdejmował Sophie z grzbietu ogiera, nie może się już powtórzyć. Na szczęście, dzięki temu wypadkowi udało mu się zyskać sympatię państwa Webbów i został nieomal zobowiązany do złożenia im wizyty w Londynie. Zakładając, że pani Webb również mu sprzyjała, mógł się spodziewać, że na swojej drodze nie napotka żadnych większych przeszkód, gdyby zechciał zgodnie z przyjętymi obyczajami kontynuować znajomość z Sophie.

Należało to uznać za pierwsze - choć na razie bardzo skromne - zwycięstwo.

Jednakże, mając świeżo w pamięci swoją gwałtowną reakcję, zdecydował, że mądrzej jest powstrzymać się od dalszych kroków, póki jego złotowłosa wybranka nie będzie chroniona wymogami etykiety londyńskiej elity.

Surowe reguły oraz niewzruszone zasady są bez wątpienia dostatecznie sztywne, by sprawić, że jego konkury potoczą się powszechnie przyjętym trybem.

Tak więc, dla dobra Sophie, jak również - co przyznawał z niechęcią - dla własnego, postanowił pozbawić się widoku ślicznej twarzy Sophie, dopóki panienka nie pojawi się w Londynie.

Wszyscy na tym skorzystają.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Wchodząc po schodach Entwhistle House, Sophie patrzyła na jedwabie i satyny, klejnoty i loki - oto znów znalazła się pośród londyńskiej śmietanki oddającej się ulubionemu zajęciu, czyli zabawie. Rozbrzmiewające wokół wytwornie modulowane głosy zagłuszały dobiegające z sali balowej płaczliwe tony skrzypiec. Tuż przed Sophie kroczyła Lucilla, w eleganckiej sukni z ciemnoniebieskiego jedwabiu przyozdobionego koronką, zatrzymując się jedynie po to, by przywitać się ze znajomymi, bliższymi i dalszymi, którzy pozdrawiali ją ze wszystkich stron.

Za Sophie stąpała oniemiała z zachwytu Clarissa.

- Czy to nie cudowne? - wyszeptała w końcu. - Tyle pięknych sukien. A mężczyźni wyglądają dokładnie tak, jak ich sobie wyobrażałam. Co do joty! Niektórzy z nich są bardzo przystojni, prawda?

Ledwo przebrzmiały te słowa, gdy Clarissa spostrzegła eleganckiego młodzieńca, który, widząc jej zachwycone spojrzenie, puścił do niej beczelnie oko. Zawstydzona, spłonęła rumieńcem i skryła się za wachlarzem.

Patrząc w ślad za jej spojrzeniem, Sophie napotkała wzrok zuchwałego młodzieńca i z wyższością uniosła brwi. Mężczyzna skłonił się z uśmiechem, a potem odwrócił się do swoich towarzyszy. Sophie ujęła Clarissę pod rękę.

- Rzeczywiście, niektórzy są bardzo przystojni, a ty także jesteś bardzo ładna, więc nie dziw się, że będą się na ciebie patrzeć. W takim wypadku najlepiej ignorować ich spojrzenia.

- Naprawdę? - Clarissa zerknęła ukradkiem na nieznajomego. Kiedy się przekonała, że jest pogrążony w rozmowie z innymi młodymi dżentelmenami, odetchnęła z ulgą i przyjrzała się swojej sukni. Było to zwiewne arcydzieło z muślinu w kolorze akwamaryny.

Zwiewność kreacji podkreślały maleńkie bufki i biała koronka, którą obramowano dekolci.

- Muszę przyznać, że początkowo zdziwił mnie wybór madame Jorge, ale w tej sukni jest mi rzeczywiście do twarzy. Prawda?

- Dowodem na to jest zainteresowanie tego pana - odparła Sophie. - Mówiłam ci, że nigdy nie należy się spierać z madame Jorge, bo, poza wszystkim, to próżny trud.

Clarissa zachichotała.

- Nie przypuszczałam, że ona jest taka.

Sophie patrzyła przed siebie z uśmiechem. Wyjechali z Leicestershire w piątek i spędzili w drodze dwie noce, więc już w niedzielę po popołudniu znaleźli się na Mount Street. Przez resztę dnia w wielkim chaosie rozpakowywali bagaże i instalowali się w domu, który miał ich gościć podczas sezonu. Lucilla zapędziła wszystkich wcześniej do łóżka, surowo zapowiadając Sophie i Clarissie:

- Jutro z samego rana jedziemy do madame Jorge. Żadna z was nie pokaże się w towarzystwie bez odpowiedniej sukni. Ufam, że madame Jorge będzie mogła nam pomóc, bo, o ile pamiętacie, jutro wieczorem jesteśmy proszone do lady Entwistle.

Tak więc zaraz po śniadaniu, o nieprzyzwoicie wczesnej porze, bo o dziesiątej rano, panie zjawiły się przed drzwiami salonu na Bruton Street.

- Mogę tylko mieć nadzieję, że mimo tak krótkiego terminu madame Jorge nie odprawi nas z kwitkiem - powiedziała Lucilla, kiedy szły na górę.

Niepotrzebnie jednak się martwiła, właścicielka salonu bowiem z niekłamana radością rzuciła jej się na szyję.

Madame Jorge była ulubioną modystką matki i ciotki Sophie. Stroje panny Winterton na pierwszy, tak nieszczęśliwie zakończony sezon, także pochodziły z jej salonu. Jednak sama madame Jorge zupełnie nie pasowała do ogólnie przyjętych wyobrażeń o modystkach.

Była olbrzymia, a jej gigantyczny biust współgrał z rozłożystymi biodrami i parą potężnych ramion, lecz jakby w zamian za to jej małe dłonie i krótkie, pulchne paluszki były niebywale zręczne. Madame nie miała też prawie szyi, a siwe włosy nosiła splecione w warkocz otaczający głowę. W rumianej twarzy lśniły małe, niebieskie oczka. Tylko bystre spojrzenie i zdecydowane usta zdradzały prawdziwą naturę szanowanej modystki.

- Ach, i panna Sophie także przyjechała! - wykrzyknęła, kiedy już przywitała się z Lucillą. - *Ma pauvre* malutka, jak miło znowu cię zobaczyć.

Madame przytuliła Sophie do obfitego biustu, przyobleczonego w czarną krepe, a potem odsunęła dziewczynę na odległość ręki, aby lepiej jej się przyjrzeć.

- Ależ tak! To cudowne... *wunderbar!* - Madame nigdy nie ograniczała się do jednego języka, była bowiem poliglotką i zwykle mówiła co najmniej trzema jednocześnie. Cofnęła się o krok, mrużąc oczy, a potem machnęła taśmą krawiecką, którą zawsze nosiła na szyi. - Dla ciebie, *mein Liebchen*, trzeba wziąć nową miarę. - Oczy jej załśniły. - Zawrócisz wszystkim panom w głowie!

Sophie mruknęła, że wolałaby nie, lecz madame Jorge chyba tego nie usłyszała. Modystka wypatrzyła właśnie Cłarissę, która nieco onieśmielona trzymała się z tyłu. Ona także utonęła w niedźwiedzim uścisku madame.

- Och, *le petit chou!* Wykapana mama. Taka młodziutka, ale zasługuje na coś ładnego, prawda?



Clarissa spojrzała z przerażeniem na matkę. Lucilla natychmiast wytłumaczyła madame Jorge, jakie kreacje chce sprawić obu pannom oraz sobie, jak również wyjaśniła przyczynę pośpiechu.

Zacna modystka natychmiast wszystko pojęła.

- *Quelle horreur!* Iść na bal bez nowej sukni - to nie do pomyslenia. Nie, nie, musimy temu jakoś zaradzić!

I rzeczywiście jej się to udało.

Patrząc na swoją jedwabną suknię w delikatnym seledynowym odcieniu, który wydobywał błękit oczu Sophie i podkreślał złoty kolor jej loków, dziewczyna czuła się bardziej niż zadowolona. Powłóczysta suknia z wysokim stanem i głęboko wyciętym dekoltem karo doskonałe uwydatniała jej smukłe kształty. Madame Jorge, jak zwykle, przysłała im w sukurs niczym dobra wróżka, a jej ręce miały magiczną moc. Nowe suknie balowe zostały dostarczone o szóstej wieczorem, a pierwsze toaletyienne miały znaleźć się na progu następnego dnia o dziewiątej rano.

- Sophie! Popatrz!

Idąc za wzrokiem Clarissy, Sophie spostrzegła młodziutką panienkę w sukni z różowego muślinu. Rząd szerokich falbanek wokół szyi, powtórzony jeszcze dwukrotnie poniżej talii sprawiał, że dziewczyna wyglądała na szerszą niż wyższą. O tę właśnie sukienkę Clarissa toczyła boje u madame Jorge.

- O mój Boże! - jęknęła z przerażeniem, patrząc na niešťczęsną właścicielkę sukni, w której sama chciała wystąpić na pierwszym balu. - Czy ja też bym tak wyglądała?

- Z całą pewnością - odparła Sophie. - I jest to kolejny dowód na to, że nigdy nie należy sprzeciwiać się gustom madame Jorge.

Clarissa skinęła głową, odwróciła wzrok i zaczęła nerwowo lustrować wzrokiem tłum oddzielający je od gospodyni balu.

- Nigdy dotąd nie widziałam tyłu eleganckich osób w jednym miejscu.

Usta Sophie drgnęły w uśmiechu.

- Muszę ci powiedzieć, że według tutejszych norm to tylko małe, prywatne spotkanie. Na oko sądząc, jest tu najwyżej ze sto osób.

Dziewczęta weszły już na górę i wolno sunęły przez foyer na piętrze, aż wreszcie stanęły oko w oko z lady Entwhistle.

- Lucillo, kochanie, tak się cieszę, że jesteś. - Lady i Lucilla musnęły się wyperfumowanymi policzkami, po czym lady Entwhistle zlustrowała przez lorgnon suknie dziewcząt i życzliwie pokiwała głową. - Widzę, że nie wyrzuciłaś pieniędzy na darmo.

- Ach, Mary! - westchnęła Lucilla. - Nie masz pojęcia, ile się przy tym nadenerwowałam - powiedziała i podeszła do stojącego za jej przyjaciółką młodzieńca, kuzyna lorda Entwhistle'a, pana Millthorpe'a.

Sophie i Clarissa dygnęły przed lady, po czym raz jeszcze zostały dokładnie przez nią obejrzone. Żaden szczegół ich stroju nie uszedł uwagi gospodyni - od aksamitnych wstążek we włosach po atłasowe pantofelki.

- No tak - stwierdziła rozpromieniona dama. - Cudownie! Nie wątpię, że tym razem czeka cię wspaniały sezon, Sophie.

Ton lady nie pozostawiał cienia wątpliwości, co jej zdaniem oznaczał „wspaniały sezon”. Wiedząc, czego może się spodziewać po dawnych przyjaciółkach matki, Sophie uśmiechnęła się łagodnie, po czym obie z Clarissa podeszły do pana Millthorpe'a.

Ten sympatyczny i niebrzydki młodzieniec czuł się ogromnie speszony skupioną na nim uwagą całego towarzystwa. Na spokojne powitanie Sophie wymamrotał coś nerwowo, a jego ręce machinalnie powędrowały w stronę krawata. Potem odwrócił się do Clarissy, która następowała Sophie na pięty, zbladł, a na koniec oblał się rumieńcem.

- W rzeczy samej - powiedział, kłaniając się ze wzrokiem utkwionym w twarzy Clarissy - bardzo mi miło panią poznać, panno... panno... - nagle w jego oczach ukazał się błysk - panno Webb! - Millthorpe uśmiechnął się triumfalnie. - Mam nadzieję, że znajdzie pani dla mnie później trochę czasu, kiedy już będę wolny. - Machnął ręką w stronę ciotki.

Clarissa, nieco zaskoczona, posłała mu nieśmiały uśmiech. Okazał się on wystarczającą zachętą dla pana Millthorpe'a, który rozpromienił się, po czym ze zdwojonym zapałem powrócił do swoich obowiązków.

Rozbawiona Clarissa podeszła do Sophie, która czekała na nią na półpiętrze schodów prowadzących w dół, do sali balowej.

Z podestu roztaczał się widok na salę i Sophie z trudem powstrzymała chęć, by zerkać z ciekawością na morze głów. W końcu uniósłszy lekko spódnicę, zaczęła powoli schodzić po schodach w ślad za ciotką, a za nią z trudem kryjąc podniecenie, szła zarumieniona Clarissa. Czując dziwny ucisk w piersi, Sophie z pewnym zażenowaniem uświadomiła sobie, że i jej nie ominęło uczucie miłego podekscytowania.

Uniosła głowę i jej wzrok napotkał wejrzenie szafirowych oczu.

Serce zatrzepotało jak ptak na uwięzi, a ciałem wstrząsnął dreszcz. Lester w jednej chwili zawładnął wszystkimi zmysłami Sophie. Był niezwykle elegancki w czarnym surducie i białym krawacie spiętym szpilką z olbrzymim szafirem o niepokojącym lśnieniu.

Jack z niekłamana radością patrzył, jak piękna dziewczyna się do niego zbliża. Na przedostatnim stopniu Sophie zatrzymała się, rozchyliła usta, a jej obnażony dekolt lekko zafalował.

Nie spuszczać z niej wzroku, Jack uniósł brwi.

- Dobry wieczór, panno Winterton.

Lester skłonił się, a nim się wyprostował, Sophie zdążyła już

oprzytomnieć, zeszła z ostatniego stopnia, dygnęła, a potem wyciągnęła rękę.

- Dobry wieczór, sir. Nie spodziewałam się, że pana dziś tu zobaczę.

- Czy mogę panią prosić, żeby wyświadczyła mi pani ten zaszczyt i zatańczyła ze mną walca? Trzeciego, jeżeli jest pani jeszcze wolna.

Sophie nie miała dotąd czasu, żeby zajrzeć w swój karnecik. Otworzyła go teraz i maleńkim ołówkiem wpisała nazwisko Lestera.

Gdy znowu podniosła na niego wzrok, Jack gładko do rzucił:

- A jeżeli nie jest pani jeszcze zajęta, chciałbym towarzyszyć pani przy kolacji, która się odbędzie po tańcach.

Sophie sama nie wiedziała, jak to się stało, że bezwiednie podała mu rękę, którą on delikatnie przyciągnął do siebie.

- Będzie mi bardzo miło, sir - powiedziała cicho, odwracając wzrok.

- Z całą pewnością tak - odparł znaczącym tonem.

Sophie uniosła głowę, starając się zachować spokój.

Tymczasem Lester odprowadził ją do fotela, na którym zasiadła Lucilla, zamienił kilka miłych słów, po czym skłonił się elegancko, przeprosił i zniknął, zostawiając damy z grupką panów, którzy podeszli, żeby się przywitać.

Mimo iż był to zaledwie „skromny” bal, a elita zaczynała dopiero zjeżdżać do stolicy, znalazło się dość chętnych kawalerów, by karnecik Sophie zapełnił się na długo przedtem, nim zaczęto tańce.

Clarissa cieszyła się równie dużym powodzeniem wśród nieco młodszych dżentelmenów. Po chwili zaczęła z niepokojem spoglądać na Sophie, która zdecydowanym, choć uprzejmym tonem przeproszała pana Harcourta.

- Bardzo mi przykro, że sprawiam panu zawód, ale wszystkie tańce mam już zajęte.

Już wkrótce Clarissa powtórzyła jej słowa, odpowiadając grzecznie lorda Swindona.

Ledwo Sophie odzyskała względną równowagę ducha, doznała niemiłego uczucia, że coś jest nie w porządku. Dopiero kiedy po raz trzeci przyłapała się na tym, że rozgląda się po sali balowej, uświadomiła sobie, co to takiego.

Ganiąc się w duchu, przyobekła twarz w aż nazbyt promienny uśmiech i zwróciła się do otaczających ją wielbiciel;

- Czy pana siostra także wybiera się do Londynu, lordzie Argyle? Chętnie bym się z nią znowu spotkała.

Ostatecznie przyjechała tu po to, żeby sobie znaleźć męża, a nie po to, by paść ofiarą jakiegoś lekkoducha.

Najwyższym wysiłkiem woli Jack zdołał utrzymać się z daleka od Sophie aż do tańca poprzedzającego walc, po którym miała nastąpić kolacja. Wciąż musiał sobie przypominać, że jest zbyt doświadczonym człowiekiem, aby ktokolwiek mógł zmusić go do płasów z niechcianą partnerką. Krążył po sali, zrećnie unikając delikatnych sugestii, by zaprosił którąś z młodych dam na parkiet. Kiedy umilkły ostatnie tony, przepchnął się przez tłum i stanął przed Sophie. Los znowu się do niego uśmiechnął, bo dziewczyna właśnie kończyła dziękować swojemu ostatniemu tancerzowi, lordowi Enderby.

- Panno Winterton. - Jack skłonił się lekko, po czym ujął ją z uśmiechem za rękę. - Witam, lordzie Enderby. - Skinął głową.

- Słucham? - Mrużąc krótkowzroczne oczy, lord Enderby spojrzał na Jacka. - Ach, to ty, Lester. Nie spodziewałem się, że cię tu zobaczę. Myślałem, że będziesz w Newmarket.

Jack uśmiechnął się, patrząc prosto w oczy Sophie.

- Dowiedziałem się, że w tym sezonie można się spodziewać niebywałych atrakcji w Londynie.

- Naprawdę? - Lord Enderby miał zbyt słaby wzrok, by móc ocenić rozgrywającą się przed nim scenkę. - A co to takiego?

- Nie zwykłem zdradzać sekretów - odparł Lester. - Wkrótce sam się dowiesz. - Mówiąc to, ani na moment nie spuszczał wzroku z twarzy Sophie. - Ale przede wszystkim zjawiłem się, żeby ci wykraść pannę Winterton. Zamówiłem u niej następny taniec, nieprawdaż, moja droga?

- Rzeczywiście ten taniec należy do pana, sir - odezwała się Sophie. - Czy jednak nie powinniśmy wrócić do mojej ciotki?

- Dlaczego? - Jack z miną niewiniątka prowadził ją dokładnie w przeciwnym kierunku.

- Bo tak wypada - odparła krótko.

Uśmiechnął się kpiąco i spojrzał jej w oczy.

- Nie jest pani już debiutancką, moja droga - powiedział z naciskiem. - A poza tym nie ma tu aż takich tłumów, aby pani ciotka nie mogła mieć pani na oku, gdyby jej na tym zależało.

Miał rację, co Sophie uświadomiła sobie, gdy jej rozkołatanе serce wreszcie nieco się uspokoiło. Kiedy zerknęła przez ramię, na drugim końcu sali zobaczyła Lucille z Clarissa.

- Przecież nie zamierzam pani porwać. Pomyślałem tylko, że być może ma pani ochotę zobaczyć, kto jeszcze przybył na ten bal - wyjaśnił spokojnie Lester.

W oczach Sophie odmalowało się wahanie. A potem, rzucając mu ostatnie podejrzliwe spojrzenie, poddała się i oparła dłoń na jego ramieniu.

Zgodnie z obietnicą, Jack zaczął oprowadzać Sophie po sali.

- Lady Entwhistle może mieć satysfakcję, że już na początku sezonu udało jej się zgromadzić tyle osób. O, tam stoi lord Abercrombie. - Jack wskazał Sophie słynnego myśliwego. - Poznała już go pani? - Sophie skinęła głową. - Abercrombie

rzadko opuszcza Northamptonshire przed końcem kwietnia. Śniegi musiały już rzeczywiście stopnieć, skoro zdecydował się na przyjazd do stolicy.

Sophie była istotnie zaskoczona, że tak wielu starszych wiekiem kawalerów przybyło na bal.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że to sprawa pogody.

- Dla niektórych tak - powiedział cicho Jack, a po plecach Sophie przebiegł dreszcz. Dziewczyna szybko odwróciła wzrok. - A jak znajduje pani towarzystwo elity po czteroletniej nieobecności? Czy wciąż ma ono dla pani pewne uroki?

Sophie nie odpowiedziała od razu, bowiem cyniczna nuta w głosie Jacka kazała jej się zastanowić.

- Uroki? - powtórzyła, przechylając głowę. - Nie wiem, czy to właściwe określenie, sir. - Zmarszczyła brwi. - Widzę, oczywiście, cały ten splendor - zatoczyła ręką łuk - ale każdy, kto ma oczy, musi widzieć, że to rzecz ulotna, złudzenie. - Ruszyli w dalszy obchód. Sophie uśmiechnęła się z goryczą. - Moim zdaniem sezon to czas, kiedy wszyscy zjeżdżają się do Londynu, żeby olśnić się nawzajem swoją pozycją, zanim łąto wezwie nas do naszych prawdziwych obowiązków, czyli do zarządzania majątkami.

Jack spojrzał na nią nieodgadnionym wzrokiem.

- Pani mądrość wykracza ponad pani wiek, moja droga.

Sophie uniosła sceptycznie brwi.

- A pan, sir? Trudno mi uwierzyć, że pańskie poglądy na sezon zgadzają się z moimi. Zawsze słyszałam, że dżentelmeni tacy jak pan mają pewne interesy, dla których sezon jest im nieodzowny.

Usta Jacka drgnęły w uśmiechu.

- W rzeczy samej, moja droga... - Urwał, a po chwili dodał: - Nie powinna pani jednak zakładać, że takie właśnie interesy stoją za moim wcześniejszym przyjazdem do Londynu.

- Naprawdę? - chłodno zapytała Sophie. - Czy to znaczy, że nuda przygnała pana na południe?

Jack spojrział na nią z góry.

- Nie, panno Winterton, to nie była nuda.

- Jeśli nie nuda, to co? - Nie mogła dopuścić do tego, aby wciąż miał nad nią przewagę. - Co, panie Lester?

Lecz on znów tylko zerknął na nią nieodgadzionym wzrokiem.

Wytrzymała to spojrzenie, a potem wzrok jej prześlizgnął się po jego zgrabnej, eleganckiej postaci. Piękny szafir lśnił w białych fałdach krawata - poza nim Lester nie nosił żadnych ozdób czy klejnotów.

- Już rozumiem - powiedziała, kładąc mu ponownie rękę na ramieniu. - Niech się pan przyzna, że to wizja pańskich wierzchołków tonących w błocie wprawiła pana w rozpacz i kazała mu wyjechać z Leicestershire.

Jack roześmiał się.

- Znowu się pani myli.

- To może emocje, które oferują dzentelmenom salony gier, zwabiły pana do miasta?

- Owszem, emocje, ale nie takie, jakich człowiek doznaje przy zielonym stoliku.

- Więc co? - nalegała Sophie.

Wzrok Jacka prześlizgnął się po jej złotych lokach, by zatrzymać się na błękitnych oczach. Leniwy uśmiech wypłynął na jego usta.

- Zwabiło mnie złoto, moja droga.

- Przyjechał pan tu w poszukiwaniu fortuny? - Sophie zmarszczyła brwi.

- Nie fortuny, panno Winterton - powiedział, a uśmiech zniknął z jego ust. - Nie fortuny, tylko przyszłości.

Sophie skłonna była przysiąc, że wyfroterowany parkiet zdrzął pod jej stopami. Jak przez mgłę dotarło do niej, że



przystanąli, że tłum wokół nich zbladł, a gwar ucichł. Nagle zabrakło jej tchu, poczuła, jak coraz mocniej kręci się jej w głowie.

Mimo iż głęboko zaglądała Jackowi w oczy, nie potrafiła nic z nich wyczytać - ani potwierdzenia, ani zaprzeczenia tej szalonej myśli, która zrodziła się w jej głowie.

A potem nagle ciepły uśmiech rozjaśnił surowe rysy Lestera.

- Wydaje mi się, że zaczyna się nasz walc, panno Winterton - powiedział. - Czy zechce pani ze mną zatańczyć, moja droga?

Sophie zdrząła. Nie jest przecież podlotkiem, tylko dwudziestodwuletnią, pewną siebie kobietą. Udając, że nie słyszy głuchego łomotu własnego serca ani subtelnych podtekstów w głosie Lestera, wyprostowała się, skinęła z godnością, po czym wyciągnęła rękę.

Dłoń Jacka zamknęła jej palce w silnym uścisku. Sophie nie mogła sobie przypomnieć, jakiej udzieliła odpowiedzi. Bez słowa pozwoliła, by Lester objął ją w tali i wprowadził w wirujący tłum, gdzie stali się po prostu kolejną parą na parkiecie.

Sophie co chwila powtarzała sobie, że nie ma nic szczególnego w tym walcu ani też nic nadzwyczajnego nie dzieje się między nią a Jackiem.

Dopiero kiedy się zatrzymali, dotarło do Sophie, że taniec dobiegł końca. Przez cały walc nie zamienili ze sobą ani słowa, a jednak wydawało się, jakby wszystko zostało jasno powiedziane.

Jack z poważnym, a zarazem łagodnym wejrzeniem ujął ją pod rękę.

- Pora na kolację, moja droga.

Jego oczy jaśniały uśmiechem. Sophie upajała się blaskiem tego spojrzenia. Onieśmielona, a zarazem podniecona, wytracona z równowagi, a jednocześnie dziwnie spokojna odpowiedziała:

- Rzeczywiście. Ufam, że mnie pan zaprowadzi, zdaję się na pana.

- Zawsze może pani to robić - odparł z powagą.

Wyszukał stolik na dwie osoby, po czym zadbał o to, by przyniesiono im półmisek wykwintnych kanapek oraz dwa kieliszki szampana. A potem usiadł wygodnie i zaczął bawić Sophie opowieściami o najciekawszych zdarzeniach minionego roku. Na koniec oboje zaczęli rozważać możliwy scenariusz wydarzeń tego sezonu.

Mimo nastroju uniesienia, Sophie wdzięczna była Jackowi za wszystko, co odwracało jej uwagę od sedna sprawy. Miała wrażenie, że znalazła się na skraju przepaści, i nie potrafiła powiedzieć, czy rozsądnie będzie zrobić następny krok. Śmiała się więc i plotkowała, udając, że nie dostrzega tych chwil, kiedy ich oczy spotykały się na dłuższą chwilę.

Nastrój uniesienia nie mijał, jakby oderwała się od ziemi i stała się lżejsza niż powietrze. Trwał również i wtedy, gdy Jack odprowadził ją z powrotem do ciotki.

Z godnym podziwu spokojem Sophie podała Lesterowi rękę.

- Dziękuję panu za mile spędzony czas, sir - powiedziała miękko, przyciszonym głosem.

Obok stała już grupka dżentelmenów, którzy czekali na jej powrót.

Jack zlustrował ich niechętnym wzrokiem, był jednak zbyt rozważny, by to jawnie okazywać. Ujął rękę Sophie i skłonił się z gracją. Kiedy się wyprostował, spojrzął w oczy dziewczyny - po raz ostatni tego wieczora.

- Do zobaczenia, panno Winterton.

Jego ton sugerował, że nastąpi to już wkrótce.

Ku głębokiej konsternacji Sophie, Lester pojawił się już następnego ranka. Kiedy na życzenie ciotki wezwano ją do salonu, okazało się, że Lester już tam czekał, ubrany w elegancki strój stosowny na poranne wizyty w mieście. Na widok wchodzącej Sophie podniósł się z fotela.

- Dzień dobry, panno Winterton - powiedział, patrząc na nią przenikliwym wzrokiem.

Sophie momentalnie się opanowała i ze spokojem odparła:

- Dzień dobry, sir.

Odpowiedział ciepłym uśmiechem, po czym puścił jej rękę i zwrócił się, żeby powitać Clarissę, która pojawiła się w ślad za Sophie.

Czując na sobie zwodniczo łagodne spojrzenie ciotki, Sophie podeszła do sofy i usiadła, machinalnie poprawiając suknię. Patrząc na Clarissę, przekonała się, że wdzięk pana Lestera nie na wszystkich wywierał jednakowe wrażenie. Mimo braku doświadczenia Clarissa nie wydawała się szczególnie poruszona, a nieoczekiwanego gościa powitała po prostu z zadowoleniem.

Jack znów zajął miejsce w delikatnym, biało-złotym foteliku. Zdażył już wyłuszczyć Lucilli przyczynę porannej wizyty, tłumacząc się zaproszeniem, które otrzymał jeszcze przed wyjazdem z Leicestershire.

- Jak już mówiłem, pani Webb, miło jest mieć dla siebie trochę czasu, zanim sezon się rozkręci.\_\_\_\_\_

- Istotnie - przyznała Lucilla. W porannej sukni z wiśniowego batystu królowała w fotelu obok kominka. - Muszę jednak przyznać, że wczorajsze spotkanie na nowo uświadomiło mi, jak wyczerpujące potrafi być życie towarzyskie. Zdażyłam już o tym zapomnieć.

Jack spojrzał na nią uważnie, lecz wyraz twarzy miał spokojny i życzliwy.

- To prawda. - Lekko skłonił głowę. - Dla kogoś, kto przyjeżdża prosto ze wsi, sala balowa może się okazać poważną próbą.

- Bardzo ciężką próbą - zgodziła się Lucilla, a zwracając się do pańienek, zapytała: - Co wy na to, moje drogie?

Clarissa uśmiechnęła się promiennie i otworzyła usta, aby zaprzeczyć, ale Sophie ją ubiegła.

- Rzeczywiście tłum był dość spory. Na koniec atmosfera zrobiła się raczej ciężka.

- Zgadzam się z panią - zapewnił Jack z uśmiechem. - Zastanawiałem się, panno Winterton, czy nie miałyby pani ochoty zapomnieć o tłumach i wybrać się na przejażdżkę po parku? Tak się akurat składa, że przyjechałem dwukółką.

- Co za wspaniały pomysł - poparła go Lucilla, spoglądając na Sophie.

- Gdyby pani zechciała, panno Winterton? - Jack powtórzył pytanie.

Sophie wzięła głęboki oddech i... skinęła głową.

- Ja... - Nagle jej wzrok padł na splecione na kolanach ręce. Uświadomiła sobie, że jest w porannej sukni z liliowego muślinu. - Muszę się przebrać.

- Jestem pewna, że pan Lester poczeka, moja droga.

Sophie opuściła salonik i udała się do swego pokoju, natychmiast wezwała pokojówkę i z garderoby wyjęła spacerowy strój, który madame Jorge przysłała tego ranka. Mięśisty materiał w kolorze umbry, poprzetykany zieloną nitką mienił się odcieniami brązu i złota. Sophie stanęła przed lustrem, przyłożyła suknię do twarzy i zadowoleniem stwierdziła, że oryginalny kolor idealnie podkreśla złoto jej włosów oraz kremową cerę. Tułąc do siebie suknię, okręciła się wkoło, wykonała kilka tanecznych kroków, a jej serce radośnie zabiło.

Nagle zauważyła wzrok pokojówki. Dziewczyna stała w progu i patrzyła na nią ze zdumieniem. Sophie znieruchomiała.

- Ach, jesteś już, Ellen. Pomóż mi, muszę się przebrać.

Na dole, w saloniku, Jack gawędził z Lucillą na błahe tematy, gdy nagle pani Webb powiedziała:

- Proszę wybaczyć, sir, ale Clarissa musi na chwilę nas opuścić. Mamy tyle zajęć związanych z przenosinami do miasta.

Idź i zerknij na bliźniaki, kochanie - zwróciła się do córki. - Zawsze się niepokoję, kiedy nie wiem, co się z nimi dzieje.

Dziewczyna wstała, dygnęła z uśmiechem przed Jackiem, po czym pospiesznie opuściła pokój.

- One mają po sześć lat - wyjaśniła Lucilla - a to wielce pomysłowy wiek.

Jack skinął głową i pośpiesznie wrócił do bezpiecznych tematów.

- Pani Webb, chciałbym pogratulować pani wyjątkowej córki. Rzadko widuje się tak niepospolitą urodę w połączeniu z tak miłym usposobieniem. Przepowiadam jej olbrzymie powodzenie.

Twarz Lucilli rozjaśnił uśmiech macierzyńskiej dumy.

- To bardzo możliwe. Szczęściem dla mnie i pana Webba, a także, śmiem twierdzić, dla samej Clarissy, wszyscy jesteśmy świadomi, że sezon ten ma wyłącznie służyć... - Lucilla wykonała nieokreślony gest - poszerzeniu jej horyzontów. Przyszłość mojej córki została już ustalona. Jest to młody dżentelmen z Leicestershire, jeden z naszych sąsiadów, Ned Ascombe.

- Ach, tak? - Jack udał uprzejme zainteresowanie.

- Tak. - Pani Webb przybrała bardziej konfidencjonalny ton. - Oboje z mężem jesteśmy zdania, że młoda dziewczyna nie powinna dokonywać ostatecznego wyboru dopóki... dopóki nie rozejrzy się wokoło. Wybranek może, oczywiście, być ten sam co przedtem, ale dziewczyna będzie wiedziała, że podjęła właściwą decyzję. - Lucilla spojrzała na Jacka. - Dlatego właśnie tak bardzo nam zależało, aby Clarissa spędziła w stolicy cały sezon i w ten sposób poznała samą siebie.

- A pani siostrzenica?

Pani Webb zmarszczyła lekko brwi, lecz w jej oczach ukazał się błysk aprobaty.

- W tym rzecz. Pierwszy sezon Sophie był tak krótki, że się

w zasadzie nie liczy. Została przedstawiona w towarzystwie, miała kilka wyjść, ale po trzech tygodniach moja siostra zachorowała, a jej choroba okazała się tragiczna w skutkach. - Lucilla westchnęła boleśnie.

Jack skłonił głowę i czekał.

- Tak więc widzi pan, sir - patrząc wymownie na Jacka, Lucilla podjęła wątek - oboje z mężem mamy nadzieję, że dżentelmen, który szczerze doceni naszą drogą Sophie, pozwoli na to, by mogła w pełni wykorzystać tegoroczny sezon.

Jack wytrzymał jej chłodne, wyzywające spojrzenie. Chwila ta zdawała się trwać całą wieczność, a potem z wahaniem skinął głową.

- Tak, madame - przyznał ze spokojem - pani argumenty są niezaprzeczalnie słuszne. - A kiedy zorientował się, że pani Webb czeka na coś więcej, dodał: - Jestem pewny, że dżentelmena, który doceni zalety pani siostrzenicy, stać będzie na taką mądrość.

Lucilla uśmiechnęła się z wdziękiem, a potem zwróciła się w stronę drzwi, które właśnie się otworzyły.

- Ach, jesteś już, Sophie.

Jack podniósł się i ruszył ku stojącej w progu dziewczynie. Na spacerową suknię w oryginalnym złotobrazowym odcieniu Sophie narzuciła ciemnozieloną pelerynkę. Kołnierz i mankiety sukni zostały obszyte tym samym materiałem w kolorze butelkowej zieleni. Stroju dopełniały zielone buciki i również zielone rękawiczki. Jack uśmiechnął się z satysfakcją -jego Sophie była wcieleniem elegancji.

Ośmielona błyskiem aprobaty w jego oczach, panna Winton podała mu rękę, po czym oboje zwrócili się do Lucilli.

- Będę pilnie strzegł pani siostrzenicy, pani Webb - przyrzekł Jack.

Ciotka uważnie im się przyjrzała, z aprobatą oceniła obrazek, jaki razem tworzyli, i uśmiechnęła się.

- Ufam panu, sir, ale nie zabawcie zbyt długo. Lady Cowper zapowiedziała się po południu, a później mamy wpaść do lady Allingcott. - Ostatecznie pani Webb odprawiła ich łaskawym skinieniem głowy.

Dopiero gdy dojechali do parku i Jack popuścił cugle, Sophie uwierzyła, że to nie sen. Że naprawdę jedzie eleganckim powozikiem z Jackiem Lesterem. Rześki, swawolny wietrzyk rozwiewał jej loki. Nad sobą, na tle błękitnego nieba widzieli sklepienie gałęzi pokrytych pierwszymi zielonymi pączkami. Zerkając z ukosa na swego towarzysza, Sophie kolejny raz zadała sobie pytanie o jego intencje.

Jack najpierw grzecznie sprowadził ją po schodach w domu ciotki, lecz potem naraził się Sophie, bo udając, że nie widzi jej ręki, podsadził ją po prostu do powozu. Potem zajął miejsce obok, zapytał, czy jest jej wygodnie, i z pełnym satysfakcji uśmiechem szarpnął za lejce. Uliczny hałas utrudniał rozmowę, więc oboje milczeli aż do bram Hyde Parku.

Teraz, widząc mknące po ścieżkach modne powozy, Sophie rzuciła jakby od niechcenia:

- Nie spodziewałam się, że tak prędko pana zobaczę.

- Nie potrafiłem trzymać się z daleka od pani - odparł, spoglądając na nią z góry. I musiał przed sobą przyznać, że to prawda. Miał szczerą intencję poczekać, aż Webbowie rozgoszczą się na dobre w Londynie, tymczasem nie był w stanie oprzeć się pokusie zabrania Sophie na przejażdżkę, aby przedstawić jej eleganckie towarzystwo, a także by ją zaprezentować - u swego boku. Zdradził się ze swoimi zamiarami tak otwarcie, że ciotka Sophie uznała za stosowne pogrozić mu symbolicznie palcem. Tymczasem nawet pogoda zdawała się mu sprzyjać. Słońce świeciło jak w kwietniu czy maju, a dopiero nastał marzec.

Jack obawiał się, że jego szczerą odpowiedź wprawi Sophie

w zakłopotanie, tymczasem, ku jego miłemu zaskoczeniu, dziewczyna uniosła głowę i ze spokojem oświadczyła:

- Skoro tak, to pozwolę sobie pana wykorzystać. Proszę mi powiedzieć, kim są ci wszyscy ludzie. Ciotka miała mało czasu, żeby mnie wprowadzić, i wielu z nich nie znam.

Jack uśmiechnął się. Dochodziło południe - ulubiona pora na przejażdżki. Wtedy właśnie całe eleganckie towarzystwo zażywało uroków natury.

- Musi pani pamiętać panny Berry - powiedział, kiedy zobaczyli nadjeżdżające staromodne lando. - Zawsze można je spotkać dokładnie w tym miejscu, rano i po południu, przez cały sezon.

- Oczywiście, że je pamiętam. - Sophie z uśmiechem skinęła dwóm starszym damom otulonym w chusty i szale. Panie odpowiedziały uśmiechem. Kiedy powozy się mijały, Sophie dostrzegła w ich oczach życzliwy błysk.

- Nadjeżdża lady Staunton z córkami. Chyba ich pani nie zna, choć bez wątpienia pani kuzynka musiała już zawrzeć znajomość z młodszą z pańien.

Sophie uśmiechnęła się do dziewcząt, wpatrujących się w nią z nie ukrywaną zazdrością. Podejrzewała, że mimo niezaprzecznego smaku, z jakim ubrała ją na tę okazję madame Jorge, to nie jej suknia wzbudziła w ich sercach takie emocje.

Kiedy znów spojrzała przed siebie, zobaczyła wysoką damę ubraną w modną czerwień, spacerującą pod rękę z niebywale przystojnym elegantem. Kiedy powóz zbliżył się, kobieta rozpromieniła się i gestem, który wydał się Sophie nazbyt władczy, przywołała Jacka.

Reakcja była natychmiastowa. Lester sztywno się wyprostował i szarpnął mocniej cugle. Kiedy stało się jasne, że powóz nie zamierza się zatrzymać ani nawet zwolnić, Sophie podniosła wzrok. Twarz Jacka wyrażała lodowatą rezerwę. Czując na sobie spojrzenie Sophie, skłonił się obojętnie mijanej parze.



Przemknęli obok idących. Sophie odetchnęła i odważyła się zapytać:

- A to kto?

W oczach Jacka czaiło się ostrzeżenie. Mimo to czekała, marszcząc brwi.

- To Harriette Wilson - usłyszała wreszcie odpowiedź. - Ktoś, kogo absolutnie nie powinna pani znać.

Sophie mimowolnie roześmiała się, a potem znów zaczęła rozglądać się wokoło. Właśnie zza zakrętu wyłonił się powozik lady Cowper i kiedy się mijali, Sophie pomachała ręką. Z radością spostrzegła, że dama uśmiechnęła się do niej serdecznie.

Lady Cowper należała do grona dawnych przyjaciół jej zmarłej matki.

Minęli wiele innych powozów, a Jack wydawał się znać wszystkich, zaś jego ironiczne uwagi szczerze bawiły Sophie. Cieszyło ją jego towarzystwo i jawna sympatia, jaką jej okazywał. Później przyjdzie czas, by zastanowić się, co to miało oznaczać. Tak więc teraz śmiała się radośnie w blasku niebieskich oczu Lestera.

- Jack! - Radosny okrzyk przerwał ich rozmowę.

Młody, ciemnowłosy dżentelmen, i jego równie elegancki towarzysz, zbliżali się ku nim w wykwinnym faetonie. Jack zjechał na bok alejki. Elegancki ekwipaż zatoczył łuk i zatrzymał się obok.

- Wszędzie cię szukam! - zawołał ciemnowłosy młodzieniec, zerkając na Sophie. - Nigdy bym nie przypuszczał, że cię tu spotkam - dodał z radością.

Uśmiech rozjaśnił surowe oblicze Jacka.

- Gerald! - Jack skinął bratu i badawczym wzrokiem zmierzył elegancki zaprzęg, od pary rasowych koni po nowiusieńkie pudło. - Skąd to masz?

- Powóz prosto z warsztatu starego Smithersa, a konie od Hardcastle'a. Gotów jest sprzedać mi je za ułamek ich wartości,

pięćset za parę. Lecz za powóz musiałbym zapłacić pełną cenę... zresztą, sam wiesz, jaki jest Smithers.

Jack uniósł brwi i pokiwał głową, po czym podał Sophie lejce.

- Mogłaby pani je potrzymać, moja droga?

Sophie pochlebiło to. Doskonale wiedziała, że niewielu dżentelmenów gotowych było powierzyć swoje konie słabej kobiecie. Skinęła wdzięcznie głową i wzięła lejce.

Gdy Jack wysiadł z powozu, konie lekko się poruszyły. Sophie wbiła w nie wzrok, zdecydowana utrzymać je pod kontrolą.

Kryjąc uśmiech, Jack wolnym krokiem obszedł powóz brata. Gerald wraz z przyjacielem czekali, wstrzymując oddech. Po tem Jack wrócił do Sophie, odebrał z jej rąk lejce i dopiero wtedy zauważył od niechcenia:

- Niezły ekwipaż.

Gerald uśmiechnął się, uszczęśliwiony.

- Pozwolisz, że przedstawię ci pannę Winterton - dorzucił Jack, a miody człowiek skłonił się przed Sophie. - Panno Winterton, to mój najmłodszy brat, Gerald.

Sophie domyślała się tego, zauważyła bowiem podobieństwo między mężczyznami. Obaj mieli ciemne, falujące włosy, granatowe oczy i szerokie ramiona, z tym że Gerald był nieco mniej muskulamy.

Kiedy Gerald przedstawiał Sophie swojego towarzysza, lorda Somerby, Jack po raz ostatni zlustrował wzrokiem powóz i konie. Jego usta drgnęły w uśmiechu. Odwrócił się do brata i powiedział:

- A teraz musisz nam wybaczyć, ale obiecałem odwiedzić pannę Winterton do domu.

- Jack! - wykrzyknął z rozpaczą Gerald. - A niech cię! Przestań się ze mną droczyć. Mogę je kupić czy nie?

Jack cicho się roześmiał.

- Możesz, ale weź koniecznie rachunek od Smithersa. Wpadnij wieczorem, to wystawię ci czek.

- Będę koło siódmej! - zapewnił Gerald, a potem końcem

bata dotknął lekko końskich uszu. Kiedy powóz zniknął w głębi alei, dobiegł ich radosny śpiew młodego Lestera.

Sophie spojrzała na Jacka.

Czując na sobie jej wzrok, zwrócił się ku niej.

- A teraz, moja droga, obawiam się, że będę musiał naprawdę odwiedzić panią na Mount Street.

Po tych słowach podciął konie batem. Skręcili w główną aleję i po chwili minęli powóz, w którym elegancka matrona rozmawiała ze swoją znajomą. Na ich widok przerwała rozmowę i przywołała Jacka, który posłusznie do niej podjechał.

- Sophie, moja kochana! - rozpromieniła się lady Osbaldestone. - Widzę, że twoja ciotka przyjechała wreszcie do miasta.

- Tak, madame. Przyjechałyśmy tu na cały sezon.

- To świetnie! Najwyższy czas, żebyś znów zaczęła się pokazywać. - Lady Osbaldestone zaświeciły się oczy. Całą swoją uwagę skupiła na Sophie.

Jack nie miał tyle szczęścia. Wprawdzie wymienili powitalne ukłony, ale przez następny kwadrans musiał się pogodzić z tym, że został kompletnie zignorowany. Brak zainteresowania lady faktem, że młoda dama jedzie powozem z kimś, kto jest na pewno dla niej więcej niż tylko przelotnym znajomym, irytował Jacka. Był taki czas w niedalekiej przeszłości, kiedy lady nie byłaby w podobnej sytuacji taka spokojna. Jednak wiadomość, jaką rozgłosił w towarzystwie, że szuka sobie żony, zyskała mu jeśli nie status dżentelmena poza wszelkimi podejrzeniami, to przynajmniej pewną akceptację londyńskich *grandes dames*. Jack podejrzewał, że teraz damy te patrzyły na niego jak na lamparta, który stracił kły.

Kiedy usłyszała, jakie plany ma lady Osbaldestone w stosunku do Sophie, obudziła się w nim czujność.

Odczekał, aż oddalili się od powozu, i dopiero wtedy powiedział:

- Widzę, że lady Osbaldestone jest zdecydowana wydać panią dobrze za męża.

Sophie, na której spekulacje lady sięgające nawet księcia Huntingtona nie zrobiły najmniejszego wrażenia, roześmiała się.

- To prawda. One wszystkie zajęte są układaniem planów w stosunku do mojej osoby.

- Wszystkie?

Coś w jego beznamiętnym tonie kazało jej podnieść wzrok, jednak Jack miał nieprzeniknioną twarz. Sophie, w doskonałym nastroju po cudownej przejażdżce, uśmiechnęła się.

- Wszystkie przyjaciółki mojej matki - wyjaśniła. - Traktują mnie jak osierocone kurczątko. I wszystkie są absolutnie zdecydowane „dobrze mnie ulokować”. - Ostatnie słowa Sophie wymówiła, naśladowując wytworny akcent lady Osbaldestone.

Spojrzała na Jacka, oczekując jego uśmiechu. Była pewna, że będzie wraz z nią śmiać się z zabiegów szacownych matron starających się zapewnić świetlaną przyszłość córce ich zmarłej przyjaciółki, tymczasem ujrzała kamienną twarz, wyzuta z wszelkich emocji.

- Sophie... - Jack zaczerpnął tchu i spojrzał przed siebie, w samą porę, by uniknąć zderzenia ze zgrabnym powozikiem, który zbyt szybko przemknął przez bramę. Jack zaklął. W zamieszaniu, które nastąpiło, udało mu się uspokoić konie, a następnie przyjął pokorne przeprosiny właściciela powoziku, zdaniem Lestera lekkomyślnego gołowąsa, nie dorastającego jeszcze do tego, aby powierzyć mu cugle.

Kiedy powozik odjechał, Jack zwrócił się do Sophie:

- Nic się pani nie stało?

- Nic, wszystko w porządku - odpowiedziała z promiennym uśmiechem, choć wcale nie była pewna, czy to prawda. Przerwana rozmowa mocno nadszarpnęła jej nerwy.

- Muszę natychmiast odwiedzić panią na Mount Street. - Obawiam się, że ciotka pani może zabronić mi widywać się z panią, dawno już bowiem minęła wyznaczona godzina.

- Och, ciocia jest bardzo wyrozumiała - zapewniła go Sophie.

Jack pomyślał, że to największy afront, jaki zdarzyło mu się kiedykolwiek słyszeć. Całą drogę na Mount Street przebyli w milczeniu. A nawet potem, oddając lejce Jigsonowi, który czekał na jego powrót, Jack powstrzymał się od komentarzy. Obszedł powóz i zbliżył się do Sophie, żeby pomóc jej wysiąść.

Tak jak się tego spodziewał, Sophie nie zdradzała oznak zmieszania. Stała przed nim z twarzą zwróconą ku górze, a w jej oczach malowało się pytanie.

Wbrew sobie Jack uśmiechnął się - tym swoim leniwym, zmysłowym uśmiechem, który tak pilnie ukrywał przed panienkami z dobrego domu.

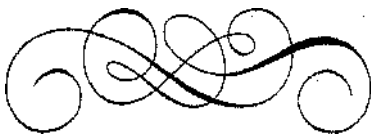
Sophie nie sprawiła mu zawodu. Patrzyła mu przez chwilę w twarz, otwarcie szacując jego uśmiech, a potem uniosła lekko brwi.

Jack roześmiał się cicho, ale pokręcił głową.

- Jeszcze nie pora - odważył się powiedzieć.

Wciąż patrząc Sophie w oczy, uniósł do ust jej rękę i złożył pocałunek w miejscu, gdzie kończyła się rękawiczka. A potem poprowadził ją po schodach na górę. Kiedy drzwi otworzyły się, skłonił się i powiedział:

- Do zobaczenia, moja miła.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez resztę wtorku i całą środę Sophie była w różowym humorze. Zgodnie z planem pojawiła się lady Cowper z zaproszeniami oraz z zapewnieniem, że zawsze jest do dyspozycji. Wraz z Lucillą spędziły całą godzinę na cichej rozmowie. Sophie, nieobecna duchem, nie widzącym wzrokiem patrzyła w okno. Ocknęła się dopiero wówczas, gdy lady Cowper podniosła się z fotela. Wtedy dziewczyna rozpromieniła się i życzyła lady miłego popołudnia. Uśmiech nie zniknął z twarzy Sophie nawet wtedy, gdy już ucichł odgłos powozu lady Cowper.

- Tak więc, moje kochane - powiedziała Lucilla, kiedy wraz z Sophie i Clarissa wróciły do salonu - mając na uwadze to, co mówiła lady Cowper, sądzę, że powinniśmy na nowo rozważyć naszą strategię.

Sophie zamknęła drzwi, po czym usiadła w foteliku, lekko zarumieniona.

- Jak to, ciociu? - Prawdę mówiąc, nie bardzo mogła sobie przypomnieć, o czym konkretnie mówiła lady Cowper.

Lucilla spojrzała na nią z wyrzutem.

- Skoro całe towarzystwo zjechało się już do miasta, warto również odwiedzić tych, którzy zaplanowali swoje przyjęcia tak, by nie kolidowały ze zwyczajowymi spotkaniami i rozesłali już zaproszenia. - Lucilla wskazała na stos białych kartoników na kominku. - Lista wydłuża się każdego dnia. Muszę jakoś taktycznie to rozegrać, o ile można się tak wyrazić.

Sophie usiłowała skupić się na słowach ciotki, jednak myśli

dziewczyny nieustannie odpływały ku Jackowi Lesterowi. Próbowwała rozważyć wszelkie subtelności w jego tonie i skatalogować rodzaje błysków w oczach. W końcu, zła na siebie, zwróciła się do Lucilli:

- Chce ciocia przyspieszyć inauguracyjny występ Clarissy, czyż nie tak?

Pani Webb skinęła głową.

- Wydaje mi się to nieodzowne. Jeżeli jej nie wprowadzę, nie będzie mogła uczestniczyć we wszystkich balach i przyjęciach, które, jak to zauważyła droga Emily, w tym roku poprzedzą zwyczajowe imprezy. - Lucilia spoważniała. - Nie jest to decyzja, którą podejmuje się łatwo. - Odczekała chwilę, stukając starannie wymanikiowanym paznokciem w oparcie fotela, po czym dodała: - Dziś po południu jesteśmy proszone na podwieczorek do lady Allingcott, a wieczorem na małe przyjęcie do lady Chessington, zaś jutro do Almacka. Macie mieć oczy i uszy otwarte. To, co usłyszemy, zdecyduje, czy będziemy mogły w przyszłym tygodniu wydać zaimprovizowane przyjęcie dla młodzieży, a także zaplanować bal Clarissy na następny tydzień. Wszystko już obmyśliłam. Chodzi tylko o to, by sprawy odrobinę przyspieszyć. - Lucilla pokiwała głową, po czym zwróciła się do Clarissy: - Co powiesz na to, kochanie?

- To brzmi cudownie! - Wzrok panny Webb wyrażał podniecenie, a zarazem ulgę. - Szkoda by mi było opuścić te wszystkie bale w nadchodzących tygodniach.

- I czemu miałybyś je opuszczać? - Lucilia rozłożyła ręce. - To jest twój sezon. Jesteś tu po to, by się dobrze bawić. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Jak mówi madame Jorge, jakoś sobie poradzimy.

Sophie nie miała nic przeciwko planom ciotki. Pana Lestera nie będzie, oczywiście, na tych wszystkich małych, prywatnych przyjęciach i tańcach, wydawanych przez rodziców młodzień-

kich dziewcząt, które miały w tym roku wejść w świat. Póki Clarissa nie zostanie oficjalnie przedstawiona, pani Webb i jej córka muszą ograniczyć się tylko do skromniejszych spotkań, które wprawdzie na ogół nie były takie złe, jeśli nie zgłaszano innych propozycji, lecz w tym roku sezon zapowiadał się wyjątkowo, i to nie tylko z powodu pogody.

Tak więc wszystkie trzy poszły do lady Allingcott i lady Chessington, w środę odwiedziły lady Hartford i panny Smythe, potem tańczyły u Almacka, nadstawiając jednocześnie ucha, co mówi się o planowanych imprezach.

Następnego dnia, przy śniadaniu, Lucilla zwołała naradę wojenną.

- Słuchaj uważnie, Sophie.

Dziewczyna spróbowała posłusznie wykonać polecenie ciotki.

- Clarisso, konsultowałam się już z twoim ojcem, który całkowicie zgadza się ze mną. Twój debiutancki bal odbędzie się za trzy tygodnie.

Clarissa posmutniała, a jej braciom także wydłużyły się miny.

- Za to pod koniec przyszłego tygodnia, w piątek - Lucilla nieznacznie podniosła głos - zorganizujemy tańce. To prywatne spotkanie, ale nie musimy ograniczać listy gości tylko do debiutantek. Nie widzę powodu, dla którego nie miałybyśmy zaprosić również niektórych spośród tych, których zdążyłyście już poznać.

Sophie czuła, że uśmiecha się równie promiennie jak Clarissa. Wzrok ciotki znacząco zatrzymał się na niej, a serce dziewczyny zabiło mocniej. To śmieszne - rzeczywiście nie było na to innego słowa - iż na samą myśl o tym, że zobaczy Jacka, ogarnęło ją takie uniesienie. Lester nie pojawił się u Almacka i wyglądało na to, że nie spotkają się, póki Clarissa nie zostanie przedstawiona, gdyż dopiero wtedy obie panny będą mogły swobodnie obracać się pośród elity.



Chyba że Jack znowu zaprosi Sophie na przejażdżkę.

Cały ranek minął jej na nasłuchiowaniu. Kiedy przyszła pora obiadowa, a Jack się nie pojawił, stłumiła uczucie zawodu i zeszła z uśmiechem do jadalni, zdecydowana zachować pozory niezmałowanej radości. Nie chciała, by młodzi kuzyni domyślili się, co przeżywała. Co zaś do Lucilli, kilka razy poczuła na sobie jej badawcze spojrzenie, przesycone jednak łagodnym zadowoleniem. Było to, oczywiście, do przewidzenia.

Balonik euforii pękł dopiero po południu, na przyjęciu u pani Morgan-Stanley.

Gdy tylko weszły do salonu, Lucilla przyłączyła się do grona wytwornych matron zgromadzonych wokół kominka. Clarissa podeszła do okna, pod które wycofali się najmłodszy, nieco onieśmieleni goście. Sophie z radosnym uśmiechem dołączyła do grupki panien, dla których nie był to już pierwszy sezon. Właśnie piła z nimi w kąciku herbatę, kiedy w samym środku rozmowy o notablach, którzy już pokazali się w stolicy, panna Billingham, chuda dziewczyna o zgryźliwym wyrazie twarzy, wykrzyknęła:

- Jeżeli już mówimy o tym, kto jest w Londynie, panna Winterton miałaby w tej sprawie coś do dodania! Czy to nie ciebie widziałyśmy któregoś przedpołudnia, jak jeździłaś po parku z panem Lesterem?

- Z panem Lesterem? - Panna Chessington, drobna, pulchniutka osobka obdarzona niebywale promiennym usposobieniem, aż zająknęła się ze zdumienia. - Myślałam, że on nigdy nie jeździ z paniami.

- Tak było dawniej - dorzuciła panna Billingham tonem osoby, która gruntownie przestudiowała ten temat i miała niezachwianą pewność. - Widocznie zrozumiał, że musi zmienić swoje zasady. Moja mama zauważyła to już podczas zeszłorocznego sezonu. - Gdy inne panny, łącznie z Sophie, zasypały ją

pytaniem, panna Billingham pospieszyła z wyjaśnieniem: - To powszechnie znany fakt, że pan Lester musi się dobrze ożenić. A nawet bardziej niż dobrze... chodzi o prawdziwe pieniądze, bo są jeszcze jego bracia, a wszyscy wiemy, że Lesterowie nie należą do zbyt zamożnych. Dobre wychowanie, rozległe majątki, na to potrzeba fortuny.

Nie tylko Sophie zaszokowało tak obcesowe stwierdzenie oraz twardy błysk w oczach panny Billingham, lecz tylko jej zrobiło się ciemno przed oczami, a twarz zastygła w nieruchomą maskę.

- Moja mama od dawna twierdziła - ciągnęła dalej panna Billingham - że to się w końcu będzie musiało stać. Zbyt dumny, aby zadowolić się półśrodkami, spędził cały zeszłoroczny sezon na poszukiwaniach swojej bogdanki, jednak widocznie zrozumiał, że nie może mierzyć aż tak wysoko. - Panna Billingham spojrzała na Sophie, a za nią reszta dziewcząt. Pograżona w rozpaczy dziewczyna nawet tego nie zauważyła. - Skoro sezon dopiero się zaczyna, myślę, że pan Lester postanowił trochę się rozerwać i - że się tak wyrażę - bezpiecznie poćwiczyć, zalecając się do panny Winterton.

Zjadliwa uwaga panny Billingham wywołała wśród panien poruszenie. Szelest sukien wyrwał Sophie z transu. Gdy dotarło do niej znaczenie wypowiedzianych przed chwilą słów, zbladła jak kreda. W oczach panny Billingham pojawił się błysk złośliwej satysfakcji. Na szczęście, w sukurs Sophie przyszła wrodzona duma. Dziewczyna wyprostowała się, wzięła głęboki oddech, uniosła podbródek i patrząc z góry na pannę Billingham, powiedziała lodowatym tonem:

- Śmiem twierdzić, że panu Lesterowi nie udało się widocznie znaleźć panny, która odpowiadałaby jego finansowym wymaganiom, bo, jak sama pani łaskawie zasugerowała, ja także z trudem mogę uchodzić za osobę zamożną.

W pierwszej chwili panna Billingham nie zrozumiała aluzji, dopiero uśmieški pozostałych panien sprawiły, że dotarł do niej sens słów Sophie. Intrygantka oblała się buraczkowym rumieńcem, otworzyła usta i rozejrzała się wokoło, jakby szukając wsparcia, a gdy go nie znalazła, jeszcze bardziej poczerwieniała. Wymruczała kilka niezrozumiałych słów, po czym wycofała się w bezpieczne rewiry, pod skrzydła swojej matki, kobiety manewrującej jak okręt wojenny podczas bitwy.

- Nią się nie przejmuj - odezwała się panna Chessington, kiedy dziewczęta współczującym kręgiem otoczyły Sophie. - Ona jest po prostu wściekła, bo zeszłego roku Jack Lester nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Zagięła na niego parol, ale nic z tego nie wyszło.

Sophie z trudem udało się odwzajemnić uśmiech panny Chessington.

- A ty? - zapytała. - Czego oczekujesz? Spodobał ci się ktoś? Belle Chessington wybuchnęła śmiechem.

- Dobry Boże! Nie! Chcę się tylko dobrze zabawić. Na razie nie zamierzam szukać męża, chcę sobie dać trochę czasu.

Jeszcze kilka miesięcy temu Sophie byłaby równie bez troska jak Belle. Kiedy to sobie uświadomiła, postanowiła nie myśleć więcej o małżeństwie i resztę wieczoru spędziła w towarzystwie promiennej panny Chessington.

Dopiero gdy znalazła się w zacisznym wnętrzu powozu, pozwoliła sobie na kolejny przypływ rozpacz. Zamknęła oczy i oparła głowę o skórzane poduszki.

- Nie czujesz się dobrze, kochanie?

Spokojny głos Lucilli wyrwał ją z zamyślenia. Spróbowała się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego jakiś żałosny grymas.

- Głowa mnie boli, ciociu. W salonie pani Morgan-Stanley było trochę duszno. - Tym niewinnym kłamstwem na szczęście udało jej się zadowolić ciotkę.

Lucilla poklepała ją po ręku.

- Uważaj na siebie, kochanie. Zapamiętajcie, dziewczęta, że trudno się bawić, kiedy człowiek stał się męczennikiem towarzyskich zobowiązań. - A po chwili dorzuciła: - Nie uważam, aby nasze plany były zbyt napięte, ale jeśli któraś z was poczuje się zmęczona, powinna odpocząć. Musicie mi to obiecać.

Całą drogę do domu Sophie przejechała z zamkniętymi oczyma, pomagało jej to zebrać myśli. Wiedziała, że zawsze może liczyć na wsparcie i opiekę Lucilli. Gdyby Jack Lester był nieodpowiednim pretendencem do jej ręki lub też gdyby ona nie była godna zostać jego narzeczoną, Lucilla nigdy nie pozwoliłaby mu na taką zażyłość. Ciotka to dobra i wyjątkowo przenikliwa osoba, powinna więc chyba zaufać jej mądrości.

A może panna Billingham się myliła?

Myśl ta natchnęła Sophie jeśli nie entuzjazmem, to przynajmniej spokojem. I wytrwała w nim przez resztę dnia, póki muzyczny wieczorek u lady Orville nie położył kresu jej nadziejom.

To wiekowa lady Matcham okrutnie rozwiła jej złudzenia. Maleńka staruszka, o białych włosach i wyblakłych oczach, obdarzona gołębiim sercem, nigdy w życiu świadomie nie sprawiłaby nikomu przykrości.

- Nie będziesz miała mi tego za złe, że o tym wspomnę, moja kochana Sophie. Wiesz, jak bliska była mi twoja matka kochałam ją niemal jak córkę. Nigdy nie pogodzę się z jej odejściem. - Oczy staruszki wypełniły się łzami, które otarła koronkową chusteczką. - To takie nierozsądne z mojej strony. - Lady uśmiechnęła się przez łzy do Sophie, która siedziała obok niej na kanapce pod ścianą salonu muzycznego lady Orville.

Przed nimi, na kilku rzędach krzeseł, naprzeciw fortepianu, zasiadła garstka wybrańców, których lady Orville zaprosiła na swój muzyczny wieczorek.

Rozległy się oklaski. Panna Chessington zasiadła do fortepianu i dotknęła klawiszy.

Spodziewając się uwagi na temat koloru wstążek albo czegoś podobnego, Sophie uśmiechnęła się do lady Matcham i ucisnęła jej rękę.

- Dlatego właśnie czuję, że muszę ci to powiedzieć, Sophie - ciągnęła lady Matcham. - Nie mogłabym spać spokojnie ze świadomością, że spotkała cię krzywda, której mogłam zapobiec.

Lodowata obręcz ścisnęła serce Sophie, a krew uciekła z jej twarzy. Zalęknionym wzrokiem spojrzała na starszą panią.

- Myślałam, że Lucilla ostrzegła cię, ale widocznie, skoro dopiero niedawno przyjechała do stolicy, nie zna jeszcze najświeższych wiadomości. Chodzi o pana Lestera, moja kochana. To taki przystojny mężczyzna, a przy tym dżentelmen o doskonałych koneksjach. Niestety, on potrzebuje bogatej żony, a nawet bardzo bogatej. Wiem o tym, bo dobrze znałam jego ciotkę, która, biedaczka, zmarła niedawno. Zawsze jednak było wiadomo, że Lesterowie będą musieli ożenić się z pieniędzmi. - Staruszka skrzywiła się z niesmakiem. - To bardzo przygnębiające.

Sophie musiała się z nią zgodzić. Nie mogła wykrztusić słowa. Patrzyła tylko na zasmuconą, szlachetną twarz lady Matcham.

Staruszka poklepała ją po ręce.

- Widziałam cię w parku, w jego powozie, ale muszę ci powiedzieć, kochanie, że nic z tego nie wyjdzie. Nie mogłabyś sobie wymarzyć lepszego narzeczonego, lecz on nie jest dla ciebie.

Sophie zachnęła się. Miała wrażenie, że serce pęknie jej z bólu, lecz przecież nie mogła tego okazać w samym środku sonaty panny Chessington. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Dziękuję za ostrzeżenie. - Więcej nie była w stanie wykrztusić.

Lady Matcham raz jeszcze poklepała ją po ręku.

- No, no, kochanie, to jeszcze nie koniec świata, choć pewnie tak ci się wydaje. Najlepiej zdusić takie rzeczy w zarodku, zanim ktokolwiek na tym ucierpi. Wiem, że jesteś na tyle mądra, żeby o tym wiedzieć, i będziesz wiedziała, jak postąpić. Masz w końcu przed sobą cały sezon! A to mnóstwo okazji, aby sobie poszukać odpowiedniego kandydata.

Sophie dałaby wszystko, by móc temu zaprzeczyć, ale jak mogła nie wierzyć mądrym oczom lady Matcham? Uśmiechnęła się więc, choć usta jej drżały, potem uściskała staruszkę, wstała i oddaliła się na drugi koniec sali.

Siłą woli zmusiła się, by podczas wieczorku nie myśleć o ostrzeżeniach lady Matcham. Dopiero gdy wracały do domu, ukryta w mrocznym wnętrzu powozu, pozwoliła sobie do nich powrócić.

I znowu ogarnęła ją czarna rozpacz.

Kiedy zajechali na Mount Street, światło ulicznej latarni padło na jej twarz. Lucilla przyjrzała jej się, mrużąc oczy.

- Sophie, zostaniesz jutro w łóżku. Nie chcę, żeby się z tego wywiązało jakieś zaziębienie. To niebezpieczne o tej porze roku.

Zgnębiona dziewczyna spojrzała ciotce w oczy, w których malowała się szczerą troską.

- Dobrze, ciociu - powiedziała potulnie i nie zwracając uwagi na pytający wzrok Clarissy, zaczęła wchodzić po schodach.

Następny poranek nie przyniósł jej ulgi. Zza firanek sypialni patrzyła, jak Jack Lester wychodzi z ich domu. Wsiadł do swojej dwukółki, śmignął konie batem i odjechał. Sophie poczekała, aż zniknie za rogiem, a potem z ciężkim westchnieniem cofnęła się w głąb pokoju.

Przyszedł zaprosić ją na przejażdżkę, a poczęstowano go wiadomością o jej niedyspozycji.

Zaczęła kraść po sypialni, mnąc w rękę wilgotną chustecz-

kę. Mijając toaletkę, dostrzegła w lustrze swoje odbicie: ciemne kręgi pod oczyma, zapadnięte policzki i spierzchnięte usta. Serce boleśnie kołatało jej w piersi, a nogi miała jak z waty.

Ostrzeżenie lady Matcham przyszło zbyt późno. Podczas bezsennych godzin uświadomiła sobie prawdę. Delikatny pączek w jej sercu zaczął rozkwitać pod wpływem uśmiechu Jacka Lestera, a teraz ten delikatny kwiat został zmrożony chłodem. Wkrótce pewnie zwiędnie.

Sophie nie była bogaczką i nie mogłaby wnieść w posagu wystarczającej fortuny, by uratować podupadające majątki narzeczonego. Tego faktu nic nie mogło zmienić. Jest wprawdzie jedyną spadkobierczynią ojca oraz miała obiecany jakiś posag, ale nawet to było problematyczne i niekoniecznie osiągalne w formie żywej gotówki.

Po raz ostatni wydmuchała nos w chusteczkę. Przepłakała większą część nocy, a tak żałośnie nie płakała od śmierci matki.

Teraz czuła się równie wyczerpana i opuszczona jak wtedy. Wierzyła jednak, że zdoła się pozbierać. Pozwoli sobie jeszcze na jeden dzień rozpaczy, a następnego wieczora znowu mocno stanie na nogach i będzie się uśmiechać. A kiedy sezon rozpocznie się na dobre, poszuka sobie właściwego męża. I raz na zawsze zapomni o niebieskookim lekkoduchu.

Wiedziała, że tak zwykło się postępować w jej sferach. Clarissa i Lucilla okazały jej tyle serca -jakże mogłaby swoją rozpaczą zepsuć młodziutkiej kuzynce sezon? Nie powinna też dopuścić do tego, by sobie samej zmarnować pobyt w Londynie.

Mając cel wytyczony przed sobą, od razu poczuła się lepiej, lecz pozostawał jeszcze jeden problem do rozwiązania. Jak ma się zachować, kiedy spotka Jacka? Bo coś takiego nieuchronnie nastąpi.

Po dłuższym namyśle uznała, że nie może o nic winić pana

Lestera. Nie mogła uwierzyć, że kiedykolwiek chciał jej sprawić przykrość. To ona źle odczytała jego intencje, w końcu miała w tych sprawach nie więcej doświadczenia niż Clarissa. Może było właśnie tak, jak mówiła panna Billingham - Lester traktował ją jak bezpieczną towarzyszkę, z którą zamierzał mile spędzić czas, póki sezon nie rozpocznie się na dobre i póki nie będzie musiał rozejrzeć się za odpowiednio zamożną panną. Niestety, słowa lady Matcham dawały małe pole do interpretacji.

Co zatem znaczyło owe dziwne zdanie, które wypowiedział do Sophie Jack, gdy się z nią ostatnio żegnał? „Jeszcze nie czas”. Myślała, że chodziło mu o... Odtrąciła od siebie tę myśl, zaciskając z bólu zęby. Pewnie chodziło mu o propozycję jakiejś miłej wycieczki, na którą w tym stadium znajomości było po prostu za wcześnie. A tymczasem ona w tych niewinnych słowach dopatrzyła się ukrytego znaczenia...

Skoro więc uznała, że Jack Lester jest niewinny, będzie go nadal traktowała tak, jakby nic się nie stało. Tak dyktowała jej duma. W jego obecności musi zapanować nad swoim zakłopotaniem. Nie zniosłaby, gdyby Jack się domyślił, na co liczyła. Panna Winterton nie może dopuścić do takiego poniżenia swej godności.

No cóż, jakoś sobie poradzi. Jak madame Jorge i jak Lucilla.

Położyła się do łóżka, naciągnęła kołdrę, i z chłodną determinacją zamknęła oczy. Zamierzała odpocząć. Chciała, by wygładziły się zmarszczki na jej czole, a w sercu zapanował spokój. Jeżeli ma sprostać tej przykrew sytuacji, w jakiej się znalazła, musi się porządnie wyspać.

Czekają ją niełatwe dni.





## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nawet na Piccadilly panował spory tłok. Jack wyjechał z ciemnych alejek parku i teraz musiał manewrować pomiędzy tłumem pojazdów i pieszych, którzy wylegli na ulice. W końcu, zrezygnowany, pogodził się ze ślimaczym tempem, w jakim przyszło mu się poruszać. Po prawej stronie Green Park tonął w promieniach słońca, a na gałęziach rozwijały się już pąki. Tłumy spacerowiczów, zachęczone niezwykłą jak na tę porę roku pogodą, przechadzały się po alejkach. Spokój tego zakątka wabił, ale Jack nie zwrócił na to uwagi. Panujący na ulicach gwar bardziej pasował do jego nastroju.

Posuwając się wolno pośród innych powozów, Lester mocno trzymał konie w cuglach. Podobnie jak siebie. Uważał, że jego starania o rękę Sophie Winterton posuwają się do przodu, a jednak nie o takim ślimaczym tempie myślał, zamieniając wiejskie swobody na stołeczne rozrywki. Bal u lady Entwhistle ożywił jego nadzieje, a jego zakończenie wprawiło go w doskonały humor. Był absolutnie pewny, że tak właśnie należało starać się o pannę.

Po pierwszym sukcesie przyszedł kolejny - wspólna przejażdżka po parku. Jednak przyływ gwałtownych uczuć, jakich wtedy doznał, okazał się czymś, czego nie przewidział w swojej chłodnej kalkulacji. Wprawdzie umiałyby wytłumaczyć każdemu, dlaczego uważał pannę Sophie Winterton za idealną kandydatkę na żonę, lecz w tym wszystkim tkwiło coś jeszcze, co dziwnym trafem nie poddawało się werbalizacji nawet tak za-

wsze elokwentnemu panu Lesterowi, a mianowicie tajemnicze i rzewne uczucie, iż dziewczyna należy do niego. Jack wahał się przed zbyt głębokim dociekaniem, jakby w obawie, że jeden krótki wyraz może zbyt jednoznacznie określić dziwny stan jego ducha i serca.

Wolał to niedopowiedzenie, zwłaszcza że ciotka Sophie dała mu wyraźnie do zrozumienia, iż choć popiera jego starania, nie życzy sobie, aby już na wstępie zawrócił dziewczynie w głowie.

Konie niecierpliwie rzucały łbami, szarpiąc uprząż. Przywołując je do porządku, Jack współczuł im w duchu.

Przejażdżka po parku, ta uroczą godziną spędzona w towarzystwie Sophie, wytrąciła go z równowagi. Jeżeli ma się stosować do zaleceń Lucilli i pozwolić, by pobyt Sophie w stolicy nie został zakłócony przez zaborczego wielbiciela, będzie musiał mocniej trzymać się w ryzach i zapanować nad swoją impulsywną naturą.

W zasadzie na razie nie było problemu, nie widział bowiem panny Winterton od niemal tygodnia. Po ostrzeżeniu jej ciotki trzymał się od niej z daleka tak długo, jak potrafił, czyli do piątku, kiedy to wybrał się na Mount Street tylko po to, aby się dowiedzieć, że Sophie jest chora. To nim wstrząsnęło. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy jej niedyspozycja jest prawdziwa, czy może to tylko czysto dziewczęcy wybieg, ale zaraz porzucił tę myśl jako niegodną zarówno Sophie, jak i siebie. Był pewny, że go lubiła, w jej oczach dostrzegł bowiem ciepły, przyjazny błysk, który rozświetlał jej twarz, ilekroć tylko się spotykali. Ganiąc się w duchu za śmieszna podejrzliwość, kazał służącemu poszukać w mieście herbacianych róż. APinkerton, choć niepoprawny pesymista, odniósł jak zwykle sukces. Trzy wielkie bukiety zostały dostarczone na Mount Street wraz z nie podpisanym bilecikiem, którego nadawca życzył panie Winterton szybkiego powrotu do zdrowia.

Szukał Sophie w parku w sobotę i w niedzielę rano oraz po południu, ale nigdzie nie dostrzegł powozu Webbów.

Tak więc, zaniepokojony, i zarazem pewny, iż zdobycz mu nie umknie, udał się tego ranka na Mount Street, a tam powiedziano mu, że panna Winterton udała się na spacer z kuzynami.

Widocznie pani Fortuna w końcu przestała mu sprzyjać. Na dworze panowała słoneczna pogoda, ale z pogodą jego ducha było coraz gorzej. Sezon zapowiadał się raczej burzliwie.

Lord Hardcastle zatrzymał swój powóz i przez kilka minut wymieniał z Lesterem uwagi na temat niebywałego tłoku na ulicy. Po chwili korek rozładował się i panowie zostali rozdzieleni. Kataryniarz z małpką przygrywał zgromadzonym gapiom, którzy blokowali przejście na chodniku, ku niezadowoleniu okolicznych sklepikarzy oraz tych, którym się spieszyło. Jack uśmiechnął się i zwrócił wzrok na swoje konie. W tej samej chwili uwagę jego przykuł złoty błysk.

Zawrócił, zaczął przeszukiwać wzrokiem sunący po chodniku tłum i wtedy zobaczył Sophie z Clarissą, chłopcami oraz małą Amy, która z ociąganiem szła na końcu, tęsknie zerkając w stronę małpki. W pewnym momencie cała grupka przystanęła przed witryną, po czym weszła do środka, a para służących została przed sklepem.

Jack spojrział w górę, przeczytał szyld i z uśmiechem zatrzymał powóz przy krawężniku.

- Masz tu lejce, Jigson! Pilnuj koni!

Zeskoczył na chodnik i przepychając się pomiędzy przechodniami, gwałtownie otworzył te same drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła Sophie.

Znalazł się w eleganckim wnętrzu księgarni pełniącej jednocześnie rolę biblioteki. Nie słyszał tu podniesionych głosów. Starannie ubrany mężczyzna za ladą usytuowaną koło drzwi przyjrzał mu się ze źle skrywaną dezaprobatą. Jack minął

go z uśmiechem. Mimo atmosfery względnego spokoju, w księgarni panował tłok. Jack patrzył ponad głowami klientów, ale nigdzie nie mógł dostrzec tej, której szukał. Nagle poczuł jakieś wibracje. Jeremy, George i Amy stali przy oknie, z nosami przyklejonymi do szyby i przyglądali się kataryniarzowi po drugiej stronie ulicy.

Jack rozejrzał się wokoło. Do zde gustowanego mężczyzny dołączyła równie jak on starannie ubrana kobieta. Teraz już oboje spoglądali na niego bez cienia życzliwości. Z uprzejmym uśmiechem Jack przesunął się do pierwszego rzędu półek i zaczął udawać, że ogląda grzbiety książek, póki nie zniknął im z pola widzenia.

Na końcu trzeciego rzędu Sophie patrzyła na książkę, którą najwyraźniej chciała wypożyczyć, a która była wciśnięta pomiędzy dwie inne na najwyższej półce, tak że nie mogła jej dosięgnąć. Początkowo chciała poprosić subiekta o zdjęcie tomu, ale później rozmyśliła się, gdyż chłopak przyglądał jej się z nie ukrywanym zachwytem. Raz jeszcze spróbowała dosięgnąć książki, lecz znowu bez skutku, i już miała się poddać, kiedy usłyszała:

- Pozwoli pani, moja droga.

Sophie drgnęła gwałtownie. Cofnęła rękę i odwróciła się, a rumieniec oblał jej policzki.

- Och!... - Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, kiedy napotkała spojrzenie Jacka.

- Dziękuję panu, sir. - Z udanym spokojem podniosła głowę. - To ostatnie miejsce, w jakim spodziewałabym się pana spotkać.

Jack wyjął oprawny w skórę tomik i podał go Sophie z ukłonem.

- Cóż... również nie podejrzewałbym siebie o to, ale zobaczyłem, jak wchodziła pani tutaj i ogarnęło mnie pragnienie...

- Jack posłał jej wymowny uśmiech - żeby odwiedzić ten elegancki sklep. Czy to nie dziwne?

- Rzeczywiście. Bardzo dziwne. - Wzięła z jego rąk książkę i pomna swoich postanowień, aby traktować go równie przyjaźnie jak dotąd, powiedziała: - Bardzo panu dziękuję za pomoc, ale nie chciałabym pana odrywać od zajęć.

- Co do tego może pani być spokojna - zapewnił ją Jack.  
- Znalazłem już to, czego szukałem.

Tembr jego głosu wprowadził w drżenie serce Sophie. Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie szafirowych oczu. Wtedy pojęła, że jej wizja „należytego dystansu” niezbyt przystaje do zamierzeń Lestera. Nagle uświadomiła sobie, dlaczego żartobliwie drażniący sposób bycia Jacka zawsze wywiera na niej takie wrażenie. Przerażona, uniosła wyżej głowę i znów rzuciła mu chłodne spojrzenie.

- Naprawdę? Sądziłam, że nie jest pan amatorem czytania.  
- Muszę pani wyznać, moja droga, że bardziej jestem człowiekiem czynu niż introspekcji. Władam lepiej mieczem niż słowem.

Sophie udała, że nie rozumie subtelnych podtekstów.

- Może to i dobrze - stwierdziła - tym bardziej że musi pan zarządzać dużym majątkiem.

- Możliwe - zgodził się Jack z uśmiechem.

- Ach, tu jesteś, Sophie. Dzień dobry, sir. - Zza regału wyłoniła się Clarissa i z nieśmiałym uśmiechem dygnęła przed Lestrem.

Jack uściśnął jej rękę.

- Czy znalazła już pani odpowiednio ciekawą lekturę, panno Webb? - Spojrzył na stos książek, które Clarissa trzymała w rękach.

- O, tak - odparła mało domyślna Clarissa. - Jesteś gotowa, Sophie?

W pierwszej chwili Sophie chciała zaprzeczyć, później doszła jednak do wniosku, że Jack na pewno chciałby jej towarzyszyć w wędrówce między regałami, uniemożliwiając samą swoją obecnością jakikolwiek sensowny wybór. Rozejrzała się wokoło i wzrok jej padł na młodszych kuzynów, którzy wciąż stali z nosami przyklejonymi do witryny.

- Myślę, że powinniśmy wyjść, zanim Jeremy wypadnie przez okno.

Podczas gdy Sophie i Clarissa wypełniały formalności dotyczące wypożyczonych książek, Jack uśmiechnął się do skwaszonego subiekta.

Sophie z ulgą przyjęła fakt, że subiekt nie zdradza ochoty na rozmowę. Clarissa zawołała młodsze rodzeństwo i wszyscy skierowali się do wyjścia. Kiedy podeszli do drzwi, Sophie poczuła, że ktoś bierze pakunek z jej rąk.

- Pani pozwoli? Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, odprowadzę panią na Mount Street - zaproponował Jack.

Sophie zawahała się, po czym skinęła głową.

- Dziękuję, to miło z pana strony. - Z ostentacyjną naturalnością położyła rękę na jego ramieniu i spokojnie czekała, aż odprawi stangreta. Udało jej się też przekonać Jeremy'ego, George'a i Amy, że pora już odejść od kataryniarza. Miała nadzieję, iż Jack nie zauważył jej wahania. Nie chciała sprawiać mu przykrości; nie chciała również, by odgadł, że miała złamane serce. Kiedy wreszcie cała grupka ruszyła w drogę, uśmiechnęła się do Lestera.

- Widział pan nowy powóz lady Hemminghurst?

Z ulgą spostrzegła na twarzy Jacka łobuzerski uśmiech.

- Chodzi pani o te kucyki, które nazywa rumakami?

Przez całą drogę na Mount Street gawędzili swobodnie - zbyt swobodnie, jak bezskutecznie napominała się Sophie. Stopnie prowadzące do domu wujostwa ukazały się przed nimi zna-

cznie prędzej, niż przypuszczała. Jeremy i George wbiegli na górę i zadzwonili do drzwi. Za nimi pobiegła Amy. Clarissa pożegnała Lestera z uśmiechem, po czym poszła za rodzeństwem, które przepychało się w drzwiach.

Czuając na sobie wzrok Jacka, Ellen i stangreta, a także Mil-  
tona, lokaja, który właśnie otworzył drzwi, Sophie starała się zachować nienaganne maniery. Odebrała książki i uprzejmym tonem powiedziała:

- Dziękuję za asystę, sir. Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze nieraz, kiedy zaczną się bale.

Jack uśmiechnął się znacząco.

- Obawiam się, moja miła, że nie jestem tak cierpliwy jak pani. - Zawahał się i przez chwilę obserwował jej twarz. - Czy zgodziłaby się pani wybrać ze mną znowu na przejażdżkę?

Sophie wstrzymała oddech. Przez moment żałowała, że nie potrafi kłamać. Kiedy jednak ciemne brwi uniosły się w górę, a oczy Jacka wciąż patrzyły z wyczekiwaniem, usłyszała swój głos:

- Byłoby mi bardzo miło, sir. - Na widok jego triumfalnego uśmiechu szybko dodała: - Niestety, nie jestem jedyną dysponentką mojego czasu. Ciocia uznała, że pora zacząć przyjmować gości, więc będę jej musiała towarzyszyć, jeśli sobie tego zażyczy.

- Oczywiście, moja droga - przyznał, nie przestając się uśmiechać - ale jestem pewny, że nie zechce się pani ukrywać. - Zdecydowanym gestem ujął jej rękę. Ich oczy się spotkały. Uniósł do ust jej dłoń.

- Nie! - Równie zaskoczona swoim protestem jak on, Sophie patrzyła na niego, a serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe. Spuściła wzrok, niezdolna udzielić odpowiedzi na pytanie malujące się w oczach Jacka. Z opuszczoną głową cofnęła rękę i dygnęła.

- Życzę miłego dnia, sir. - Słowa te były ledwo słyszalne.

Jack poczuł się, jakby otrzymał cios w głowę. Z najwyższym trudem skłonił się przed Sophie, a ona odwróciła się, szybko wbiegła po schodach i nie patrząc za siebie, znikła za drzwiami.

Jack długo stał osłupiały, pośrodku chodnika. Na koniec zacerpnął tchu i z kamienną twarzą ruszył w górę ulicy.

Coś jest nie tak. Ale co?

Pytanie to prześladowało Jacka przez następne trzy dni i wciąż dźwięczało mu w uszach, kiedy pośród wieczornego chłodu wchodził po schodach, by zapukać do dębowych drzwi domu państwa Webbów. Wbrew jego początkowym zamiarom, była to jego pierwsza wizyta na Mount Street po niespodziewanym spotkaniu w księgarni. Wrócił wtedy do domu w minorowym nastroju, który uległ nieznacznej poprawie, gdy Jack odkrył czekające na niego biało-złote zaproszenie.

„Pani Horatiowa Webb ma zaszczyt zaprosić pana Jacka Lestera na zaimprovizowane tańce, które odbędą się we czwartek wieczorem”.

Wprawdzie słowa te nie rozwiały chmur, ale sprawiły przynajmniej, że Jack na chwilę przestał się zamartwiać. Dlatego też nie nalegał na kolejną przejażdżkę, tylko czekał na spotkanie w salonie ciotki, gdzie z pewnością Sophie czuje się pewniej i nie będzie się obawiała jego awansów.

Po namyśle doszedł do wniosku, że widocznie zachował się zbyt obcesowo. Popełnił jakiś błąd, choć nie bardzo wiedział jaki.

Postanowił od tej pory zdobywać względy Sophie ściśle według podręcznika, bez żadnych choćby najdrobniejszych odstępstw. Musi ukryć swoje uczucia, bo okazując je, może spłoszyć pannę Winterton.

Wpuścił go lokaj, który rozpoznał Lestera i jowialnie go po-



zdrowił. Jack poszedł na górę, zbity z tropu nagannie bezpośrednim zachowaniem służącego. Po namyśle uznał to za wpływ młodych Webbów. Oni na pewno nie przepuszczali żadnemu nadętemu sztywniakowi.

Po wejściu do salonu na pierwszym piętrze Jack przystanął w progu i rozejrzał się wokoło. Atmosfera wydała mu się bardzo przyjemna. Salon nie był zatłoczony i goście mieli dość miejsca na tańce. Sophie stała nieopodal, pogrążona w rozmowie. Patrząc na nią, Jack uznał, że żadna z panien nie mogła się z nią równać. Była tak piękna w jedwabnej sukni o ciepłej barwie miodu! Z trudem oderwał od niej wzrok i zaczął się rozglądać za gospodynią. Na jego widok Lucilla spowita w atłasy i koronki odłączyła się od grupki gości i podeszła, by się przywitać.

- Dobry wieczór, panie Lester. - Uśmiechnęła się z aprobatą, gdy pochylił się nad jej ręką.

- Pani Webb - powiedział z dwornym uśmiechem - muszę wyznać, że czuję się zaszczycony pani zaproszeniem.

Lucilla machnęła koronkowym wachlarzem.

- To ja się cieszę, że pana widzę. Obawiałam się, iż nasza droga Sophie będzie się nudziła na tym wieczorku dla młodzieży. Mogę mieć nadzieję, że ją pan trochę zabawi?

Jack z trudem powściągnął uśmiech.

- Z najwyższą przyjemnością, madame. Zrobię, co w mojej mocy.

- Wiedziałam, że mogę na panu polegać - zapewniła. Następnie władczy gestem ujęła go pod rękę i powiedziała: - Musi pan także porozmawiać chwilę z panem Webbem.

Kiedy prowadziła go między gośćmi, naszała go myśl, że komenderują nim jak rekrutem w wojsku,

Po przeciwnej stronie salonu Sophie gawędziła z małą grupką nieco starszych panien. Niektóre z nich, jak na przykład panna Chessington, zostały zaproszone przez Lucille do towarzy-

stwa Sophie, inne zaś, jak panna Billingham, miały młodsze siostry, które zamierzały w tym sezonie zadebiutować w salonach stolicy. Po jakimś czasie dołączyła do nich grupka dżentelmenów. Byli to albo starannie dobrani znajomi państwa Webb, albo młodzi chłopcy, synowie przyjaciółek Lucilli. Z ich strony Jackowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

Sophie starała się brać żywy udział w rozmowie. Nie było to specjalnie trudne, bo pełna temperamentu panna Chessington z powodzeniem bawiła całe towarzystwo.

- Słyszałam - mówiła ta zawsze pogodna młoda dama - że na Paddington Green ma się odbyć pojedynek między lordem Malmseyem a wicehrabią Holthorpe'em!

- Ale o co? - zapytała panna Billingham, a jej nos jeszcze bardziej się wydłużył.

Belle Chessington popatrzyła na otaczających je panów.

- No, panowie, czy któryś z was mógłby uchylić rąbka tajemnicy?

- Chyba o to, co zawsze. - Pan Allingcott machnął lekceważąco ręką. - Nie powinno się mówić o takich sprawach w towarzystwie młodych dam.

- Skoro tak myślisz, Haroldzie - zwróciła się do brata panna Allingcott - to znaczy, że nie znasz się na kobietach. Przecież pojedynek to ogromnie podniecająca wiadomość.

Zbity z tropu pan Allingcott zmarszczył brwi.

- Czy ktoś ma jakieś dodatkowe informacje o lądowaniu balonu w Green Park? - zapytała Sophie. Jak na komendę wszyscy zaczęli mówić, jedni przez drugich. W tym momencie Sophie podniosła wzrok i zobaczyła Lestera. Najchętniej zawiązałyby mu dzwonek na szyi, by przestał ją za każdym razem zaskakiwać swym pojawieniem się i wprowadzać w denerwujący popłoch.

Jack uśmiechnął się, a ona na moment zapomniała, gdzie

się znajduje. Zapomniała, że wokół niej stoją znajomi, którzy mają oczy i uszy otwarte. Nagle poczuła gorące prądy rozchodzące się po całym ciele od jej palców, wokół których zamknęła się gorąca dłoń Jacka. Musiała bezwiednie podać mu rękę, bo właśnie skłonił się nad nią, dystansując pozostałych panów.

- Dobry wieczór, sir - usłyszała z oddali swój własny głos. Miała nadzieję, że nikt nie dostrzegł jej zmieszania.

- Witam, panno Wmterton.

Zapanowała nad emocjami, odwróciła się i ujrzała wściekłą zazdrość w oczach panny Billingham.

- Czy zna pan pannę Billingham?

- O, tak! - przymilnym tonem wtrąciła się Augusta Billingham. - Pan Lester jest moim dobrym znajomym - dodała i z omdlewającym uśmiechem podała mu rękę.

Jack zawahał się, a potem ujął jej dłoń i skłonił się lekko.

- Witam, panno Billingham.

- A oto panna Chessington. - Sophie prezentowała zebranych.

Promienny uśmiech Belle w niczym nie przypominał cklowych uśmieszek Augusty.

- Witam pana - powiedziała, dygając, panna Chessington.

Jack obdarzył ją życzliwym uśmiechem i ujmował kolejne dłonie, przedstawiany reszcie towarzystwa. Najchętniej oddaliłby się, ale zdecydował się zostać, bo nie chciał rozstawać się ze swoją złotowłosą.

Kiedy muzycy zaczęli stroić instrumenty i jeden z młodych dżentelmenów poprosił Sophie do tańca, Jack nachylił się ku niej i szepnął:

- Mam nadzieję, panno Wmterton, że pani jeszcze tu wróci. Dawno bym się stąd ulotnił - co niewątpliwie stanowiłoby niepowetowaną stratę dla tak doborowego towarzystwa - gdyby nie pani krzepiąca obecność.

Sophie uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Plecie pan bzdury - szepnęła, ale jej usta drgnęły w uśmiechu.

Podczas gdy Sophie tańczyła kotyliona, a później chodzonego, Jack zdecydował się porozmawiać z kilkoma młodszymi dżentelmenami. Wszyscy byli nieco onieśmieleni jego reputacją doskonałego jeźdźca i znawcy koni, nic więc dziwnego, że rozmowa raczej się nie kleiła. Jack nigdy jeszcze tak bardzo nie czuł brzemienia swoich trzydziestu sześciu lat. I nigdy tak bardzo nie pragnął zakończyć kariery kawalera.

A perspektywy wciąż wydawały się dość odległe. Po kadrylu przyszedł następny taniec, do którego ktoś poprosił Sophie, zanim zdążyła zejść z parkietu. Jack przeprosił swoich rozmówców i podszedł do muzyków. Szefem orkiestry był skrzypek; dogadali się w kilku słowach, a wsunięta w rękę gwinea przypieczętowała umowę.

Kiedy muzyka umilkła, Jack ruszył w stronę Sophie - właśnie odpoczywała po ostatnim tańcu. Odwrócona tyłem do sali stała obok swojego tancerza w kręgu, który właśnie zaczął się formować, i wesoło przekomarzała się z sąsiadem z prawej strony. Kiedy ich oczy się spotkały, Jack dostrzegł w jej wzroku lekkie napięcie.

Panna Winterton starała się nadać uśmiechać, lecz czuła się coraz bardziej nieswojo. Z przerażeniem stwierdziła, że zaczyna tracić nad sobą kontrolę. Wreszcie zdołała się opanować.

- Więc jednak wytrwał pan jakoś do tej pory? - zwróciła się do Jacka.

Jednym uniesieniem brwi Jack odprawił młodego towarzysza Sophie. Chłopak poczerwieniał, skłonił się i mrużąc coś pod nosem, odszedł.

Sophie z wyrzutem zwróciła się do Lestera:

- To nie fair tak bezwzględnie korzystać z przewagi wieku.
- Obawiam się, moja droga - westchnął Jack - że moje...

doświadczenie wycisnęło na mnie niezatarte piętno. - Szybko zanotował w pamięci, iż musi być w przyszłości bardziej ostrożny, po czym ujął Sophie pod rękę. - Czuję się jak przysłowiowy wilk w owczarni.

Jego spojrzenie zaparło Sophie dech w piersi, mimo to zmierzyla Jacka chłodno, a potem przeniosła wzrok na grupkę znajomych. Jack prowadził ją w ich stronę, ale się nie spieszył. Nie próbował też nawiązać rozmowy, dając jej tym samym trochę czasu - nie na opanowanie nerwów, tylko na uświadomienie sobie, że jest przez niego obserwowana.

Lester zdecydowanie wyróżniał się spośród gości nie tylko swoim zachowaniem, władcym i chłodnym, ale również aparycją, elegancją i dobrym gustem. Ubrany był jak zwykle w ciemnoniebieski surdut, czarne pantaloney i śnieżnobiały fontaż zawiązany w misterny węzeł - obiekt cichej zazdrości wszystkich młodzieńców. Patrząc na niego, nikt nie mógł wątpić, że był tym, na kogo wyglądał: doświadczonym, groźnym uwodzicielem.

Sophie zasepiła się. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego Lester, mimo wszystko, nie wzbudza w niej lęku.

- Skąd ta zmarszczka na pani czole?

Podniosła oczy na Jacka, który przyglądał jej się z uwagą.

- A może wołałaby pani, żebym zostawił ją... w towarzystwie młodszych znajomych?

- Nie - zapewniła go zgodnie z prawdą.

Sophie spojrzała na czekających przyjaciół. Pomyślała, że ci mili młodzieńcy są zupełnie nijacy, bo Jack przyćmił ich wszystkich swoją niezwykłą osobowością.

Lester nachylił się i półgłosem powiedział:

- Wydaje mi się, że następny będzie walc. Czy zechce pani ze mną zatańczyć, moja droga?

Razem dołączyli do małego kręgu znajomych. Jack stanął z tyłu, za Sophie. W ten sposób mógł przysłuchiwać się kon-

wersacji, nie pesząc zarazem młodych ludzi, którzy z całą pewnością nie stanowili dla niego żadnego zagrożenia.

Po paru minutach doczekał się nagrody. Usłyszał, jak muzycy biorą pierwsze tony. Sophie zwróciła się do niego i podała mu rękę.

Jack skłonił się i poprowadził ją na parkiet.

Jednak jego dobre samopoczucie okazało się krótkotrwałe. Jedna runda wokół sali wystarczyła, by mógł się zorientować, że coś jest nie w porządku. Wprawdzie twarz jego partnerki jaśniała uśmiechem, a jej oczy nie unikały jego wzroku, dziewczyna była jednak w jego ramionach spięta, a nie swobodna, jak poprzednio.

Z każdą chwilą rósł jego niepokój. Nawet chłodne spojrzenia Lucilli, jakimi go od czasu do czasu obrzucała, nie potrafiły odwrócić jego uwagi od tego, co działo się z Sophie.

Po dłuższej chwili odezwał się łagodnym tonem:

- Zapomniałem zapytać o pani zdrowie, panno Winterton. Mam nadzieję, że pokonała już pani swoją niedyspozycję?

Skupiona na tym, by zachować stosowny dystans, Sophie nie spodziewała się tego pytania. Zamrugała oczami, a potem splonęła rumieńcem. Ogarnęło ją poczucie winy. Ton i wyraz twarzy Lestera świadczyły o tym, że jej zdrowie napawa go szczerą troską.

- Tak, tak... - zapewniła go pospiesznie. - Ja... ja... - próbowała znaleźć słowa, które nie byłyby jawnym kłamstwem. - Nie dolegało mi nic poważnego, tylko mały ból głowy. - Mówiąc to, nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

Jack zasepił się, ale zaraz odsunął natrętną myśl. Sophie na pewno źle się czuła. Ona nie jest zdolna do kłamstw.

- Mam też wyrzuty sumienia - mówiła dalej Sophie. - Nie podziękowałam panu jeszcze za podarunek. Przecież to pan przysłał te herbaciane róże?

Z ulgą spostrzegła, że Jack skinął głową.

- Mam nadzieję, że udało mi się rozjaśnić pani trochę tamten dzień, panno Winterton - powiedział, po czym patrząc jej w oczy, dodał: - Tak jak pani opromienia moje dni.

Ostatnie słowa wyszeptał tak cicho, że prawie niedosłyszalnie, mimo to zadźwięczały jak dzwon w uszach Sophie. Nagle poczuła się okropnie. Jak mogła tak przed nim udawać? Po co kryła się ze swoim uczuciem? To się nigdy nie uda. Nie miała tyle siły. Jack i tak wkrótce się domyśli...

Na jej twarzy odmalowało się przygnębienie. Jack zaczerpnął tchu, a potem powiedział:

- Sophie!

Walc dobiegł końca. Jack puścił dziewczynę, ale zaraz chwycił ją mocno za rękę.

- Może przejdziemy się trochę?

- Och, nie - przeraziła się Sophie. - Muszę już wracać.

- Pani przyjaciele przeżyją bez pani te kilka minut - oświadczył kategorięcznym tonem. - Na końcu sali jest otwarte okno. Powinna pani odetchnąć świeżym powietrzem.

Sophie również miała wrażenie, że świeże powietrze na pewno by jej dobrze zrobiło, jednak świadomość, że Jack jest na tyle troskliwy, by to zauważyć, wcale nie ułatwiała jej sytuacji. Cicho wyraziła zgodę, na którą Jack zdawał się wcale nie czekać, po czym powiedziała sobie w duchu, że powinna być mu wdzięczna. A jednak jego bliskość niepokoiła ją, bo czuła, że po każdym spotkaniu Jack staje się jej coraz droższy.

- Proszę tutaj usiąść. - Lester podprowadził ją do krzesła stojącego pod ścianą. Tuż obok znajdowało się okno, a mięsiste draperie drżały od wiatru.

Sophie osunęła się na miękkie, wyściełane krzesło. Pod plecami poczuła chłód drewnianego oparcia, co pomogło jej zebrać myśli.

- Czy mogłabym pana prosić o coś do picia?

- Oczywiście - powiedział. Odwrócił się i gestem przywołał lokaja, po czym polecił mu przynieść szklanekę wody.

- A teraz, Sophie - zwrócił się do niej - powiesz mi, co się stało.

Był to po prostu rozkaz. Dziewczyna zaczerpnęła tchu i ze spokojem spojrzała mu w oczy.

- Co się stało? - powtórzyła ze zdumieniem. - Nic się nie stało, sir. - Rozłożyła bezradnie ręce. - Jest mi tylko trochę... za gorąco. - Nagle zdała sobie sprawę, że to prawda. Jack stał nad nią, brwi miał ściągnięte, a jej natychmiast przypomniała się ich dzika galopada w Leicestershire. Taki sam błysk rozjaśnił wówczas jego oczy. Poczowała lęk i przyspieszone bicie serca.

Jack zacisnął usta.

- Sophie...

Ich spojrzenia się spotkały. Jack przysunął się bliżej.

- Szklanka wody dla panienki.

Sophie spojrzała na lokaja i wzięła głęboki oddech.

- Dziękuję, John. - Sięgnęła po szklanekę, po czym z blady uśmiechem odprawiła go.

Utrzymanie szklanki pewną ręką kosztowało ją wiele wysiłku. Wodząc nie widzącym wzrokiem za tańczącymi parami, sączyła powoli chłodny płyn. Zapadła przygnębiająca cisza.

- Dziękuję panu. Czuję się znacznie lepiej.

Jack skinął głową. Nim zdołał sformułować pytania, które cisnęły mu się na usta, uwagę jego przykuła grupka młodzieży, która pośród głośnych wybuchów śmiechu zatrzymała się kilka kroków dalej.

Sophie także spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła kuzynkę w gronie młodych kawalerów, z których każdy usiłował zwrócić na siebie jej uwagę. Z niepokojem spostrzegła, że na pogodnej z natury twarzą Clarissy widać zdenerwowanie. Sophie zawahała się, a potem nachylając się bliżej, powiedziała:



- W rzeczywistości ona wcale nie lubi tego zamieszania wokół jej osoby.

Jack raz jeszcze popatrzył na młodziutką piękność. Na widok młodych kogutów, którzy skakali sobie do oczu, byle zdobyć jej względy, uśmiechnął się kwaśno.

- Jeżeli tak jest - rzekł - to boję się, że będzie musiała wyjechać z miasta. - Zwrócił się ku Sophie i dodał: - Ona stanie się królową salonów

- Wiem - westchnęła Sophie. Patrzyła wciąż na Clarisę. Twarz kuzynki przybrała wyraz najwyższego rozdrażnienia.

- Co...? - Sophie spojrzała w ślad za jej spojrzeniem. - O, nie!

Jack odwrócił się. Wzrok jego padł na przystojnego młodzieńca, który - sądząc po stroju - przybył właśnie ze wsi i teraz pewnym krokiem zmierzał wprost ku podnieconej grupce, otaczającej kuzynkę Sophie. Ignorując obecność tych, którzy ją otaczali, czym natychmiast zdobył sobie szacunek Jacka, młody człowiek zwrócił się do Clarissy. Niestety, stali zbyt daleko, by Jack mógł usłyszeć ich rozmowę. Mógł za to wyraźnie zobaczyć, że śmiałe wejście młodzieńca nie znalazło uznania w oczach złej jak osa panienki. Potrząsnęła złocistymi lokami, a jej twarz okryła się rumieńcem oburzenia.

- O Boże! Mam nadzieję, że nie nazwał jej znowu „Clary”.

Jack spojrzał na Sophie, która przygryzając wargi, śledziła rozwój wydarzeń.

- Jednak - odezwał się Jack - wygląda mi na to, że jego miśja się nie powiodła.

Sophie z troską pokiwała głową.

- Znają się od dziecka.

- Ach, tak. - Jack raz jeszcze spojrzał na rozgrywającą się nieopodal scenę. Przypomniały mu się wcześniejsze wynurzenia lady Webb.

- Czy ten młody zuch to może Ned Ascombe?

- Tak. - Sophie spojrzała na niego ze zdumieniem. - Syn sąsiada mojego wuja, z Leicestershire.

- Pani ciotka wspominała już o nim - wyjaśnił Jack. Nagle poczuł przypływ ogromnej sympatii do tego żółtodzioba, który był absolutnie pewny swojego miejsca w sercu prześlicznej Clarissy Webb. Kiedy zrozumiał, że potyczka jest z góry przegrana, z urażoną, lecz wyzywającą miną opuścił pole bitwy.

- Rozumiem, że nie spodziewano się go w Londynie - zwrócił się Jack do Sophie.

- To Clarissa się go nie spodziewała - odparła po namyśle.

- Czyżby? - zapytał z ironią Jack. - Twoja ciotka dała mi do zrozumienia, że ich przyszłość jest już ustalona.

Sophie westchnęła.

- Pewnie tak jest. Clarissę nie interesują podboje i tak naprawdę nie lubi być w centrum uwagi. Moi wujostwo uważają, że nim sezon dobiegnie końca, Clarissa będzie aż nadto szczęśliwa, że może znowu wrócić do Leicestershire.

- I Neda Ascombe'a?

- I Neda Ascombe'a - potwierdziła Sophie.

Patrząc na rumieńce, które wciąż barwiły policzki Clarissy Webb, Jack miał co do tego pewne wątpliwości.

Sophie dopiła wodę.

- Przepraszam, sir, ale muszę już wracać do przyjaciół.

Nie tego sobie życzył, lecz musiał trzymać się w ryzach. Skinął głową, wziął z rąk Sophie szklanekę i odstawił na pobliski stolik, a potem wyciągnął rękę.

Sophie podała mu dłoń. Kiedy nakrył palcami jej pałce, poczuł, że dłoń dziewczyny lekko drży. Spojrzał na jej wciąż pobladłą twarz.

- Moja droga, uwierz mi, nigdy świadomie nie sprawiłbym ci przykrości.

Serce podskoczyło jej w piersi, a do oczu napłynęły łzy. Próbowwała coś powiedzieć, ale gardło miała ściśnięte. Z uśmiechem, który zamienił się w grymas, odwróciła wzrok.

Jack odprowadził ją do przyjaciół, a potem uprzejmie się pożegnał.

Nie od razu jednak opuścił dom państwa Webb. Coś się wydarzyło i Sophie mu nie ufała. Ten niezaprzeczalny fakt ranił jego dumę i domagał się podjęcia natychmiastowych akcji. Kryjąc zdernerwowanie pod maską nudy, dotarł do małej wnęki w sali, skąd Ned Ascombe czuwał nad swoją przyszłą narzeczoną.

Jack oparł się obok niego o ścianę i stwierdził:

- W ten sposób nic z tego nie wyjdzie.

Lakoniczna uwaga sprawiła, że Ned oderwał wzrok od roztańczonych par i zwrócił się ku Jackowi. Groźny mars zniknął z jego czoła. Chłopak wyprostował się i powiedział:

- Och, przepraszam pana.

Jack posłał mu życzliwy uśmiech.

- To ja powinienem przeprosić, bo to ja zakłóciłem twą zadumę. - Spoglądając mu w twarz, wyciągnął rękę. - Jack Lester. Jestem znajomym państwa Webbów. Chyba widziałem cię już na balu u lady Asfordby.

Zgodnie z jego przewidywaniami, dźwięk tych szacownych nazwisk z Leicestershire sprawił, że lody zostały przełamane.

Ned mocno uściśnął podaną sobie dłoń i zaczerwienił się.

- Więc pewnie pan widział... - Zacisnął usta i zrezygnowany machnął ręką, po czym znów wbił wzrok w tancerzy. - Był pan wtedy z Sophie.

Jack uśmiechnął się, bardziej do siebie niż do Jacka.

- Istotnie, widziałem. I mogę ci powiedzieć z całym przekonaniem, że twoja obecna strategia jest z góry skazana na niepowodzenie. - Mówiąc to, czuł rosnącą ciekawość Neda. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta i wyciągnął wizytówkę,

którą wręczył młodemu człowiekowi. - Jeżeli chcesz się nauczyć pewnych sposobów, jak zdobyć pannę, którą sobie upatrzyłeś, to wpadnij do mnie jutro koło jedenastej. - Przyzwyczajony do patronowania młodszym braciom, powiedział to bez cienia protekcjonainości.

Ned wziął wizytówkę, przeczytał nazwisko i spytał:

- Ale dlaczego? Przecież mnie pan nie zna.

Jack uśmiechnął się z goryczą.

- Nazwijmy to solidarnością w niedoli. Uwierz mi, mój chłopcze, nie ty jeden dostałeś kosza tego wieczora. - Skinąwszy głową, Jack opuścił zdumionego młodzieńca.

Ned długo patrzył w ślad za nim, ściskając w palcach wizytówkę.

- No i jak, moja droga? Czy Jack Lester sprawił ci zawód? - Rozparty na poduszkach w łóżu, które wbrew przyjętej modzie dzielił z żoną, Horatio Webb spojrział pytająco na Lucillę popijającą poranną filiżankę kakao.

Pani Webb zmarszczyła lekko brwi.

- Mój drogi, zawsze wiedziałam, że na panu Lesterze można polegać. Powinnam sama zorganizować tego walca. Mimo wszystko, sprawy zdają się toczyć utartym trybem. - Zastanowiła się, po czym nagle rozchmurzyła czoło i rzuciła mężowi promienny uśmiech. - Chyba po prostu zapomniałam, jak bardzo męczące jest patrzenie na powolny rozwój wypadków w takich sprawach.

Horatio opuścił dokumenty, które pilnie studiował, i spojrział na żonę ponad złotymi okularami.

- Nie maczałaś aby w tym palców, kochanie?

Delikatny rumieniec zabarwił policzki Lucilli.

- To za mocno powiedziane. - Machnęła wypielegnowaną dłonią. - Z drugiej strony, nie mogę przecież dopuścić do tego, aby pan Lester zwabił Sophie do ołtarza, zanim to dziecko po-

zna smak sukcesu. Nie po tym, jak jej pierwszy sezon został tak tragicznie skrócony.

- Hmm! - Horatio zaszeleścił papierami. - Dobrze wiesz, co myślę o wtrącaniu się w życie innych, kochanie, nawet jeśli przyświecają nam najlepsze intencje. Kto wie? Może Sophie będzie zadowolona, że jej sezon został skrócony, jeżeli stanie się to za sprawą pana Lestera?

Lucilla rozważyła tę kwestię, skrzywiła się, a na koniec westchnęła.

- Może masz rację. Kiedy mają tu być te konie?

- Już są, od wczoraj. - Horatio znów zagłębił się w swoich papierach. - Wezmę dziś przed południem dzieci, żeby je sobie obejrzały. Oczywiście, jeśli ci to odpowiada.

Lucilla rozpromieniła się.

- O, tak, to świetny pomysł. Musimy tylko znaleźć dobrą eskortę. - Dotknęła dłoni męża. - Zostaw to mnie, jestem pewna, że potrafię wyszukać kogoś odpowiedniego.

Horatio chrząknął.

- Zastanawiam się, czy Lester przywiózł do miasta swojego wierzchowca?

Lucilla uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Dopiła kaka, odstawiła filiżankę na nocny stoliczek, po czym wsunęła się pod kołdrę i pogłaskała męża po rękę.

- Jestem pełna podziwu dla twojej dalekowzroczności, mój drogi. Jak to dobrze, że pomogłeś Lesterom odbudować ich fortunę. Teraz nie musisz się już niczym martwić i możesz z czystym sumieniem dać Jackowi Lesterowi swoje błogosławieństwo. - Z wyrazem kociego zadowolenia na twarzy, Lucilla zapadła w drzemkę.

Horatio popatrzył na nią z lekkim zdumieniem. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął. A kiedy się już napatrzył na piękną twarz żony, sięgnął po papiery i poprawiając okulary na nosie, pozwolił jej w spokoju śnić swoje sny.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Punktualnie o jedenastej następnego ranka rozległ się dzwonek u drzwi londyńskiej rezydencji Jacka na Upper Brook Street.

- Pinkerton, to zapewne pan Ascombe. Wprowadź go tutaj - zwrócił się Jack do swojego lokaja.

- Dobrze, proszę pana - powiedział lokaj z grobową miną. Jack skinął głową i znów zagłębił się w „Kronikę Wyścigów”.

- I przynieś dzbanek świeżej kawy.

- Tak jest, proszę pana. - Pinkerton, poważny jegomość, który uważał za punkt honoru wykonywanie swoich obowiązków w sposób perfekcyjny, bezszelestnie opuścił pokój. Jack odłożył na bok „Kronikę”. Odsunął krzesło od stołu i przeciągnął się, próbując rozładować napięcie.

Po chwili Pinkerton wprowadził Neda Ascombe'a, a potem wyszedł po kawę.

- Dzień dobry panu. - Ned spojrzał niepewnie na gospodarza. Nadal właściwie nie wiedział, czemu zawdzięczał zaproszenie, bo enigmatyczne wyjaśnienie Lestera niewiele mu dało. Jack Lester zdecydowanie nie należał do tych londyńskich elegantów, dla których każda godzina przed południem oznaczała wczesny poranek. Miał na sobie niebieski surdut, przy którym luźny strój Neda prezentował się wyjątkowo prowincjonalnie.

- Cieszę się, że cię widzę, Ascombe. Czy mogę nazywać cię Ned? - spytał Jack, wyciągając rękę.

Ściskając jego dłoń, Ned skinął głową:

- Jeżeli pan sobie tego życzy. - A potem, gdy uświadomił sobie, że zabrzmiało to dość niezręcznie, uśmiechnął się. - Większość znajomych mówi do mnie Ned.

W odpowiedzi Jack także się uśmiechnął, po czym wskazał Nedowi krzesło.

Jack poczekał, aż Pinkerton, który właśnie przyniósł drugą filiżankę i dzbanek z kawą, zniknie za drzwiami, a potem powiedział:

- Z tego, co mówiła mi panna Winterton, rozumiem, że twoim pragnieniem jest, aby panna Webb okazywała ci - że się tak wyrażę - większą przychylność.

Ned mocniej ujął filiżankę. Zaczerwienił się, ale odważnie spojrzął Jackowi w oczy.

- Sophie jest bardzo lojalną przyjaciółką, sir.

- No właśnie - zgodził się Jack. - Jeżeli jednak mam mówić do ciebie Ned, lepiej, jeżeli i ty będziesz zwracał się do mnie po imieniu. Wprawdzie jestem od ciebie znacznie starszy, ale jeszcze nie na tyle stary, abym mógł być twoim ojcem.

- Wobec tego, niech będzie Jack - powiedział z uśmiechem Ned.

- Skoro uporaliśmy się już z formalnościami, nie ukrywam, że zauważyłem twoje wczorajsze niepowodzenie z panną Webb.

Ned zasepił się.

- Widziałeś więc, jak się to odbyło. Była za to bardzo uprzejma dla tej bandy gogusiów i pochlebców.

Zapadła cisza. Po chwili Jack zapytał:

- Mam nadzieję, że jej tego nie powiedziałaś?

Ned wzmocnił się długim łykiem kawy, po czym ponuro pokiwiał głową.

- Oczywiście nie takimi słowami - dodał.

- Dzięki ci Boże i za to. - Jack obrzucił gościa krytycznym spojrzeniem. - Wydaje mi się, mój chłopcze, że rozpaczliwie

potrzebujesz wskazówek, jak przeprowadzić zwycięską kampanię salonową.

- Zwycięską kampanię?

- Która doprowadzi do tego, że uda ci się zdobyć serce damy.

Ned rozpromienił się.

- Serce Clarissy zawsze do mnie należało.

- Mam nadzieję - powiedział Jack. - Rzecz w tym, aby pomóc jej to sobie uświadomić. Sądząc po tym, co widziałem wczoraj wieczorem, jeśli radykalnie nie zmienisz taktyki, to zamiast posuwać się do przodu, będziesz się tylko cofać.

Ned zapatrzył się w swoją filiżankę, a potem podniósł oczy na Jacka.

- Nie jestem stworzony do tego, aby błyszczeć w salonach. Nie umiem czarować młodych panienek. Znacznie lepiej czuję się w siodle niż na parkiecie.

- A my wszyscy nie? - Widząc zdumiony wzrok Neda, Jack pospieszył z wyjaśnieniem: - Większość dżentelmenów, których spotykasz na przyjęciach i balach, także wolałaby być gdzie indziej.

- No to po co przychodzą, skoro tego nie lubią?

- A czemu ty przyszedłeś na tańce do pani Webb?

- Bo chciałem zobaczyć Clarissę.

- No właśnie. Jedynym powodem, który jest w stanie zwać nas do salonów, są piękne damy. Gdzie mielibyśmy okazję porozmawiać i zawierać znajomości? Jeżeli nie zostaniesz wcześniej przedstawiony damie na balu, bardzo trudno nawiązać z nią kontakt. Przynajmniej tak jest w mieście. A więc - do końca - jeżeli naprawdę zależy ci na Clarissie Webb, musisz pogodzić się z faktem, że w tym sezonie będziesz szlifował posadzki salonów.

- Ojciec był przeciwny mojemu przyjazdowi do Londynu



- przyznał Ned. - Uważał, że powinienem poczekać, aż Clarissa wróci na wieś. Państwo Webbowie są przekonani, że nie spodobają jej się całe to zamieszanie wokół jej osoby i będzie chciała wrócić do domu.

- Wierzę głęboko w dalekowzroczną mądrość pana Webba, lecz czy nie wydaje ci się, że w swoich pobożnych życzeniach posuwasz się trochę za daleko? Że za bardzo wierzysz w uczucia Clarissy?

Ned znowu spłonął rumieńcem.

- To właśnie mnie niepokoi i dlatego przyjechałem do Londynu.

- Instynkt cię nie zawiódł. - Jack popatrzył na młodzieńca. - Po tym, co zobaczyłem, sądzę, że bez względu na jej preferencje, Clarissa Webb zapowiada się na królową sezonu, co oznacza, że ci wszyscy eleganci znajdują się u jej stóp, będą rozsnawać przed nią wizje świetlanej przyszłości, jaka ją czeka, jeśli któregoś z nich obdarzy swoją ręką. Pamiętaj, że nawet jeśli Clarissa w duszy pozostanie wiejską panią, to nie brakuje dżentelmenów kochających wieś i każdy z nich bez wahania poślubi śliczną i dzięki rodzicom bardzo ustosunkowaną pannę, która nie lubi miasta. Wielu z nich uzna ją za skarb. Nie powinienś tego zlekceważyć.

Ned ściągnął brwi, a po chwili spojrzał Jackowi w oczy.

- Chcesz mi powiedzieć, że Clarissa będzie oblegana przez dżentelmenów, którzy chcą wrócić na wieś?

Jack energicznie pokiwał głową.

- I że jeżeli nie zadbam o swoje sprawy, to znaczy nie wzbudzę w niej zainteresowania, gotowa wybrać jednego z nich?

Ponowne skinienie.

Ned był wstrząśnięty. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w pustą już filiżankę. Jack w tym samym czasie cierpliwie czekał. W końcu Ned uniósł głowę i powiedział szczerze:

- Dziękuję ci za ostrzeżenie, Jack. Dałeś mi wiele do myślenia. - Mimo najszczęśliwszych wysiłków, by zachować stoickie opanowanie, młodzieniec nie potrafił ukryć poczucia bezradności. - Najgorsze jest to, że zupełnie nie wiem, co robić - wyznał.

- Przede wszystkim nie wpadaj w panikę - poradził Jack. - Mam niemałe doświadczenie i chcę się nim z tobą podzielić. Kiedy się już nauczysz podstawowych reguł gry, reszta będzie przyjemnym wyzwaniem.

Ned spojrział na niego ze zdumieniem.

- Chcesz powiedzieć... Chcesz powiedzieć, że jesteś gotów mi pomóc?!

- Owszem, chętnie zostanę twoim mentorem.

Szczera twarz Neda spochmurniała.

- Ale... dlaczego? - Oblął się rumieńcem. - To znaczy... Jack roześmiał się.

- Nie, nie. Pytanie całkiem na miejscu. - Spojrział na gościa uważnie. - Powiedzmy sobie, że nie mogę patrzeć, jak młody i przyzwoity dżentelmen tak beznadziejnie się wikła. No i, oczywiście, sam mam interesy w domu państwa Webbów. - To wyznanie, rzucone jakby od niechcienia, znalazło zrozumienie w oczach Neda.

- Sophie? - zapytał domyślnym tonem.

Jack pochylił głowę.

- Rozumiem - westchnął Ned.

Zgodnie z przewidywaniami, Ned uwierzył, że zainteresowanie Sophie jest wystarczającym powodem, by Jack wyciągnął do niego pomocną dłoń. Oczywiście chłopak ujął Lestera szczerością swoich zamiarów, lecz wziął go pod swoje skrzydła przede wszystkim dlatego, iż panna Winterton martwiła się o szczęście kuzynki. Nie chciał dzielić uwagi Sophie ani z Clarissą, ani z kimkolwiek innym.

Ned wciąż miał obiekcje.

- Rozważ moją propozycję jako pochodzącą od kogoś, kto robi wszystko, by dama jego serca nie zamartwiała się rodzinnymi kłopotami - powiedział mu Jack.

Ned podniósł wzrok, próbując ukryć uśmiech.

- To rzeczywiście musi być prawda. Sophie zawsze opiekowała się Clarissa jak młodszą siostrą.

- Cieszę się, że się rozumiemy - powiedział Jack.

Ned pokiwał głową.

- **Cóż**, muszę przyznać, że źle byłoby wycofać się bez walki, jednak nie wiem, od czego zacząć. - Uśmiechnął się. - Myślisz, że potrafiłbyś zrobić nawet ze mnie dandysa?

- Wykluczone - powiedział Lester. - Jestem za to pewny, że zrobię z ciebie eleganckiego dżentelmena. - Spojrzał znacząco na Neda. - Pamiętaj, abyś nawet nie próbował ukrywać, skąd pochodzisz. Gdy się głębiej zastanowisz, sam uznasz, że nie należy wstydić się tego, iż się jest ziemianinem. Większość dżentelmenów przewodzących naszej elicie to właściciele olbrzymich majątków ziemskich i mogę cię zapewnić, że ani trochę tego nie żałują. Wielu z nich poświęca im masę czasu. Jeżeli źródłem czyjejś fortuny jest ziemia, to bardzo chwalebne.

Ned lekko się zaczerwienił.

- Dziękuję. Nie wiem, skąd to wiesz, lecz tak właśnie uważam.

- Wiem stąd, że sam to przeżyłem. Ja także mam majątek, którym muszę zarządzać, ale przez to nigdy nie czułem się źle w Londynie, a wręcz przeciwnie.

- Ach, tak. - Świadomość, że Jack także związany jest z ziemią, rozwiała ostatnie wątpliwości Neda. - Więc od czego mam zacząć?

- Od krawca - odparł Jack. - Potem fryzjer. Nic nie działasz, póki będziesz tak wyglądał. Później pomyślimy o tym, że-

by cię wprowadzić do kilku miejsc, w których modny dżentelmen musi bywać. Wtedy zaplanujemy twoją kampanię bardziej szczegółowo. - Jack uśmiechnął się. - Musisz wiedzieć, że aby zdobyć kobietę, należy być przebiegłym jak lis i wiernym jak pies.

- Zrobię wszystko, co trzeba - zapewnił Ned - byle tylko Clarissa przestała patrzeć na tych nadętych gogusiów tak jak wczoraj.

Jack wstał ze śmiechem.

- No to do dzieła! Teraz albo nigdy!

Podczas gdy Ned popijał kawę na Upper Brook Street, Horatio Webb pokazywał dzieciom oraz Sophie konie, które sprowadził z majątku.

- To są nasze bilety wstępu na przejażdżki po parku - powiedział, wprowadzając młodzież do stajni. - Słyszałem, że wypada pokazać się tam przed południem.

- O, tak! - Jeremy'emu zaświeciły się oczy. - Wszyscy tam bywają, papo!

Horatio uśmiechnął się.

- Poznajecie te dwa konie, chłopcy?

- Na Jowisza! To te, które kupiłeś od lorda Cranbourne'a, prawda?

George i Jeremy z zachwytem popatrzyli na dwa lśniące kasztanki, które wskazał im ojciec.

- Pomyślałem, że potrzebują trochę ruchu - stwierdził Horatio z dobrotliwym uśmiechem. - Chyba sobie z nimi poradzicie?

Chłopcy jednogłośnie zapewnili, że tak.

- Ale zadamy szyku! - zawołał Jeremy.

Gdy synowie zajęli się swoimi końmi, Horatio spojrział na Amy.

- A dla ciebie, moja panienko, sprowadziłem Śnieżkę. Stara Maude nie zniosłaby miejskiego ruchu.

Na samą myśl o tym, że będzie mogła galopować szybciej niż na starej Maude, Amy uśmiechnęła się szeroko, a kiedy siwa klacz trąciła nosem jej kieszeń, pisnęła:

- Papo! Ona mnie poznaje!

Skoro Amy także miała już zajęcie, Horatio uśmiechnął się do dwóch ostatnich podopiecznych.

- Teraz ty, kochanie - rzekł, przywołując Clarissę. - Dla ciebie mam Jennie. Ufam, że nie czujesz się zawiedziona.

Clarissa z promiennym uśmiechem pogłaskała aksamitne chrapy przepięknej kasztanki.

- Jak mogłabym być zawiedziona? Przecież to moja ulubienica - powiedziała, a klacz trąciła ją nosem w policzek. - Bałam się, że zechcesz ją zluzować na jakiś czas - zwróciła się do ojca. - Jeździłam na niej przez całą zimę.

- Stary Arthur uznał, że jest osowiała, bo brakuje jej codziennych przejażdżek z tobą. Wiesz, jakie ma miękkie serce. - Horatio poklepał Jennie po pysku, po czym zwrócił się do Sophie: - Pozwól, moja kochana. - Ujął ją pod rękę i poprowadził do następnego boksu, gdzie stała dereszowata klaczka. - Uznałem, że Dulcima przypadnie ci do gustu. Nie jest taka narowista jak Szejka i bardziej nadaje się na przejażdżki po parku.

Sophie z zachwytem patrzyła na przepiękną klacz.

- Ale... ale ona jest nowa, prawda?

Horatio machnął lekceważąco ręką.

- Wyszukałem ją u Tattersalla. Jest dobrze ułożona i przyzwyczajona do miasta. Niezły zakup.

- O, tak, ale ja zadowolilibym się którymś z twoich koni, wujku. Mam nadzieję, że nie kupiłeś jej specjalnie dla mnie.

- Ależ nie, nonsens. Oczywiście, że nie - zapewnił ją Horatio, widząc w jej oczach niedowierzanie. Zaczął sobie obciągać

kamizelkę. - A poza tym słyszałem - dodał z szelmowskim błyskiem w oczach - że pan Lester jeździ od czasu do czasu po parku. Nie chciałbym, by sobie pomyślał, że o ciebie nie dbam, kochanie.

Tym stwierdzeniem zamknął Sophie usta.

- A teraz zostawiam was, żebyście się bliżej poznały. - Horatio poklepał klacz po grzbiecie, po czym dołączył do synów.

Dziewczyna patrzyła za nim przez chwilę, a potem prychnęła z niesmakiem i odwróciła się do klaczy. Dulcima potrząsnęła łbem, zastrzygła uszami i także prychnęła.

- Ale z ciebie mądrała ! - roześmiała się Sophie.

Klacz z przekonaniem pokiwała łbem.

Wreszcie przyszedł czas, by pożegnać konie i wrócić do domu.

W odpowiedzi na pytania Jeremy'ego i George'a, Horatio rzekł:

- Dajcie im ze dwa albo trzy dni na odpoczynek po podróży, i niech się przyzwyczają do miejskiego zgiełku, zanim je wyprowadzicie.

- Czyli będziemy mogli wybrać się na przejażdżkę w poniedziałek! - wykrzyknęli chłopcy.

- Jednakże - dodał Horatio - nie możecie jeździć po mieście ze stangretem. - Spojrzał na Sophie, a potem na Clarisę.  
- Niepodobna, byśmy, ciotka i ja, wyrazili na to zgodę.

- Ale Toby przyjedzie do Londynu, prawda? - zapytała Clarissa.

Horatio skinął głową. Jego najstarszy syn, student Oxfordu, miał lada dzień dołączyć do reszty rodziny.

- Owszem, musicie jednak pamiętać, że Toby ma zaledwie dwadzieścia lat. Byłoby bardzo nie fair obarczać go odpowiedzialnością za was wszystkich. Wasza matka i ja nie mamy co do tego najmniejszych wątpliwości, że gotów jest służyć wam jako ochrona, jednak Toby nie ma jeszcze na tyle doświadczenia, by bronić was przed niebezpieczeństwami,

które mogą wam zagrażać w stolicy. Londyn to nie Leicestershire, jak wiecie.

- Więc co mamy robić? - zapytała Sophie. Czuła, że wuj ma rację. - Skąd weźmiemy stosowną eskortę?

Horatio uśmiechnął się enigmatycznie.

- Twoja ciotka obiecała, że się tym zajmie.

Było wtorkowe popołudnie. Ponieważ jak na tę porę roku nadal utrzymywała się wyjątkowo łagodna pogoda, panie Webb zażywały w parku świeżego powietrza. Tłumy spacerowiczów wyszły na słońce, a ich stroje barwnymi plamami odcinały się od trawników. Kilka pań uznało nawet za stosowne zabrać parasolki od słońca.

Sophie siedziała w powozie obok ciotki, naprzeciwko radośnie uśmiechniętej Clarissy. Kłaniała się znajomym i machała na powitanie, zdecydowana skupić się raczej na nich niż na wypatrywaniu nieobecnych. Zwłaszcza tych, o których wołałaby zapomnieć.

Kiedy zakończyli powolną rundę, ciotka kazała stangretowi podjechać do powozu lady Abercrombie.

Lady, która w przeciwieństwie do męża była niesłychanie towarzyska, powitała ich entuzjastycznie.

- Lucillo, moja kochana! Tak się cieszę, że cię widzę! Czy zamierzasz zostać w Londynie przez pały sezon?

Kiedy pani Webb gawędziła z lady Abercrombie, Sophie i Clarissa robiły to, co powinny robić młode damy w takich okolicznościach: odpowiadały na każde skierowane do nich pytanie, ale poza tym błędziły wzrokiem po otaczającej je scenerii, czyli przesuwałym się tłumie.

Pochłonięta tą czynnością Sophie witała przechodzących znajomych, wymieniając automatycznie grzeczności, ale jej spojrzenie coraz pilniej przeszukiwało okolicę. Kiedy w końcu dotarło do niej, co robi, zmarszczyła brwi i przywołała się do porządku.

Potem zaczęła się rozglądać wokoło, w poszukiwaniu czegoś, na czym mogłaby skupić uwagę. Wtedy właśnie zauważyła pana Marstona, który z poważną miną czekał, żeby się z nią przywitać.

- O, dzień dobry panu - powiedziała. Po czym zła na siebie za swoją nieuprzejmość - stać ją było przecież na coś więcej - uśmiechając się, szybko dodała: - Nie wiedziałam, że wybiera się pan do Londynu.

Phillip Marston ujął jej dłoń i skłonił się, a potem przywitał się z Clarissą i Lucilla, które na dźwięk jego głosu uniosły w zdumieniu brwi. Po wymianie kilku zdań Lucilla znowu odwróciła się do lady Abercrombie, zostawiając Sophie na pastwę pana Marstona.

- W rzeczy samej, panno Winterton - oświadczył ze śmiertelną powagą - nie miałem zamiaru przyłączać się do tych frywołnych rozrywek. - Pełnym pogardy spojrzeniem obrzucił dwóch młodzieńców, którzy podjechali, by porozmawiać z Clarissą, po czym dodał: - Jednak uznałem, że moja obecność tutaj jest niezbędna.

- Czyżby, proszę pana? - zapytała zaintrygowana Sophie.

- Pochlebiam sobie, że jestem w pełni świadomy pani wrażliwości, panno Winterton. Obawiam się, że w stolicy znajdzie pani mało rozrywek godnych jej osoby. - Phillip Marston zerknął na Lucillę pogrążoną w rozmowie z lady Abercrombie i zniżył głos. - Skoro ciotka pani zdecydowała się przywieźć panią do miasta, jedyne, co mogłem zrobić, z błogosławieństwem mojej drogiej *maman*, to zaoferować pani swoją opiekę w tym trudnym okresie.

Zaskoczona tą rewelacją, Sophie zaczęła gorączkowo zastanawiać się nad jakąś w miarę sensowną odpowiedzią. Prawdę mówiąc, gdy dotarły do niej wszystkie implikacje zawarte w oświadczeniu pana Marstona, z przeraźliwą jasnością uświadomiła sobie, że absolutnie nie chce ani pana Marstona, ani jego



opieki. Uniosła dumnie głowę i obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Muszę pana poinformować, że rozrywki, podczas których towarzyszy mi moja ciocia, są fascynujące.

Uśmiech znikł z wąskich warg pana Marstona.

- Lojalność względem ciotki przynosi pani chlubę, muszę jednak podkreślić, że sezon jeszcze się nie zaczął. Obecne rozrywki są z całą pewnością przyzwoite. Zrozumie pani moje obawy, kiedy na horyzoncie pojawiają się londyńscy uwodziciele. Zapewniam panią, że będę bardziej niż szczęśliwy, mogąc towarzyszyć jej w charakterze eskorty.

Sophie rozpaczliwie szukała stosownych słów. Zaczepnęła tchu, podniosła wzrok i odetchnęła z ulgą, a serce podskoczyło w jej piersi. W końcu zapanowała nad mimowolną reakcją, ale dostrzegła, że i tak kąciki ust pana Lestera leciutko drgnęły.

Ze sztucznym spokojem wyciągnęła rękę.

- Dzień dobry, sir.

- Witam, panno Winterton. - Jack skłonił się szarmancko.

- Miałem nadzieję, że panią tu znajdę - mówił, kompletnie ignorując pana Marstona.

Za to pan Marston, jak Sophie zauważyła, nie zignorował Lestera. Zadarł nos, rozdymając nozdrza, jakby obecność Jacka była dla niego obrazą.

- Ach... O ile pamiętam, panowie już się kiedyś poznali. Pan Marston przyjechał dopiero Co z Leicestershire. Rozmawialiśmy właśnie o tym, co go tu sprowadziło, bo zaskoczył mnie swoją obecnością. - Sophie patrzyła, jak obaj panowie wymienili spojrzenia. Marston aż kipiał ze złości.

- Witam, panie Marston. - Niedbałym skinieniem głowy Jack rozprawił się z intruzem i zwrócił się do Clarissy, która skończyła właśnie rozmawiać z dwoma wielbicielami. - Dzień dobry, panno Webb. - Ucisnął podaną sobie dłoń, po czym

wskazał na stojącego za nim młodzieńca. - Znają panie pana Ascombe'a?

Sophie zdumiała się, a potem uśmiechnęła z zadowoleniem. Kątem oka dostrzegła osłupiały wzrok Clarissy. Ned był u krawca - i to dobrego. Elegancki surdut idealnie podkreślał smukłą sylwetkę w znacznie większym stopniu niż wszystkie jego poprzednie stroje. Musiał też być u fryzjera, bo gęste, kasztanowe kędziory otaczały teraz jego głowę w modnym nieładzie. Buty, bryczesy - wszystko miał nowe. Sophie ogarnęła młodzieńca jednym spojrzeniem, po czym czując na sobie nagłą wzrok Jacka, wyciągnęła rękę i z ciepłym uśmiechem powiedziała:

- Oczywiście, że się znamy. Cieszę się, że cię widzę, Ned. Ascombe się odprężył.

- Wyglądasz prześlicznie, Sophie. Chcesz złamać wszystkim panom serca? - zapytał z uśmiechem.

Pewność siebie przebijająca z jego tonu zaskoczyła Sophie. Szybkie spojrzenie w prawo potwierdziło, że nie ją jedną. Clarissa patrzyła na Neda, a w jej niebieskich oczach malowało się zmieszanie.

- Mam szczerzy zamiar dobrze się bawić w tym sezonie - odpowiedziała Sophie. - Zostaniesz w mieście aż do końca?

- Tak sędzę - odparł Ned, nie spuszczając z niej wzroku. - Nie zdawałem sobie sprawy, że w Londynie jest aż tyle ciekawych rozrywek.

- Witaj, Ned! - odezwała się Clarissa.

- Dzień dobry, panno Webb. Wygląda pani wspaniale. Jak przebiega pani pobyt w stolicy? Dobrze się pani bawi?

Sophie przygryzła wargi. Szybki rzut oka w stronę Lestera okazał się poważnym błędem. Diabelski ognik w jego oczach omal znów nie zburzył jej spokoju.

Clarissa, zdumiona odmianą, jaka zaszła w jej pocziwym towarzyszu z lat dziecinnych, mruknęła coś w odpowiedzi.

W tym momencie nieoczekiwanie wtrącił się pan Marston.

- Witaj, Ascombe - powiedział, mierząc krytycznym wzrokiem nowy strój Neda. - Twój ojciec byłby zdziwiony, widząc cię w takim przebraniu.

Przyzwyczajony do cierpkich uwag Marstona, Ned uśmiechnął się tylko i podał mu rękę.

Sophie zachichotała cicho, a kiedy Jack na nią spojrzał, szybko odwróciła wzrok.

W tym momencie Lucilla dołączyła do towarzystwa. Powitała Jacka jak starego znajomego, pochwaliła Neda za dobry gust i w entuzjastycznym monologu na temat rozmaitych rozrywek w stolicy udało jej się dać do zrozumienia, że dziewczęta chciałyby jeździć konno po parku, ale brak im stosownej eskorty.

- Nawet po przyjeździe Toby'ego - powiedziała w końcu otwarcie - bałabym się wypuszczać te niedoświadczone panny na przejażdżki bez kogoś, kto lepiej radzi sobie z końmi.

Sophie wpięrowała się, a potem spojrzała z wyrzutem na ciotkę, ale Lucilla udała, że tego nie widzi. Jak można się było spodziewać, Jack natychmiast odpowiedział:

- Pan Ascombe i ja z najwyższą przyjemnością oferujemy nasze usługi. Czy zgodzi się pani oddać panny Sophie i Clarissę pod naszą opiekę?

Sophie bezradnie patrzyła, jak Lucilla z wdzięcznością spogląda na Jacka, zapewniając:

- Drogi panie Lester, nie widzę nikogo, komu mogłabym bardziej zaufać.

Jack dwornie się skłonił. To, że Lucilla spodziewała się, iż jako dżentelmen nie nadużyje jej zaufania, było mu nawet na rękę.

Postanowił jak najprędzej wykorzystać nadarżającą się okazję.

- Może panna Winterton i panna Webb pospacerowałyby

z nami przez chwilę, żebyśmy mogli ustalić najdogodniejszą porę spotkań?

Lucilla spojrzała na niego uważnie.

Sophie wcale nie była pewna, czy spacer u boku Jacka Lestera jest mądrym posunięciem, bo i cóż stąd, że znajdowali się w samym środku parku? Skoro zachowanie należytego dystansu traktowała jako absolutną konieczność, to taka fizyczna bliskość nie mogła jej w tym pomóc.

- Cudowny pomysł! - Clarissa zwróciła się do matki, jej oczy lśniły z podniecenia.

Lucilla westchnęła.

- Dobrze, ale tylko piętnaście minut. Czekam na was w tym samym miejscu.

Na szczęście pan Marston nie odezwał się ani słowem, tylko spochmurniał, a potem nagle skłonił się i odszedł.

Jack nawet tego nie zauważył. Pomógł Sophie wysiąść z powozu, a w jego oczach malowało się najwyższe uznanie. W sukni barwy starego złota, z lekkim rumieńcem na policzkach wyglądała jak zwiewna wróżka,

Sophie wzięła go pod rękę, po czym wolnym krokiem ruszyli przez starannie wystrzyżony trawnik. Za nimi szła Clarissa pod rękę z Nedom, rzucając mu raz po raz nieśmiałe spojrzenia. Podczas przechadzki starali się trzymać razem i nie oddalać się zbyt, tak by Lucilla mogła ich widzieć z powozu.

Spacerując u boku Jacka, Sophie znów poczuła bijącą od niego siłę, w obliczu której stawała się zupełnie bezbronna. Próbowwała zachować spokój i wciąż powtarzała sobie w duchu, że są przyjaciółmi - i tylko przyjaciółmi.

- Całe towarzystwo wręcz się pali, by jak najszybciej rozpocząć tegoroczny sezon - powiedział, rozglądając się po rojnym i gwarnym parku. - O tej porze takiego zjazdu w stolicy nie widziałem od lat.

- Ciocia także zdążyła to zauważyć - odparła Sophie, podobnie jak on wpatrzona w spacerowiczów. - O ile wiem, kilka pań chce w przyszłym tygodniu wydać inauguracyjne bale.

- Mój bal odbędzie się w piątek - drżącym z podniecenia głosem odezwała się Clarissa. - Mama mówi, że nie ma powodu, by nie korzystać z zapowiadanych atrakcji.

- Mama pani jest bardzo mądrą osobą, panno Webb. - Jack uśmiechnął się do zarumienionej Clarissy. Kilka dni spędzonych w towarzystwie Neda jeszcze bardziej pobudziło jego instynkty opiekuńcze. Był zdecydowany zrobić wszystko, by pod koniec sezonu Ned mógł wrócić na wieś pewny względów Clarissy. - Mam nadzieję, że jest pani na tyle rozsądna, by słuchać rad swej mamy.

- Czy zwiedzała już pani ogród zoologiczny, panno Webb? Podobno dzikie zwierzęta są naprawdę przerażające. - Ned doskonale radził sobie z konwersacją.

Sophie uśmiechnęła się ukradkiem, słysząc, jak Clarissa, wciąż pełna podejrzeń, a zarazem zbyt niepewna odmienionego Neda, by zaryzykować dąsy, odpowiada mu naturalnie i szczerze.

Widząc to, a także czując, że dość już zdziałał tego dnia, by podnieść akcje podopiecznego, Jack zwolnił kroku.

Sophie zauważyła to i spojrzała na swojego towarzysza, a gdy tylko Lester uśmiechnął się znacząco, natychmiast uległa pokusie.

- Czy dobrze się domyślam, że pomaga pan Nedowi przystosować się do życia w mieście?

Jack przysunął się bliżej i zniżył głos.

- Ned to sympatyczny chłopak, ale fakt, że przyjechał prosto ze wsi, nie dodawał mu uroku. Niechęć, którą mu okazano, była zupełnie niezasłużona. Moim zdaniem to fair, żeby zrównać nieco szanse.

- Naprawdę? - spytała Sophie, patrząc mu w oczy. - Czy to znaczy, że chce pan jedynie zadośćuczynić niesprawiedliwości?

- Jestem bardzo wyczulony na wszelką niesprawiedliwość  
 - odparł Jack, unosząc wyzywająco brwi. A potem, porzucając wyniosły ton, dodał ciszej: - Mam też swoje osobiste powody, by pragnąć szczęścia Clarissy.

- Ach, tak? - Sophie nie przestawała patrzeć mu w oczy. - A jakie to powody?

- Głównym powodem jestem ja sam. - Patrząc przed siebie, Jack zapytał: - Myśli pani, że mi się powiedzie?

Sophie poczuła, że serce szybciej zabiło w jej piersi. Spojrzała na idącą przed nimi parę. Clarissa wciąż patrzyła na Neda z ciekawością jak na jakiś rzadki okaz, który wielce ją zaintrygował.

- Moja kuzynka wydaje się oczarowana nowym wcieleniem Neda - powiedziała, żeby zmienić temat.

Usłyszała obok siebie głębokie westchnienie.

- Może powinienem wziąć z niego przykład. Muszę poprosić Percy'ego, by udzielił mi kilku wskazówek.

Mówił to tak zgnębionym tonem, że Sophie machinalnie obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Natychmiast zrozumiała, że wpadła w pułapkę. W szafirowych oczach Jacka wyczytała rozbawienie oraz zaproszenie do dalszej gry. Szybko spuściła wzrok i mruknęła:

- Czas ucieka, pora wracać do ciotki.

Na ustach Jacka pojawił się na poły ciepły, na poły gorzki uśmiech.

- Chyba ma pani rację, panno Winterton. - To mówiąc, ujął ją pod rękę i w kilku krokach zrównali się z młodszą parą.

Ned odwrócił się z ulgą w oczach. Zanim zdążyli skierować się w stronę pani Webb, z przejeżdżającego powozu ktoś zawołał:

- Jack!

Odwrócili się jak na komendę. Sophie rozpoznała Geralda Lestera w jego nowym faetonie. Ned także zauważył powóz -

za to Gerald zauważył Clarissę. Musieli, oczywiście, przystanąć w celu dokonania prezentacji.

- Nie wątpię, że wszyscy spotkamy się na którymś z balów - zwrócił się Gerald do całej czwórki, a potem trzasnął z bicia i pomachał im ręką. - Do zobaczenia!

- Młokos! - prychnął Jack, ale się uśmiechnął.

Sophie patrzyła, jak kosztowny ekwipaż odjeżdża, a potem z westchnieniem odwróciła się w stronę powozu ciotki.

Jeszcze jeden powód, dla którego Jack Lester musi się dobrze ożenić.

Zaryzykowała spojrzenie w jego stronę. Wzrok miał skierowany na pary spacerujące pomiędzy nimi a powozem.

To oczywiście, że Gerald Lester jest młodzieńcem, któremu obce są prawa ekonomii, zaś elegancja Jacka również świadczy o tym, że tam, gdzie w grę wchodzi dobre zaprezentowanie się w towarzystwie, absolutnie nie liczył się z kosztami.

Lesterowie, a przynajmniej ci, których dotąd spotkała, wiedzieli, jak się zachować w kręgach, do których predestynuje ich urodzenie. I, oczywiście, nie mieli nic przeciwko temu, by żyć na kredyt.

No, może nie całkiem na kredyt, pomyślała ze smutkiem, ale jedno jest pewne - Jack potrzebuje bogatej żony.

Podobne postępowanie nie było rzadkością wśród elity, wiele bowiem znanych rodzin żyło ponad stan. Mogła tylko przeklinać los za to, że Lesterowie należeli do tej kategorii ludzi.

Ujrzała przed sobą powóz ciotki. Cóż mogła robić, jeśli nie zachować się zgodnie z przyjętymi konwenansami? Umówiła się na przejażdżkę na następny dzień, po czym pożegnała się, posyłając Jackowi uśmiech... zupełnie jakby na horyzoncie nie gromadziły się czarne chmury.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przyjmując wyzwanie losu, Sophie jako pierwsza spośród gromadki Webbów zeszła rano do holu. Kiedy schodziła na dół, gorzki uśmiech pojawił się na jej wargach. Powinna się domyślić, że Lucilla zechce skorzystać z nadarzającej się okazji, by połączyć Neda i Clarisę, zwłaszcza teraz, gdy Nedowi w jego nowym wcieleniu udało się zwrócić na siebie uwagę dziewczyny, a Jack Lester mógł, oczywiście, stanowić godną zaufania eskortę. Dzieci z jakichś tajemniczych powodów przyznały mu szczególny status. Wystarczyło, by powiedział słówko, a już wszystkie go słuchały. Pokonując ostatnie stopnie, próbowała się opanować. W końcu, mówiła sobie, sytuacja mogłaby być jeszcze gorsza, gdyby pan Marston odezwał się pierwszy i wywalczył dla siebie prawo eskortowania panien podczas przejazdów.

Pograżona w myślach nie zauważyła młodego dżentelmena, który wyłonił się z biblioteki.

- Sophie we własnej osobie! Jak się masz?

Nim zdążyła odpowiedzieć, znalazła się w jego uścisku.

- Toby! - wykrzyknęła, rozpoznając młodzieńca. - Uważaj na mój kapelusz!

- To coś to nie może być kapelusz, Sophie. - Toby dotknął palcem „tego czegoś”, wykonanego ze skrawka aksamitu i bażanciego pióra. - Nie zasłoni cię przed deszczem.

- Tobiaszu Webb, spodziewam się, że po kilku latach uniwersyteckiej edukacji zdążyłeś wreszcie zrozumieć, iż rola



modnego kapelusza nie polega na tym, by chronić jego właścicielkę przed którymkolwiek z żywiołów. - Powadze tego stwierdzenia przeczył żartobliwy błysk w oczach Sophie. - Jaka miałaś podróż?

- Całkiem znośną - odparł Toby z nonszalancką miną. - Przyjechaliliśmy we trzech, Peters, Carmody i ja.

- Rozumiem - powiedziała Sophie, kryjąc uśmiech. - Czy już się widziałeś z rodzicami?

Pokiwał głową.

- Papa powiedział mi, że zamierzacie dziś rano wybrać się na przejażdżkę z Nedem Ascombe'em i Jackiem Lesterem. Chętnie bym się do was przyłączył.

- Byłoby nam bardzo miło - odparła Sophie, rada, że trafia się ktoś, kto będzie stanowił przeciwwagę dla Jacka. - Powinni tu być łąda chwila.

- Posłałem już stangreta po mojego konia, więc nie będziecie musieli na mnie czekać. Zaraz się przebiorę.

Kiedy Sophie spoglądała za Tobym, który pobiegł na górę, zza frontowych drzwi dał się słyszeć stukot końskich kopyt, prawie natychmiast zagłuszony przez tupot nóg na schodach. To Jeremy, Gerald i Amy zobaczyli Jacka i Neda przez okno.

Młodszy Webbowie radośnie powitali najstarszego brata, na którego wpadli na schodach, po czym zbiegli na dół i otoczyli Sophie, pragnąc jak najprędzej wyruszyć do parku.

Kiedy Jack wszedł do holu, wprowadzony przez rozpromienionego Mintoną, jego wzrok padł na Sophie otoczoną przez podnieconych kuzynów. Wyraz spokojnej rezygnacji na twarzy dziewczyny upewnił go, że jego złotowłosa piękność zamierza się poddać.

- Cisza, niesforne łobuziaki! - Tym surowym powitaniem natychmiast przekształcił gromadkę diabła w grono aniołów.

Sophie z trudem powściągnęła uśmiech.

- Dzień dobry panu. Jesteśmy już prawie gotowi.

- Prawie? - Jack ujął ją za rękę, po czym skinął Clarissie głową.

- Mój najstarszy kuzyn Toby przyjechał dziś rano. Właśnie poszedł się przebrać - wyjaśniła Sophie. - Toby jest świetnym jeźdźcem i za nic na świecie nie chciałby stracić takiej okazji.

- Oczywiście, że nie - powiedział Jack, patrząc na podekscytowane twarze dzieci. - Zwłaszcza że jedziemy w tak dostojnym towarzystwie. Zobaczycie, że wszyscy będą na nas patrzeć.

Powiedział to z uśmiechem, a młodzi Webbowie zaczęli kłaskać z radości. Tylko Sophie nagłe uświadomiła sobie, jak w oczach innych będzie wyglądała ich kawalkada. W tej samej chwili dotarło do niej, że Lucilla nie wspomniała ani słowem o najmłodszych uczestnikach przejażdżki. Dlatego, gdy wszyscy zaczęli nakładać kapelusze i rękawiczki, zwróciła się do Jacka półgłosem:

- Rozumiem, że moja ciotka nie była z panem do końca szczerą w sprawie dzieci. Nie wiem, czy ma pan ochotę, by widziano pana w parku w tak licznej kompanii.

Jack odwrócił się i spojrzał na nią z niekłamany zduśmieniem, a potem się uśmiechnął.

- Gdybym był dandysem, może sprawiłoby mi to pewien problem. Mam jednak ustaloną pozycję, której wcale nie zaszkodzi, że będę widziany z całą rodziną Webków. A poza wszystkim, moja droga, lubię pani kuzynów. - Jego ton, a także wyraz twarzy świadczyły o tym, że mówił prawdę.

Sophie odetchnęła z ulgą i znów się uśmiechnęła.

A Jack uznał, że jej uśmiech jest wystarczającą nagrodą za czekające ich kłopoty.

W tej samej chwili z góry zbiegł Toby równie podniecony jak jego młodsze rodzeństwo. Przedstawiony Jackowi uściśnął

mu rękę, skinął przyjaźnie Nedowi, po czym zaproponował, żeby już jechać.

Sophie opuściła dom jako ostatnia. Stojąc u szczytu schodów, miała okazję być świadkiem istnego pandemonium. Na szczęście służący wuja wyszli, aby przytrzymać konie. Znając dzieci swojego pana, żaden z nich nawet nie mrugnął, kiedy młodzież wśród pokrzykiwań i poszturchiwań zaczęła dosiadać wierzchowców. Gdy Jack przysunął się bliżej, Sophie uświadomiła sobie, że jazda, nawet w Londynie, niesie z sobą pewne przeszkody. Jak na przykład konieczność dostania się na siodło rosłej klaczy.

Jack, oczywiście, nie widział w tym żadnego problemu. Chwytał mocno dziewczynę w talii i bez trudu uniósł ją w górę.

Posadzona delikatnie na siodle Sophie próbowała ukryć rumieniec, przysięgając sobie w duchu, że postara się nigdy więcej nie reagować w ten sposób na dotyk Lestera. Serce tłukło się jej w piersi jak oszalałe. Czuła na sobie intensywne spojrzenie szafirowych oczu Jacka, ale rozmyślnie unikała jego wzroku. Nim skończyła poprawiać spódnicę, Lester dosiadł swojego konia i całe towarzystwo wreszcie było gotowe do drogi.

Wesoła kawalkada ruszyła w dół Mount Street, w stronę parku.

Sophie patrzyła przed siebie i z ulgą stwierdziła, że policzki jej ochłodziły. Koń Jacka nachylił łeb ku Dulcimie, a potem parsknął i potrząsnął grzywą. Zadźwięczały okucia uprzęży. Dulcima spokojnie truchtała. Ogier powtórzył manewr, tym razem trącając Dulcimę w kark. Sophie zmarszczyła brwi. Gdy po chwili koń Jacka znów zaczepił klacz, Dulcima zarżała, podrzucając łeb.

- Panie Lester! - Sophie uznała za stosowne ująć się za swoją klaczą. Odwróciła się i oskarżycielsko wskazując na ogiera, dodała: - Pański koń!

Jack ściągnął cugle i nachylił się, żeby poklepać wierzchowca po lśniącym karku.

- Nie przejmuj się, mój stary. Damy o delikatnych nerwach

są najtrudniejsze do zdobycia. Udają, że cię nie widzą. Wiem, co czujesz.

Na moment mgła przesłoniła Sophie oczy. Potem z furią spojrzała na Jacka, a wreszcie odrzuciła dumnie głowę, w czym dziwnie przypominała swoją klacz, i na koniec wbiła wzrok w jakiś punkt przed sobą, potwierdzając tylko spostrzeżenie Jacka.

Na szczęście ukazały się bramy parku. Wjechali i wolnym truchtem przemierzali główną aleję, grzejąc się w promieniach słońca, które wciąż świeciło wbrew wszelkim prognozom. Wokół pachniało mokrą ziemią, a w górze, pośród gałęzi, ptaki wyciągały swoje trele.

Patrząc na Sophie, Jack uśmiechał się w duchu. Poczucie niepewności sprawiło, że nie zjawił się już więcej, aby zaprosić ją na przejażdżkę, lecz przechadzka po parku znów obudziła w jego sercu nadzieję, mimo iż Sophie odsuwała się, ilekroć usiłował się do niej przybliżyć. Kobiece nerwy - w tym tkwił cały problem.

Będzie musiał uzbroić się w cierpliwość i dać Sophie czas na to, by wreszcie przyjęła do wiadomości, że się nią poważnie interesuje. Wtedy z pewnością poczuje się swobodniej.

Dlatego właśnie, zmuszając krewkiego ogiera do statecznego truchtu, jechał u boku Sophie. Jednak to nie uroki budzącej się wiosny zajmowały jego myśli, tylko komentarze, które z całą pewnością tej nocy krążyć będą w klubach. Pocieszał się refleksją, że skoro jego starania o rękę Sophie zmuszą go do przebywania w salonach przez większą część sezonu, nie zostanie mu zbyt wiele czasu, by bywać w klubach.

A jeśli jego starania nie okażą się aż tak czasochłonne, ma jeszcze do spełnienia misję - ochronę Neda Ascombe'a przed zrobieniem sobie krzywdy.

- Śmiem twierdzić, że przygotowania do pani inauguracyjnego balu muszą zajmować wiele miejsca w pani myślach, pan-no Webb.

Jack szybko podjechał do Neda, by przerwać coś, co swoim doświadczonym okiem ocenił jako błąd.

Przyłapany na chwili słabości Ned miał skruszoną minę, a upomniany przez Jacka, znów zaczął grać rolę, która gwarantowała mu zwycięstwo.

- Nie przeczę - potwierdziła Clarissa - ale to mama zajmie się wszystkimi szczegółami. Dekoracja ma być klasyczna, chociaż osobiście wolałabym święto wiosny. Jednak mama mówi, że w ostatnich latach zbyt często było to wykorzystywane.

Clarissa spojrzała na Neda.

- Jestem pewny, że pani Webb wie najlepiej - brzmiał werdykt.

Sophie przygryzła wargi, a Clarissa poczuła się lekko urażona. Nie widząc zrozumienia we wzroku Neda, spojrzała wymownie przed siebie.

Jack uśmiechnął się i wycofał, przekonany, że Ned nie będzie już więcej zwracał się do Clarissy w dawny, bezpośredni sposób. A przynajmniej nie dziś.

- Czy wolno galopować po parku? - Toby podjechał do Jacka na gniadym ogierze.

Pierworodny syn państwa Webbów miał dwadzieścia lat, ciemne włosy, niebieskie oczy i tę samą wrodzoną dystynkcję, która charakteryzowała Lucillę. Na Jacku zrobił wrażenie młodzieńca skorego do żartów, a zarazem na tyle mądrego, by unikać kłopotów, które często przytrafiały się jego rówieśnikom. Musiał odziedziczyć rozum po rodzicach.

- Ty i twoje młodsze rodzeństwo możecie bez przeszkód, ale odradzam to pannom Webb i Winterton.

Toby skrzywił się.

- Jak zwykle?

Jack pokiwał głową.

- Jak zwykle.

Toby uśmiechnął się przepaszająco do Sophie, po czym odwrócił się do młodszego rodzeństwa i krzyknął:

- Kto przyjedzie ostatni do tego dębu na drugim końcu trawnika, będzie musiał opowiedzieć mamie, co się dzisiaj zdarzyło!

Natychmiast cała czwórka puściła się galopem.

Jack i Sophie wymienili znaczące uśmiechy, po czym wolno ruszyli w stronę dębu. Ned i Clarissa posuwali się za nimi. Kiedy wyjechali zza wysokiego żywopłotu, Sophie zauważyła, że ich obecność wzbudza spore zainteresowanie mijanych panów.

Odwróciła się i spojrzała pytająco na swojego towarzysza.

Jack uśmiechnął się.

- Nie byłem dotąd znany w towarzystwie jako ktoś, kto wyprowadza na przejażdżki hałaśliwe gromadki młodzieży.

Sophie poczuła się niezręcznie.

- Jednak wcale tego nie żałuję - dodał Jack. - Niech mi pani za to powie, droga panno Winterton, czy gdyby miała pani możliwość wyboru, wybrałaby pani miasto czy wieś?

- Wieś - bez wahania odparła Sophie. - Miasto jest całkiem przyjemne, ale tylko... tylko na krótki okres, prawem kontrastu.

- Na moment zamyśliła się. - A pan, sir? Czy spędza pan dużo czasu na wsi?

- Większą część - przyznał z uśmiechem. - I choć może trudno w to uwierzyć, robię to z przyjemnością. Zarządzanie majątkami wymaga nieustannej uwagi. Kiedy siostra nas opuściła, zostawiła mi długą listę potrzebnych usprawnień. - Na myśl o tym sępniał, po czym ciągnął dalej: - Niestety, muszę przyznać, że przed wyjazdem Lenore nie przywiązywałem do tych spraw tak wielkiej wagi, jak powinienem. To ona zarządzała naszymi finansami, co wcale nie było takie łatwe. W efekcie moi bracia i ja pozostawialiśmy jej wszystkie decyzje co do tego, na jakie inwestycje może sobie nasza rodzina pozwolić. I choć nie mam prawa winić o to siostry, powinienem był wcześniej zdać sobie sprawę, że Le-

norę nie orientowała się zbyt dobrze w sprawach całości naszych włości. Jej zainteresowanie skupiało się na samej rezydencji z przyległościami. Dlatego nasz dom rodzinny jest w doskonałym stanie. Jednak gdyby to ode mnie zależało, dałbym pierwszeństwo wydatkom na poprawę stanu pozostałych majątków. - Spojrzał na Sophie i dodał: - Zamierzam przywrócić świetność naszym rodzinnym włościom.

Jack pokrótce objaśnił, na czym miały polegać te najpilniejsze usprawnienia.

- Myślę, że wiąże się to ze świadomością, iż to ja dziedziczę ziemię - stwierdził na koniec. - Czuję brzemień odpowiedzialności, bo ten majątek jest już praktycznie mój. Wiem, że Harry czuje to samo, gdy myśli o stadninach, które pewnego dnia będą do niego należały.

Sophie machinalnie przytaknęła i ściągnęła wodze. Ponieważ pomagała ojcu zarządzać majątkiem, doskonale wiedziała, ile muszą kosztować marzenia Jacka, dlatego też jego słowa leżały jej na sercu ołowianym ciężarem.

Z tych przykrych rozmyślań wyrwało ją głośne powitanie. Odwróciła się i zobaczyła pana Marstona, który zmierzał ku nim na kasztanowym koniu. Kiedy się zbliżył, Sophie musiała w duchu przyznać, że w siodle prezentował się wyjątkowo dobrze, ale to, niestety, nie wystarczało, by zmusić jej puls do szybszego tempa... tym bardziej teraz, kiedy obok niej był Jack Lester.

- Dzień dobry, panie Marston. - Z królewską miną Sophie podała mu rękę. Nie zamierzała obłudnymi frazesami osładzać zdawkowego powitania.

- Moja droga panno Winterton. - Phillip Marston podjął się trudnego zadania, by nachylić się nad jej ręką, którą musiał natychmiast puścić, bo jego koń stanął dęba. Marszcząc brwi, pokromił narowiste zwierzę i z wyraźną niechęcią skinął Jackowi głową.

- Witam, Lester.

Na co Jack z promiennym uśmiechem odpowiedział:

- Witam, Marston.

Koń Marstona wciąż się szarpał i płoszył.

Phillip Marston starał się udawać, że tego nie dostrzega - podobnie jak tego, że jego koń nie mógł się równać ze wspaniałym wierzchowcem Jacka. Z grobową miną przywitał się z Nedom i z Clarissą, a potem zwrócił się do Sophie.

- Pomyślałem, że wynajmę konia i dotrzymam pani towarzystwa, moja droga. Jak pani wie, nie mam zbyt wielkiego doświadczenia, jeśli chodzi o stołeczne rozrywki, lecz wierzę, że poczuje się pani znacznie pewniej w towarzystwie kogoś dobrze sobie znanego.

Sophie próbowała wymyślić jakąś w miarę uprzejmą odpowiedź. Z kłopotu wybawił ją powrót młodszych kuzynów, którzy pohukując radośnie, zakończyli wyścig.

Phillip Marston popatrzył na nich z dezaprobatą.

- Wstyd, młodzi barbarzyńcy! To tak się zachowujecie pod nieobecność rodziców?

Z zarumienionych twarzyczek zniknęła radość. Jeremy, George i Amy jak na komendę spojrzeli nie na Sophie, lecz na Jacka.

Lester odpowiedział im uśmiechem, po czym zwrócił się sucho do Marstona:

- Nonsens, Marston. Park o tej porze to świetne miejsce dla młodzieży, by mogła dać upust swojej energii. Może później takie zachowanie wzbudzałoby obiekcje, ale teraz, kiedy są tu głównie młodzi ludzie i rodziny z dziećmi, nie widzę nic zdrożnego w ich wesołej zabawie.

Skarcona trójka na nowo ożyła. Spojrzeli na Jacka z wdzięcznością, po czym ustawili się za nim, możliwie jak najdalej od pana Marstona. Sophie na moment pożałowała, że nie może zrobić tego samego.



Natręt zareagował na słowa Jacka sztywnym skinieniem. Zaciśnął wargi i z powątpiewaniem unióśł brwi.

Przez następną chwilę Sophie gorączkowo usiłowała znaleźć jakiś bezpieczny temat, co nie było wcale takie łatwe, skoro po jednej stronie miała pana Marstona, a po drugiej Lestera.

Nagle jakiś diabeł podkusił pana Marstona. Tonem pełnym wyższości zwrócił się do Jacka:

- Śmiesz twierdzić, Lester, że jako człowiek zgoła nie rodzinny, nie zdaje pan sobie sprawy, jak wielką rolę w wychowaniu młodzieży odgrywa dyscyplina.

Jack w godny podziwu sposób zdołał zachować spokój. Nie odezwał się, tylko rzucił rywalowi pytające spojrzenie. Tak jak przypuszczał, Phillip Marston wdał się w dalsze wywody, nie zdając sobie sprawy z tego, że Sophie patrzy na niego w niemym zdumieniu.

- To zresztą całkiem zrozumiałe. W końcu dyscyplina nie leży w pańskiej naturze, prawda, Lester? A skoro nie czuje pan jej potrzeby we własnym życiu, trudno panu pojąć, że inni stosują odmienne zasady.

- Czyżby? - ze znużoną miną rzucił Jack. - Muszę przyznać, że tryb życia, jaki prowadzę, nie wydaje mi się aż tak różny od życia innych ludzi z mojej sfery.

Phillip Marston roześmiał się pogardliwie.

- Ale jest inny. - Machnął lekceważąco ręką. - Pewnie zdziwi się pan, kiedy powiem, że niektórzy z nas spędzają całe miesiące w swoich majątkach, zajmując się takimi sprawami jak plony, dzierżawcy i płodozmian. - Nie dostrzegając rumieńca na policzkach Sophie, ciągnął: - Nie wszyscy z nas mogą sobie na to pozwolić, aby wieść próżniacze życie w stolicy, tracąc pieniądze przy zielonym stoliku i bez opamiętania korzystać z licznych przyjemności.

Tego już było za wiele dla Sophie.

- Panie Marston - wtrąciła - dziwię się, że pan w ogóle wie, iż istnieje coś takiego jak przyjemności życia! - Świadomość, że wypowiedziała słowa tak przykre, wstrząsnęła nią, nie zamierzała ich jednak odwoływać.

Jeżeli jednak miała nadzieję, że pan Marston poczuje się zdruzgotany, to się myliła, gdyż natychmiast z obłudnym uśmiechem skłonił głowę.

- Słuszne spostrzeżenie, moja droga, bo takie sprawy mnie nie pociągają. Zdaję sobie jednak sprawę, że są tacy, którzy tylko w tym gustują. - Wbił wzrok w twarz Jacka. - Ani przez chwilę nie wątpię, Lester, że wysłuchiwanie dziecinnych wrzasków nie sprawia panu przyjemności. Zabawa w niańkę nie jest w pańskim stylu. - Marston wychylił się w siodle i zwrócił się do Sophie: - Słyszałem, jak pani Webb wysłała panią na tę wycieczkę. Byłoby dla pani lepiej, gdyby znalazła się w każdym innym miejscu, byle nie tutaj. Skoro jednak nie mam co zrobić z wolnym czasem, z najwyższą przyjemnością uwolnię panią od odpowiedzialności za dzieci.

Ned i Clarissa podjechali bliżej. Toby również dołączył do towarzystwa. Teraz, słuchając w milczeniu Marstona, wszyscy wyczekująco spoglądali na Jacka.

Na usta Lestera wypłynął leniwy uśmiech.

- Wprost przeciwnie, Marston - powiedział przeciągle. - Myli się pan. Może mi pan wierzyć, że mało co sprawiło mi w życiu taką przyjemność jak wycieczka z tą oto rozhukaną gromadką. A poza tym —ciągnął - gdyby się pan nad tym lepiej zastanowił, z całą pewnością doszedłby pan do wniosku, że człowiek taki jak ja, któremu nie są obce... hmm... przyjemności życia, stanowi wręcz wymarzoną eskortę.

Na twarzach wszystkich osób, prócz pana Marstona, odmalowała się głęboka ulga.

Jack uśmiechnął się szeroko.

- Możesz mi wierzyć, Marston, nie zamieniłbym tej porannej przejażdżki na nic innego.

Phillip Marston, skonfundowany, spojrział na Sophie. Jej lodowata mina po raz pierwszy obudziła w nim wątpliwości. Ściągnął mocniej wodze.

Jego koń, chociaż przez ostatnie dziesięć minut zachowywał się całkiem przyzwoicie, natychmiast wierzgnął i skoczył w bok. Marston próbował podporządkować sobie zwierzę, mrużąc pod nosem przekleństwa.

Sophie, która z trudem powstrzymywała się od śmiechu, postanowiła skorzystać z tej szansy.

- Panie Marston, sądzę, że powinien pan jak najprędzej odprowadzić konia do stajni. Jego zachowanie strasznie mnie denerwuje. - Udało jej się nawet zabarwić swój ton łączeniem kobiecym lękiem, bliskim hysterii.

W tej sytuacji pechowy adorator nie miał wyboru. Z ponurą miną skinął głową, po czym odjechał, kierując się w stronę głównej bramy.

- Phi! - Toby z uśmiechem na ustach pojawił się obok Sophie. - Nie chciałbym być w skórze stajennego, kiedy będzie odbierał tego konia.

Wybuch śmiechu skwitował jego uwagę. Napięcie opadło, a młodzież odzyskała dobry humor. Jak na komendę wszyscy ruszyli kłusem w ślad za panem Marstonem.

Przez całą drogę do domu uwagę Sophie pochłaniało rodzeństwo. Dopiero kiedy wjechali na Mount Street i dzieci pomknęły w stronę domu, dziewczyna spojrzała na swojego towarzysza. Twarz miał spokojną i odprężoną. Wyglądało na to, że jest rzeczywiście tak zadowolony, jak utrzymywał.

- Powinnam pana przeprosić za zachowanie pana Marstona.

- Nonsens, moja droga - powiedział Jack. - Nie miała pani

na to żadnego wpływu. A poza tym - ciągnął, a jego szafirowe oczy przeszywały ją na wylot - nie zauważyłem, aby mu pani okazywała jakieś względy.

- Uchowaj Boże! - Sophie wzdrygnęła się. Na twarzy Jacka odmalowała się satysfakcja, a ona natychmiast pożałowała tak spontanicznej reakcji. W końcu to nie jego sprawa, komu będzie okazywać względy. Uciekając się do banału, powiedziała:

- Nareszcie zaczną się bale.

Jack z uśmiechem pokiwał głową.

- To prawda, a debiutancki bal pani kuzynki będzie jednym z pierwszych. Pani ciotka zdecydowanie chce ubiec wszystkich.

Na myśl o Lucilli i jej precyzyjnym planowaniu, Sophie uśmiechnęła się.

- Jest tak, jak pan mówi. Ciocia zamierza możliwie jak najlepiej wykorzystać ten sezon.

Clarissa podjechała do Jacka.

- Rzeczywiście - potwierdziła z niezwykłą u niej pewnością siebie. - Mama jest zdecydowana zaprosić na mój bal dzikie tłumy.

Sophie uśmiechnęła się kwaśno do Jacka, który odwrócił się do Clarissy, unosząc wymownie brwi. Najwidoczniej Ned trzymał się ściśle instrukcji.

- Czyżby? - zapytał Jack. - A co pani wie na temat dzikich tłumów, panno Webb?

Clarissa zaczerwieniła się i machnęła lekceważąco ręką.

- Sophie mi wszystko o nich opowiedziała.

- Rozumiem. - Tłumiąc śmiech, Lester zwrócił się znowu do panny Winterton, bo ich konie zatrzymały się właśnie przed domem Webbów.

Młodszy Webbowie weszli już do środka, zostawiając konie służbie. Wstrzymując oddech, Sophie pozwoliła, by Jack pomógł jej zsiąść z konia.

Kiedy stanęła na chodniku, podniosła oczy. Wzrok jej napotkał uśmiechniętą twarz Jacka.

- No i jak, moja droga? - zapytał. - Czy jazda ze mną była znośna?

Sophie zarumieniła się, ale postanowiła się nie poddawać, tylko uniosła dumnie głowę.

- Było mi bardzo miło.

- To dobrze. Bo z tego, co wiem, kuzyni pani chcą, żeby takie przejażdżki odbywały się jak najczęściej.

Sophie skinęła głową, a on ujął ją za rękę.

- A więc, do zobaczenia wśród dzikich tłumów u pani ciotki, panno Winterton. I proszę mi wierzyć, mimo morza ludzi, które będzie nas dzielić, przedrę się przez nie, by stanąć u pani boku. - Z szelmowskim uśmiechem pochylił się nad jej ręką.

Sophie skinęła głową i szybko wbiegła na górę, aby się za siebie nie oglądać.

Na rogu tej samej ulicy dwaj jeźdźcy sprawiali wrażenie, jakby rozmawiali o pogodzie, ale w rzeczy wistości ich zainteresowania były znacznie bardziej sprecyzowane.

- Co za ulga! Wyobraź sobie, że Lester ma na oku tę starszą!  
- Hubert, lord Maltravers, mrugnął do swojego kompana. - Ciężka noc, a po niej nieprzyzwoicie wczesna pobudka musiały się odbić na moim rozumie. - Ale niech mnie diabli, jeżeli zrozumie daczego?

Kapitan Terrence Gurnard prychnął pogardliwie.

- Zszargał sobie reputację, oto dlaczego. Webbowie są zbyt przebiegli, żeby wypuścić swoją gaskę zbyt blisko jego pułapki, ale widocznie kuzynka jest na tyle zasobna, aby zadowolić Lestera.

- To dziwne. - Lord zamyślił się. - Sądziłem, że to żaden łakomy kasek. Jedyne pewne widoki na spadek i nic więcej. Podejrzywałem, że Lester zechce sięgnąć wyżej.

- Z tego widać, że nie. Dzięki Bogu, mnie to nie dotyczy. Jak długo on nie interesuje się tą soczystą śliweczką, może sobie mieć cały Londyn. Jedźmy. Co mieliśmy zobaczyć, już zobaczyliśmy.

Przejechali ulicą do końca i skierowali się w stronę domu Huberta. Przygarbiony Maltravers podrygiwał w siodle, a jego przystojny, barczysty kompan górował nad nim.

- Coś sobie pomyślałem, Gurnard.

- A mnie się zdawało, że przed południem to ci się nie zdarza.

Hubert parsknął gniewnie.

- Mówię serio. Chodzi o twoje długi. Czy nie ma lepszego sposobu? Przecież możesz spróbować umówić się z nimi na procent. Nigdy nie zaszkodzi zapytać.

- W tym wypadku, obawiam się, że jest inaczej - skrzywił się Gurnard. - Mogę sobie bardzo zaszkodzić.

Hubert wreszcie zrozumiał, o co chodzi.

- Ach - powiedział - mają cię już w rejestrze?

- Powiedzmy, że paru wierzycieli mogło się dogadać.

- Hmm - skrzywił się Hubert - to raczej ograniczy twoje szanse. - Kiedy skręcili na Piccadilly, podjął wątek. - Nie ma żadnej nadziei na to, żeby ten twój ostatni przeciwnik rozważył przełożenie terminu spłaty?

Terrence Gurnard wolno odwrócił głowę i spojrzał przyjacielowi w oczy.

- Moim ostatnim przeciwnikiem był Melcham.

Hubert zbladł.

- Ach, tak - powiedział. - Och. - Przeniósł wzrok na zatłoczoną ulicę i pokiwał głową. - Skoro tak, rozumiem cię. No to kiedy ślub?



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sophie doszła do wniosku, że nie można ciotce ufać, przynajmniej jeśli chodzi o Jacka Lestera. Chociaż spodziewała się zobaczyć go na balu debiutanckim swojej kuzynki, nigdy by nie przypuszczała, że jako jeden z niewielu wybrańców zostanie zaproszony na późny obiad poprzedzający to wydarzenie. Nie myślała o tym aż *do* momentu, gdy wkroczył do salonu, od razu przyćmiewając pozostałych panów.

Ze swojego miejsca przy kominku, w pewnym oddaleniu od ciotki, Sophie patrzyła, jak Jack pochyla się nad ręką Lucilli. Ubrany był w ciemnogramatowy surdut - taki sam kolor miały nocą jego oczy - i spodnie w odcieniu kości słoniowej, zaś jego fontaz go-dzien był miana dzieła sztuki. Pomiedzy fałdami lśnił olbrzymi szafir, rzucając tęcze refleksy. Prócz masywnego złotego sygnetu, który ozdobił jego prawą dłoń, nie nosił innej biżuterii - niczego, co mogłoby odciągać uwagę od jego surowej, męskiej urody. Wymienił kilka zdań z Lucillą.

Mimo wewnętrznego wzburzenia, Sophie powitała Jacka spokojnym uśmiechem.

- Dobry wieczór, sir.

- Witam, panno Winterton - odparł, a oczy mu załśniły. Skłonił się szarmancko, a potem wyprostował się i spojrzał na nią z góry. - Moja droga Sophie.

Z wystudiowanym spokojem skinęła głową. W ostatnich dniach miała dość okazji, by ćwiczyć panowanie nad sobą. Ujrzawszy Neda, który wszedł za swoim mentorem, przywitał się

z Lucillą, a potem skierował swe kroki ku Clarissie, zwróciła się do Jacka:

- Ned powiedział mi, ile pan dla niego zrobił, łącznie z tym, że zaoferował mu pan gościnę. To takie miłe z pana strony.

Jack niechętnie oderwał wzrok od złotowłosej wybranki. Tego wieczora miała na sobie grecką tunikę spiętą na ramieniu i spadającą luźnymi fałdami do stóp. Rozejrzył się po pokoju i zatrzymał wzrok na protegowanym.

- To nie takiego - powiedział, wzruszając ramionami - mój dom jest wystarczająco duży. A poza tym, mając Neda pod ręką, mam jednocześnie więcej czasu na to, by uczyć go... poloni.

- Więc tak to się teraz nazywa? - Sophie uniosła brwi.

- Polor to wszystko, czego Nedowi trzeba - odparł z uśmiechem Jack.

- W tym tkwi źródło sukcesu dżentelmena? W polorze? - zapytała, zerkając na niego z ukosa.

- O, nie, moja droga - zaprzeczył Jack. - Mężczyźni tacy jak ja, którzy prowadzą bardziej wyszukaną grę, często muszą się uciekać do... broni innego kalibru.

Sophie uniosła podbródek.

- Naprawdę? Chciałabym jednak w imieniu nas wszystkich podziękować panu za opiekę nad Nedom, a także za pomoc dzisiejszego ranka. Nie wyobrażam sobie, jak byśmy sobie poradzili, gdyby pan nie wyciągnął z domu Jeremy'ego, George'a i Amy. - Z łagodnym uśmiechem spojrzała mu w oczy.

Lester także się uśmiechnął.

- Jak już mówiłem, kuzyni pani to najmilsza banda urwisów, a rola niańki, jak to określił Marston, to żaden problem. Mam nadzieję, że wszystko się udało.

Jack pojawił się u Webbów wraz z Nedom tego ranka, podobnie jak w poprzednich dniach, i zastał dom pogrążony w chaosie. Przygotowania do balu były w pełnym toku. Wiedząc, że



ani Sophie, ani Clarissa nie znajdują czasu na przejażdżkę, zaproponował, że wraz z Nedom zabiorą młodzież do parku. Propozycja została przyjęta z wdzięcznością, bo dom roił się od dostawców żywności, kwiaciarek, i tym podobnych. Służba ledwie trzymała się na nogach, a podekscytowana trójka stanowiła dla wszystkich istny dopust boży. Już i tak narobili masę kłopotu, rozwiązując wstążki, którymi kwiaciarki powięzały bukiety. A kiedy odkryli, jak wspaniale można się ślizgać po świeżo wywoskowanym parkiecie sali balowej, zagrożono im w końcu kożą.

- Dzięki Bogu, tak - odparła, patrząc na ciotkę, która witała się z kolejnymi gośćmi. - Nie wiem, jak Lucilla potrafiła nad tym wszystkim zapanować. W każdym razie huragan się przewalił i wszędzie zapanował porządek.

- Jestem pewien, że efekty starań pani ciotki okażą się godne najwyższego podziwu - stwierdził Jack ze znaczącym uśmiechem.

- Podejrzewam, że dzisiejszy bał będzie jednym z jej najbardziej spektakularnych przedsięwzięć.

- Trudno się dziwić, że lady Webb nie szczędzi sił, skoro chce wprowadzić w świat panią oraz pani kuzynkę.

Uśmiech Sophie lekko przybladł. Sztucznie radosnym tonem powiedziała:

- To prawda, i obie z Clarissa zrobimy wszystko, żeby nie sprawić jej zawodu.

W ten subtelny sposób dała mu do zrozumienia, że również i po niej spodziewają się, iż znajdzie sobie męża. Tak jak on będzie musiał znaleźć sobie żonę. Sophie była tego aż nazbyt świadoma, że na skutek spędzanych razem chwil, a także z jakiegoś niewytłumaczalnego wzajemnego pociągu stali się sobie z Lesterem znacznie bliżsi, niż było to przyjęte między dżentelmenami i damami, których łączyła tylko przyjaźń. A jednak mo-

gli pozostać wyłącznie przyjaciółmi, a poza tym zbliżał się czas, kiedy los ich rozdzieli. Panna Winterton wiedziała, że musi się do tej chwili dobrze przygotować, by...

- Sophie, moje kochanie! - Do salonu szeleszcząc jedwabiem, wtargnęła lady Entwistle. - Wyglądasz tak promiennie, moja droga. Nieprawdaż, Henry?

- Chcesz przyćmić młodsze panny? - Lord Entwistle mrugnął do Sophie, a potem uściśnął jej rękę.

- O, jest i pan Lester! Co za miły zbieg okoliczności! - Lady podała mu rękę i z aprobatą patrzyła, jak się nad nią skłonił. - Miło znów pana widzieć. Słyszałam, że lady Asfordby jest w mieście. Czy natknął się pan już na nią?

Jack przelotnie spojrzął na Sophie.

- Nie, nie miałem jeszcze tej przyjemności.

- Co za szkoda z tymi polowaniami - zwrócił się lord Entwistle do Jacka. - Chociaż wam, młodym, oczywiście tak bardzo na tym nie zależy. Jak zdążyłem zauważyć, zmieniacie tylko tereny łowieckie. - Lord wymownie rozejrzał się po salonie.

- Jest właśnie tak, jak pan mówi - odparł Jack. - Obawiam się, że w Londynie nie ma wielu lisów do upolowania, więc naturalnie jesteśmy zmuszeni poszukać sobie innego obiektu zainteresowań.

- Zmuszeni? Ha! To paradne! - zaśmiał się Entwistle. - A ja zawsze słyszałem, że najlepszą zwierzynę można upolować w stolicy.

Sophie z trudem powstrzymała się od śmiechu.

- Wstydzilibyś się, Henry! - Lady z szumem rozłożyła wachlarz.

- Kiedy to prawda - zaprotestował lord Entwistle, bynajmniej nie zmieszany. - Zapytaj obecnego tu Jacka Lestera. Już on to wie, jak nikt. Co na to powiesz, mój chłopcze? Nie uwa-

żasz, że londyńskie ulice oferują znacznie bogatsze łupy niż pola Leicestershire?

- Szczerze mówiąc - Jack zwrócił wzrok na Sophie - nie jestem pewny, czy zgadzam się z panem. Muszę wyznaczyć, że ostatnio odkryłem nieoczekiwany skarb właśnie w Leicestershire, po roku balowania w Londynie, który nie miał mi do zaoferowania nic prócz plew.

Sophie mogłaby przysiąc, że czas stanął w miejscu i przez nieskończenie długą chwilę wpatrywała się w oczy Lestera. A potem wróciła do rzeczywistości i ujrzała podejrziwość we wzroku lorda oraz konsternację na twarzy lady, a także pomyślała o dziwnej roli, jaką ona sama w tym wszystkim odgrywa.

- Mam nadzieję, że pan Millthorpe dotarł do Londynu - zwróciła się, zmieniając gładko temat, do lady Entwhistle. - Czy będzie tu dziś wieczorem?

Wyraz dyskomfortu zniknął z oczu lady.

- Tak. Lucilla w swej uprzejmości zaprosiła go na ten bal. Jestem pewna, że przyjdzie. - Spojrzała na drugi koniec salonu, gdzie stała Clarissa otoczona gronem młodych dżentelmenów. - Spodziewam się, że znajdzie się w doborowym towarzystwie. Jak już mówiłam twojej ciotce, połowa mężczyzn w tym mieście padnie Clarissie do stóp.

Sophie roześmiała się i skierowała rozmowę na tematy wydarzeń towarzyskich, które zarysowały się na horyzoncie. Jack Lester wspomógł ją w tym, mówiąc o lądowaniu balonu planowanym na maj. Udało mu się zainteresować tym lorda, który długo rozwodził się nad głupotą tego przedsięwzięcia.

Entwhistle wciąż wygłaszał swoją opinię, kiedy do salonu wszedł Minton i tubalnym głosem zaanonsował, że podano do stołu.

Lord i lady Entwhistle udali się do jadalni, a Jack zwrócił się do panny Winterton:

- Wygląda na to, moja droga Sophie, że to mnie przypadł zaszczyt poprowadzenia pani do stołu.

Dziewczyna uśmiechnęła się i ze spokojem ujęła go pod ramię.

- Będzie mi bardzo miło.

Kiedy weszli do jadalni, powitały ich gwar i śmiech. W pięknie wypolerowanym blacie stołu oraz srebrnych półmiskach odbijało się światło, rozszczepiając się w kryształowych kielichach. Wokół panowała nieuchwytna atmosfera podniecenia - było to w końcu pierwsze większe towarzyskie zebranie, na które zaproszono tylko nielicznych wybrańców. Horatio zajął miejsce u szczytu stołu, a Lucilla na jego drugim końcu. Clarissa w srebrzystoróżowej tunice zasiadła pośrodku, u boku Neda. Naprzeciw niej Sophie, mając po prawej ręce Jacka.

Rozglądając się wokoło, Sophie czuła, że obecność Jacka daje jej poczucie bezpieczeństwa. Mimo wrodzonej pewności siebie, wycofywał się, gdy tylko wyczuwał jej opór. Był wytrawnym uwodzicielem, a zarazem dżentelmenem w każdym calu. Ufała mu, bo wiedziała już, że nigdy nie będzie nalegał i bez jej zgody nie przekroczy owej niewidzialnej linii.

Gra, którą prowadził, była, oczywiście, ekscytująca, a jego ciemnoniebieskie oczy kołysły jej duszę jak balsam.

Wzniesiono toast za Clarissę, która wdzięcznie się zarumieniła, podczas gdy Ned siedział z wyrazem lekkiego oszołomienia na twarzy.

Kiedy Sophie spojrzała na Jacka, uniósł kieliszek i cicho posiedział:

- Za twój sezon, droga Sophie. I za to, dokąd cię zaprowadzi.

Z lewej strony siedział pan Somercote, daleki kuzyn Webów, dobrze sytuowany dżentelmen z Northamptonshire. Jego mość ów czuł się doskonale w towarzystwie, jednak przy stole

zachowywał się z rezerwą, niemal graniczącą z kompletnym brakiem dobrych manier. Mimo najszczerzych chęci Sophie nie udało się wydusić z niego nic, poza kilkoma suchymi ogólnikami.

Po prawej stronie Jacka siedziała pani Wolthambrook, wdowa, kolejna krewna państwa Webb. Z początku Sophie zastanawiała się, czy Lucilla mądrze rozsadziła gości, jednak pod koniec pierwszego dania ze skrucłą myślała o swoim zwątpieniu. Stara dama miała ironiczne poczucie humoru, tak że Jack już od pierwszego wejrzenia wyczuł w niej bratnią duszę. Sophie od razu została wciągnięta w ożywiona rozmowę. Razem z Jackiem i panią Wolthambrook stworzyli małe, pogrążone w konwersacji kółko, które z powodzeniem zatuszowało zachowanie małomównego sąsiada.

Czas minął im nadzwyczaj szybko. Kiedy zjedzono desery, Lucilla, szeleszcząc jedwabiami, podmośla się i z wdziękiem zaproponowała, by przejść do sali balowej.

Schodząc po schodach, wsparta na ramieniu Jacka Sophie zauważyła błysk niepokoju w bystrych oczach lady Entwhistle. Prawdę mówiąc, trudno było jej się dziwić. Umieszczenie Jacka Lestera u boku Sophie zdecydowanie zdradzało rękę ciotki.

Lucilla postanowiła zabawić się w Kupidyna. To niepojęte, że po trzech tygodniach pobytu w stolicy jej ciotka nie była jeszcze poinformowana co do sytuacji pana Lestera, jednak Lucilla nie należała do osób, które w sprawach serca kierują się zimną kalkulacją. Poślubiła Horatia Webba, gdy był o wiele mniej zamożny niż teraz i nigdy tego nie żałowała, a jej własna matka również wyszła za mąż z miłości. Widocznie taka to rodzina przypadłość.

Patrząc na drapieżny profil Jacka Lestera, Sophie z żalem pomyślała, że nie dane jej będzie pójść w ich ślady. Jednak

nikt nie może się domyślić, że ma złamane serce. Dumnie wyprostowana i z pogodnym uśmiechem przekroczyła próg sali balowej.

W ciepłym blasku świec płonących w trzech kandelabrach efekty starań kwiaciarzy i dekoratorów prezentowały się jeszcze okazalej niż za dnia. Głowice gładkich kolumn podtrzymujących łagodnie sklepienie zostały przybrane wieńcami z białych i herbacianych róż, a same kolumny opleciono złotymi wstęgami. Galeria dla orkiestry również została przystrojona bielą, zielenią i złotem. Żelazne postumenty podtrzymujące kute wazony, w których także umieszczono kwiaty, rozmieszczono w rogach sali oraz co kilka jardów pod ścianą z lustrami. Między wazonami ustawiono krzesła i fotele. Na przeciwległej ścianie znajdowały się okna wychodzące na taras. Część z nich uchylono, by zapewnić dopływ świeżego powietrza.

Goście wydali stosowne „okrzyki zachwytu”, a część pań zwróciła szczególną uwagę na ciekawe wykorzystanie kutek wazonów.

- Jak już mówiłem, moja droga, efekty starań pani ciotki zasługują na najwyższe uznanie.

Sophie wprawdzie uśmiechnęła się, lecz było jej coraz smutniej. Kiedy z dwornym ukłonem Jack doprowadził ją do drzwi, gdzie miała witać gości, poczuła się, jakby jej wieczór dobiegł końca.

Nagle przypomniała sobie, że Jack zamówił walca. Na myśl o tym zadrżała. Z wymuszonym uśmiechem witała zaproszonych, zwracając szczególną uwagę na osoby, których nazwiska ciotka wymawiała z subtelnym naciskiem. Być może faworytem Lucilli jest Jack Lester, ale mimo to ciotka zamierzała przedstawić Sophie większą liczbę kawalerów, spośród których mogłaby dokonać wyboru.

Dziewczyna doszła do wniosku, że w sumie to nie takie głupie posunięcie. Dziś rozpoczyna się jej sezon i powinna zacząć

rozglądać się za kandydatem na męża. Nie ma sensu odkładać tego, co nieuniknione, ani tłumaczyć Lucilli, że nie zaraziła się jej ideałami. Nie może wyjść za mąż za Jacka Lestera, gdyż on potrzebuje więcej pieniędzy, niż mogłaby mu wnieść w posagu. Rozpoczęcie poszukiwania kandydata na męża oczyści ich wzajemne stosunki, udowadniając czujnym obserwatorom, jak lady Entwistle i lady Matcham, że nie muszą się obawiać jej przyjaźni z Jackiem.

Tłumiąc westchnienie, Sophie przyoblekła twarz w uśmiech, gdy jej ciotka zwróciła się z powitaniem do ostatniego dżentelmena zamykającego długą kolejkę gości.

- Ach, pan Marston - powiedziała Lucilla. - Tak się cieszę, że mógł pan przyjść.

Sophie powściągnęła odruch jawnej niechęci.

Stojąc wśród witających, czekała, aż pan Marston przywita się z Clarissą. W spojrzeniu, którym obrzucił jej uroczą kuzynkę, malowała się wyraźna dezaprobata.

Potem jego wzrok prześlizgnął się na nią i Sophie poczuła głęboką wdzięczność dla madame Jorge. Wyraźna dezaprobata pana Marstona zmieniła się w zgorzenie, gdy ujrzał jej obnażone ramiona oraz głęboki dekolot odsłaniający plecy.

- Dobry wieczór panu. - Sophie powitała go promiennym uśmiechem. - Mam nadzieję, że dobrze się pan miewa.

Pan Marston skłonił się.

- Ja... - Wyprostował się, a jego usta zacisnęły się w wąską kreskę. - Będę chciał zamienić później z panią kilka słów, panno Winterton.

Sophie udała, że bardzo cieszy ją ta perspektywa.

- Lady Colethorpe, oto moja siostrzenica, Sophie Winterton.

Dziewczyna z ulgą odwróciła się do kolejnego gościa Lucilli i natychmiast zapomniała o panu Marstonie.

Na dole, w sali balowej, Jack krążył w tłumie, przystając tu

i ówdzie, żeby pogawędzić ze znajomymi. Co krok ktoś pozdrowiał go, najwyraźniej cała elita zgromadziła się na balu u państwa Webbów. Percy także się zjawił i przywitał się z Jackiem z wyraźną ulgą.

- Ojciec mnie zatrzymał - wyjaśnił. - Miał jeden z tych swoich ataków. Wydawało mu się, że umiera, co, oczywiście, okazało się bzdurą. Jest zdrowy jak rydz. - Wyglądając fioletową, jedwabną kamizelkę, Percy wymownym spojrzeniem obrzucił elegancki strój Jacka i westchnął. - Co się tu ostatnio działo? - zapytał, podnosząc do oczu lorgnon, by się rozejrzeć. - Coś mi się wydaje, że wszyscy ziemianie ze swoimi psami zjechali do miasta.

- Można to tak ująć - potwierdził Jack. - Właśnie spotkałem Carmody'ego i Harrisona. Wszyscy są już w swoich rezydencjach i palą się, żeby zaczynać. Podejrzewam, że to właśnie kryje się za ich dzisiejszym entuzjazmem. Lucilla Webb ładnie to wszystko zaplanowała.

- Hmm... Wspomniałem ojcu o Webbach. On zna się na ludziach. Wiesz, co powiedział o pani Webb?

- Nie.

- Że jest niebezpieczna.

- Tyle sam wiem. - Jack wydał usta. - Co więcej, ja za to płacę. A jednak, o ile się nie mylę, ona mnie lubi. I bez względu na to, czy jest niebezpieczna, czy nie, jestem skazany na dalszą znajomość.

- Więc myślisz o niej poważnie? - Percy zamrugał oczami.

- Skoro znalazłem swoją złotowłosą piękność, nie pozwolę jej odejść.

- Jeśli tak - Percy wzruszył ramionami - to zostawiam cię z tym problemem. Gdzie jest Harrison? Mówiłeś, że go widziałeś.

Po odesłaniu Percy'ego we właściwym kierunku Jack spoj-



rzał ponad głowami ufryzowanymi lub natartymi pomadą i zobaczył, że Sophie wraz z rodziną odeszła już od drzwi i krąży wśród gości. Wypatrzył ją na drugim końcu sali, w otoczeniu grupki dżentelmenów, z których wszyscy byli do wzięcia. Uświadomił to sobie, kiedy wymienił w myślach ich nazwiska. Natychmiast obudził się w nim instynkt posiadacza, jednak zdecydował się go stłumić. Już zamówił sobie walca, a także prawo poprowadzenia Sophie na kolację. Lucilla nie byłaby zadowolona, gdyby chciał czegoś więcej.

Aby poprawić sobie humor, popatrzył na Clarisnę, które stała nieopodal, pod ścianą. Kuzynka Sophie promieniała szczęściem. Nic dziwnego, pomyślał Jack, patrząc na otaczających ją wielbicieli. Wprawdzie wszystko to jeszcze żółtodzioby, ale w końcu Clarissa miała zaledwie siedemnaście lat. Była bez wątpienia śliczna i - co trzeba zaliczyć jej oraz Lucilli na plus - wolna od irytującej afektacji, częstej przypadłości jej rówieśniczek. Czy była równie utalentowana jak jej matka, tego Jack nie potrafił powiedzieć, bo nie miał jeszcze okazji, by się o tym przekonać.

Na widok Neda, który starał się zająć miejsce u boku Clarissy, Jack uśmiechnął się. Póki Ned kręcił się w pobliżu, to, co robił, nie mogło mu zaszkodzić. Jego protegowanemu udało się zachować obojętny wyraz twarzy, który niepokoił lekko Clarisnę i sprawiał, że spoglądała na niego ukradkiem. Ned szybko przyswajał sobie zasady i śmiało wprowadzał w czyn wszystko, czego zdążył się nauczyć.

Jack pomyślał, że powinien szepnąć mu do ucha kilka słów przestrogi. Wszystkie kobiety spokrewnione z Lucillą Webb należy traktować z dużą ostrożnością. Zanotowawszy to w pamięci, powrócił myślami do swoich spraw.

Czy Sophie była tak jak jej ciotka zdolna do manipulacji na wielką skalę? Odsunął od siebie tę myśl. Jego Sophie nie

jest intrygantką - dałby sobie za to uciąć głowę. Kiedy jednak zobaczył, z jak radosnym uśmiechem zwraca się do markiza Huntly, zrzędnęła mu mina. Zaraz jednak się opanował i przywołując na twarz uprzejmy uśmiech, wmieszał się w tłum.

Kiedy zapowiedziano pierwszego walca, zarumieniona Clarissa wyszła na środek sali wsparta na ramieniu ojca, który okazał się zaskakująco dobrym tancerzem. Gdy przebrzmiały ostatnie tony, Horatio zwrócił się do niej z uśmiechem:

- No cóż, kochanie, zostałeś oficjalnie wprowadzona w świat. Czy jesteś zadowolona?

- O, tak, papo - odparła Clarissa z promiennym uśmiechem, i była to prawda.

Tłum rozdzielił się. Clarissa spojrzała przed siebie i... zobaczyła Neda odprowadzającego pod ścianę inną pannę. Natychmiast przestała się uśmiechać.

Horatio zauważył tę gwałtowną zmianę nastroju.

- Lepiej cię odprowadzę do twojego dworu, kochanie - powiedział - pomyśl jednak od czasu do czasu o swoim starym ojcu. Nie gromadź zbyt wielu pretendentów do swojej ręki.

Ignorując zaniepokojone spojrzenie Clarissy, Horatio powiódł ją do grupki młodzieńców, poklepał dobrotliwie po rękę, po czym odszedł.

- Droga panno Webb - odezwał się z zachwytem lord Swinton - bosko tańczy pani walca. W Leicestershire musiała pani mieć wiele okazji, by go ćwiczyć.

- Może przynieść pani szklanekę lemoniady? Kiedy się dużo tańczy, człowiekowi chce się pić - zaproponował lord Thurstow, tęgi rudowłosy młodzian.

Jednak najbardziej ambarasującą kwestię wygłosił pan Marty, blade, chudy młodzieniec, który uważał się za początkującego poetę.

- Oda... czuję, jak nabrzmiwa we mnie oda opiewająca pani nieporównywalny wdzięk, a także efekt, jaki wywiera on na pani biednych wielbicielach zmuszonych patrzeć, jak krąży pani po parkiecie w ramionach innego. Ach!

Clarissa z przerażeniem spojrzała na natchnionego młodzieńca. Dobry Boże! Czy oni wszyscy są aż tacy głupi?

Pod koniec wieczora doszła do wniosku, że tak. Nie po to przyjechała do Londynu, żeby doświadczyć czegoś takiego. Nie marzyła o tym, aby wielbili ją niewiele starsi od Jeremy'ego i George'a chłopcy. Uwięziona w gronie wielbicieli, osaczona ze wszystkich stron, Clarissa przyjmowała ich komplementy z wymuszonym uśmiechem.

Kiedy znowu pojawił się Ned i poprowadził ją na środek sali, gdzie już formował się taneczny krag, objawiła jej się prawda. Z nieśmiałym uśmiechem powiedziała:

- Co za ulga tańczyć z kimś, kogo się zna.

Pamiętając o instrukcjach Jacka, Ned uniósł tylko brwi.

- Ach, tak? - powiedział po chwili, a potem z protekcyjnym uśmiechem dodał: - Nie przejmuj się, szybko przywykniesz do tego, że jesteś w centrum uwagi.

Clarissa spojrzała na niego w osłupieniu.

- Udany bal - zauważył pogodnie Ned. - Twoja mama musi być zadowolona. Nigdy dotąd nie widziałem tylu młodych panien naraz.

Może to i dobrze dla Neda, że w tym momencie rozdzieliła ich figura tańca. Kiedy się znowu zbliżyli, Clarissa rzuciła mu mrożące spojrzenie.

- Pewnie masz rację - powiedziała - że szybko nauczę się odpowiadać na te wszystkie komplementy, którymi tak chętnie zasypują mnie panowie. Muszę zapytać mamę, jak powinnam ich ośmielać.

I znowu taneczne pas zapobiegło katastrofie. Kiedy umilkły

ostatnie tony, Ned, spokojny i wyniosły, odprowadził równie zinną i wyniosłą Clarissę na miejsce. Skłonił się, po czym zostawił ją na pastwę uradowanych wielbicieli, jakby nie widział jej rumieńca oraz gniewnych błysków w oczach.

Stojąca w pewnym oddaleniu Sophie zaczęła układać w myślach listę potencjalnych adoratorów. Nie było to zbyt trudne zadanie, bo wszyscy stawili się przed nią, prosząc ją do tańca. Powody ich zainteresowania wyjaśniły się szybko, gdy lord An-aerby wyznał otwarcie:

- Młode panienki nie są w moim typie. - A kiedy figura kadryla znowu ich zbliżyła, dodał: - Miałem nadzieję, że ktoś podobny do pani zjawi się na moim horyzoncie. Dama, która nie będzie odpowiadać chichotem na każde moje py-  
-----.

Od tej chwili Sophie zaczęła poświęcać więcej uwagi swoim potencjalnym wielbicielom. Szybko odkryła, że wielu z nich, podobnie jak lord, czekało na damę taką jak ona: nie dziewczęco młodzieńką, ale na tyle jeszcze młodą i dobrze się prezentującą w towarzystwie, by można ją było poprowadzić do ołtarza. A skoro już wyłuszczyli jej swoje racje, zaczęła bliżej rozważać ich atrybuty.

- Słyszałam, że ma pan posiadłości w Northamptonshire, panie Somercote. Sama pochodzę z tego hrabstwa.

- Doprawdy? - Podczas kolejnych figur kotyliona pan Somercote usiłował wypowiedzieć kolejne zdanie: - Somercote Hali leży tuż za wioską Somercote, w najbardziej wysuniętym na północ krańcu hrabstwa.

Sophie skinęła głową i uśmiechnęła się zachęcająco, na tym jednak zakończyła się elokwencja pana Somercote'a. Kiedy po tańcu wracali na miejsce, gdzie czekali na nią wielbiciele, skreśliła go ze swojej listy.

Następnym partnerem był markiz Huntly.

- Panno Winterton, proszę mi powiedzieć, czy cieszą panią uroki Londynu?

- O, tak, markizie - odparła. Markiz, starszy brat lorda Percy'ego, mimo rubasznego obejścia oraz pewnej tendencji do ty-cia był zdecydowanie godzien uwagi.

- Słyszałem, że jeździ pani konno po parku. Może byśmy się tak spotkali któregoś pięknego ranka?

- Może. - Sophie uśmiechnęła się nieobowiązująco.

Kiedy zeszli z parkietu, Sophie uznała, że na razie markiz po-zostanie na jej liście. Może spotkanie w parku, w obecności młod-szych kuzynów, ułatwi jej podjęcie decyzji. Właśnie się nad tym zastanawiała, kiedy głęboki głos wyrwał ją z zamyślenia.

- Wydaje mi się, że teraz będzie nasz walc, panno Winter-ton. - Jack ukłonił się markizowi. - Witaj, Huntly.

- Witaj, Lester - odparł markiz. - Nie widziałeś gdzie Per-cy'ego?

- Widziałem go wcześniej. Rozmawiał z Harrisonem.

- Chyba pójdę go poszukać. To mój brat - wyjaśnił markiz Sophie. - Ojciec był już o krok od śmierci, powinienem zapy-tać, co u niego. Najmocniej przepraszam.

Patrząc na plecy wycofującego się markiza, Sophie już skre-ślała z listy jego nazwisko. Taki brak serca wydał jej się odra-żający.

Widząc jej poruszenie, Jack zrezygnował z wyjaśnień, któ-rych chciał jej udzielić. Nie traktował Huntly'ego jak rywala, ale po co miałby kręcić bicz na własną skórę? Ujął Sophie pod rękę.

- Może przejdziemy się po sali, zanim zaczniesz walc?

Zmarszczyła brwi.

- Powinam wrócić do ciotki.

Maskując uśmiechem uczucie zawodu, Jack skłonił się i od-prowadził Sophie na miejsce, gdzie czekali jej wielbiciele.

Był to bardzo nierozsądny krok. Wprawdzie widok grupki kawalerów, którzy nie mieli nic lepszego do roboty na pierwszym balu sezonu, jak tylko gromadzić się wokół Sophie, nie zrobił na nim większego wrażenia, lecz wytrąciła go z równowagi konieczność wysłuchiwania komplementów, jakimi ją zasypywali. Na domiar wszystkiego kompletnie go ignorowali, pewni, że stan finansowy Sophie automatycznie wyklucza go jako kandydata do jej ręki. Na myśl o tym uśmiechnął się w duchu, lecz już po chwili ogarnął go gniew, gdy usłyszał, jak Sophie z uroczym uśmiechem mówi:

- O, tak, uwielbiam operę, lordzie Annerby.

- Nie omieszkałam pani zawiadomić, kiedy w operze zacznie się sezon, panno Winterton - zapewnił ją rozpromieniony lord.

Jacka powoli ogarniała furia. Mimo że lubił muzykę, od lat unikał opery z powodu niskiego poziomu wykonawców. Z przykrej sytuacji wybawiły go dźwięki walca.

- Panno Winterton?

Sophie podniosła na niego oczy, a jej dłoń odruchowo znalazła jego rękę, ponieważ słowa Lestera zabrzmiały jak rozkaz. Palce Jacka mocno zacisnęły się wokół jej palców; w głowie Sophie zarysował się obraz pewnych trudności, których przedtem nie brała pod uwagę.

Bez słowa poprowadził Sophie na środek sali, gdzie wziął ją w ramiona z zaborczością, która w oczywisty sposób zdradzała jego zamiary. Wiedział o tym, lecz postanowił zlekceważyć. Ulga którą poczuł, kiedy zamknął dziewczynę w ramionach, była jak balsam na jego zbolałą duszę.

- Dobrze się pan bawi, sir?

Chłodna uwaga Sophie sprawiła, że Jack zajął się kontemplacją jej złotych loków. Rozważając pytanie, pomyślał o różowych, ponętnych ustach panny Winterton.

- Dobrze mi się tańczy tego walca.

Niebieskie oczy spojrzały na niego pochmurnie. Zdezorientowany, ciągnął:

- Kiedy wreszcie zacznie pani mówić do mnie Jack? Ja od tygodni nazywam panią Sophie.

Nigdy dotąd nie widział panny, która jednocześnie potrafiła-by się zarumienić i zachmurzyć.

- Wiem - przyznała, wbrew woli karcąc go wzrokiem. - A pan wie, że nie powinien pan tego robić. To nie do przyjęcia.

Jack tylko się uśmiechnął.

Sophie spojrzała na niego, zdesperowana, a potem, przeniosła wzrok na bezpieczne rejony ponad jego ramieniem. Jego bliskość jak zwykle pobudzała jej nerwy. Ogarniało ją dziwne podniecenie, brakowało tchu. Z ulgą powitała ostatnie takty walca,

Jack widział jej rumieniec, ale był zbyt mądry, by to komentować. Zamiast tego poprowadził ją na kolację. Zasedli przy stoliku umieszczonym nieopodal ciepłarni.

Miał nadzieję, że uchronią się od wielbicieli Sophie. Oni tymczasem zbiegli się, popijając szampana i robiąc z siebie, jego zdaniem, straszliwych durniów. Zniósł to ze stoickim spokojem, powtarzając sobie, że Lucilla byłaby bardzo niezadowolona, gdyby podczas inauguracyjnego balu tego sezonu zadeklarował się ze swoimi intencjami. Po lekkim posiłku zaproponował, że odprowadzi Sophie do ciotki.

Kiedy Sophie i Clarissa zostały zaproszone do kolejnego tańca, Lucilla zwróciła się do Jacka.

- Muszę przyznać, sir, że dużo pan zrobił dla Neda.

Jack pochylił głowę.

- Cieszę się, że zmiany, które w nim zaszły, zyskały pani aprobatę, madame.

- Jestem panu wdzięczna. Nieskończenie wdzięczna.

W tym momencie na horyzoncie pojawiła się lady Entwistle. Sunęła w ich stronę z zamiarem powiedzenia Lucilli

paru słów na ucho. Jack ukłonił się, po czym zniknął w tłumie. Mijając tancerzy, usłyszał dźwięczny śmiech. Podniósł wzrok i zobaczył rozpromienioną Sophie w ramionach bardzo przystojnego i zamożnego lorda Ainsleya.

Zmełł w ustach przekleństwo. Co za dureń wymyślił tę całą procedurę zalotów? Przecież uwaga Lucilli, którą miał wszelkie prawo potraktować jako zachętę, powinna go zadowolić. Jednakże ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowały teraz jego uczucia, była dalsza zachęta, zwłaszcza gdy obiekt owych afektów zachowywał się w sposób, który je tylko jeszcze podsycił.

Tłumiąc złość, postanowił godnie znieść tę próbę. Mógł, oczywiście, iść do domu, ale pora wydawała się na to zbyt wczesna. Poza tym nie był na tyle pewny Neda, aby zostawić go bez dyskretnej opieki. Oderwał wzrok od złotych loków Sophie i zaczął się rozglądać za Clarissą.

Mógł to przewidzieć. Kuzynka Sophie uśmiechała się do eleganckiego młodzieńca, który właśnie prowadził ją na środek sali. Clarissa była bardzo zajęta swoim partnerem. Jack zaklął w duchu.

Tymczasem mylił się w swoich przypuszczeniach. Mimo iż Clarissa uśmiechała się i potakiwała panu Pommeroyowi, myślami była daleko od tego Bogu ducha winnego młodzieńca. Kątem oka obserwowała Neda, tańczącego z panną Ellis. Widok ten napawał ją lodowatą furją, jakiej nigdy jeszcze dotąd nie doświadczyła. Bez względu na konsekwencje przyszła pora, by przypomnieć Nedowi o przyczynie, dla której przyjechał do Londynu.

Zmrużyła oczy, spojrzała na pana Pommeroya i mimowolnie się skrzywiła. Zdumiony młodzian potknął się i omal nie upadł. Clarissa poczuła wyrzuty sumienia. Nie chciała przecież sprawić przykrości biednemu adoratorowi. Uśmiechnęła się przepraszająco i zaczęła w myślach szukać natchnienia.



Niestety, jej wielbiciele nie mogli zbyt wiele zaoferować. Są tacy młodzi. Żaden z nich nie nadawał się do roli, jaką chciała im przypisać. Kiedy znowu znalazła się wśród nich, jednym uchem słuchając komplementów, wciąż rozglądała się za Nedeem, który właśnie dołączył do grupki otaczającej dwie siostry, również tegoroczne debiutantki. Marszcząc brwi, odwróciła wzrok i zobaczyła nadchodzącego Toby'ego, który prowadził z sobą istnego Adonisa.

- O, Clarissa! - Toby przystanął z wahaniem. - Mogę ci przedstawić kapitana Gurnarda? Służy w gwardii. - Toby nie wiedział, jak zareaguje jego siostra. Kapitan usilnie nalegał, by go przedstawić, więc uznał, że to nic złego.

Clarissa ogarnęła wzrokiem barczystą postać, która zgięła się przed nią w szarmanckim ukłonie. Kapitan ubrany był w szkarłatny mundur regimentu, a jego gęste, kręcone włosy lśniły złotem w świetle kandelabrow. Kiedy się wyprostował, zobaczyła zimny błysk w jego oczach i cień cynicznego uśmiechu, ale zaraz potem twarz Gurnarda wyrażała wyłącznie uprzejme zainteresowanie.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

- Miło mi pana poznać, panie kapitanie. Od dawna służy pan w gwardii?

Toby zdumiał się, po czym odszedł, wzruszając ramionami.

Oczarowany kapitan Gurnard nie widział nic prócz niewinnych oczu Clarissy i delikatnie wykrojonych ust. Widocznie los się nad nim ulitował. Z uwodzicielskim uśmiechem puścił rękę Clarissy.

- Służę w moim regimencie już od kilku lat.

~ Od kilku lat? - Oczy Clarissy wyrażały bezgraniczne zdumienie. - Przecież... - Urwała i dotknęła ręką ust. - To niemożliwe - wyszeptała - nigdy bym nie przypuszczała, że ma pan aż tyle lat, kapitanie.

Gurnard roześmiał się.

- Panno Webb, muszę przyznać, że w porównaniu z tak młodziutką istotą jak pani czuję się dojrzałym mężczyzną. - Nagle jakby otrzeźwiało. - Prawdę mówiąc - dodał półgłosem - obawiam się, że nie potrafię konkurować z tymi młodymi kogucikami, którzy panią otaczają. Dawno już zapomniałem, jak się prowadzi błahe, wesołe rozmowy.

Udając, że nie dostrzega, jak wspomniane wyżej koguty straszą pióra, Clarissa uśmiechnęła się słodko i nachyliła w stronę kapitana, mówiąc:

- Mam już dość tych błałych, niemądrych rozmów. Słowa proste i szczerze szybciej znajdują drogę do ucha słuchacza.

Kapitan rozpromienił się.

- A może, moja droga, aby posłuchać tych szczerych, prostych słów, przejdzie się pani ze mną po sali? Póki znowu nie zaczną się tańce?

Clarissa skinęła głową i uśmiechnęła się promiennie, poczym położyła koniuszki palców na szkarłatnym rękawie kapitana.

Prowadząc ją pomiędzy tłumem, kapitan nie mógł powstrzymać uczucia złośliwej satysfakcji. Byłby jednak bardzo zaskoczony, gdyby mógł zajrzeć w duszę Clarissy, bo ta niewinna panienka także miała swoje dalekosiężne, ukryte cele.

Sophie tymczasem także napotkała problem, który stanowił przeszkodę w jej staraniach. Jack wycofał się pod ścianę, skąd w ponurym nastroju śledził uśmiechy, jakimi obdarzała otaczających ją panów. Jej delikatna zachęta sprawiała, że potencjalni wielbiciele wręcz rozkwitali, a mimo to co chwila któryś z nich zerkał niespokojnie na pana Lestera. Początkowo go lekceważyli, nie widzieli w nim bowiem rywala, ale od owianego niejednoznaczną sławą uwodziciela było coś takiego.

Jack stał z pozornie znudzoną miną. Doświadczenie pomog-

ło mu znaleźć furtkę do serca najpiękniejszej z kobiet, a teraz przytłaczał tę kobietę, panując jednocześnie w pełni nad swoją mimiką - tylko jego oczy rzucały lodowate błyski, które jedynie głupiec śmiałby zlekceważyć.

Sophie poczuła, że ogarnia ją gniew. Jack celowo onieśmiał jej wielbicieli. A choć nie podobała jej się droga, którą zmierzała, tylko ona prowadziła do celu. Jack powinien zdawać sobie z tego sprawę i nie denerwować jej, bo... Z zachowania Lestera wywnioskowała, iż jest on zazdrosny o względy, które okazywała innym wielbicielom.

Niestety, to właśnie spośród nich będzie musiała wybrać sobie męża, a Jack swoim zachowaniem burzył wszelkie jej zabiegi. Stawało się to wprost nie do wytrzymania. Kiedy sir Stuart Mablethorpe, wybitny naukowiec, napotkał wzrok Lestera i natychmiast zapomniał dalszego ciągu swojej przemowy, Sophie obrzuciła Jacka morderczym spojrzeniem.

Jack przyjął to z niewzruszonym spokojem.

Odpowiedzią Sophie był czarujący uśmiech, jakim obdarzyła lorda Ruthvena, dżentelmena, który miał wiele wspólnego z Jackiem, z wyjątkiem jednego - nie musiał się bogato żenić.

- Panno Winterton - zwrócił się do niej z ukłonem lord Ruthven - czy nie ma pani ochoty przespacerować się ze mną po sali? - Spojrzał na Jacka, a potem znów na twarz Sophie.

Udając, że nie zauważa błysku w oczach Ruthvena, Sophie odpowiedziała:

- Z przyjemnością. Stanie w miejscu już mnie zmęczyło.
- Nie wątpię— rzekł z uśmiechem lord Ruthven. - Proponuję pani ucieczkę, moja droga. - To mówiąc, podał jej ramię.

Sophie ze spokojem położyła rękę na rękawie lorda, udając, że nie uświadamia sobie milczenia, które zapadło za ich plecami. Była zbyt mądra, by ryzykować i oglądać się na Jacka, mając u boku lorda Ruthvena.

Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Dopiero gdy Jack uznał, że w pełni panuje nad swoimi emocjami, pozwolił sobie na drobny ruch. W tym momencie Sophie i jej towarzyszy przebyli już połowę sali. Lester z kamienną twarzą rozważał swoją sytuację i tylko ponury błysk w oczach zdradzał jego nastrój. W końcu, z udaną nonszalancją wmieszał się w tłum z zamiarem skrzyżowania swojej ścieżki ze ścieżką złotowłosej, niewiernej wybranki.

Zanim Sophie dotarła na drugi koniec sali, zdążyła zauważyć, że zielone oczy Ruthvena widziały więcej niż trzeba. Przez całą drogę lord opowiadał jej o sobie. Sophie podejrzewała jednak, że przyczyną jego niezbyt gorących zalotów była raczej chęć zagrania Jackowi na nosie niż jej własne wdzięki. Co, z jednej strony, sprawiło jej ulgę, a z drugiej lekko ją zaniepokoiło.

Przystanęli z lordem Ruthvenem pod galerią dla orkiestry i odwrócili się, żeby ogarnąć wzrokiem salę.

- Ach, tu jesteś, Ruthven. - Jack nagle wyłonił się z tłumu i swobodnie uśmiechnął się do arystokraty. - Właśnie widziałem koło schodów lady Orkney. Pytała o ciebie.

Sophie odwróciła się w samą porę, by zauważyć wyraz podejrzliwości na przystojnej twarzy lorda.

- Doprawdy? - Unosząc brwi, Ruthven obrzucił Lestera septycznym wzrokiem.

- Ależ tak. - Jack uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Bardzo jej zależało, żeby z tobą porozmawiać. Wiesz, jaka jest.

Lord Ruthven skrzywił się.

- Skoro tak twierdzisz. - Odwracając się do Sophie, powiedział: - Muszę panią z przykrością przeprosić, panno Winton. Moja ciotka to wyjątkowa historyczka i nie należy jej drażnić. - Skłonił się z rezygnacją. - Jestem pewny, że Lester z przyjemnością dotrzyma pani towarzystwa. - Po czym oddalił się z kwaśnym uśmiechem.

Sophie patrzyła na jego plecy, mrużąc oczy. Nie rozważała poważnie kandydatury lorda Ruthvena na męża, jednak nigdy nie zdecydowałaby się na mężczyznę, który najpierw stawia damę w niewygodnym położeniu, a potem ją opuszcza, zostawiając samą.

Kiedy palce Jacka zamknęły się wokół jej dłoni, podniosła na niego wzrok. Mimo kamiennej twarzy, nie udało mu się Sophie oszukać. Gdy spojrział na nią z góry, oczy miał zimne i bardzo niebieskie.

- Proszę ze mną, panno Winterton. - Ujęła go pod rękę, a Jack poprowadził ją ku oknom wychodzącym na taras.

Sophie przeraziła się.

- Nie mam najmniejszego zamiaru udać się z panem w jakieś ustronne miejsce, sir.

- Jack! - Tą jedną sylabą dał jej wyraźnie do zrozumienia, w jakim jest humorze. - A jeśli woli pani omawiać nasze sprawy publicznie... - wzruszył ramionami... nie mogę odmawiać damie.

Sophie poczuła dziwny ucisk w gardle. Sama była nie mniej wzburzona niż on.

- Doskonale, sir - powiedziała, patrząc mu hardo w oczy. - Ale nie na tarasie. - Kątem oka dostrzegła falujące kotary oddzielające salę balową od salonu muzycznego, znajdującego się pod galerią. Kącik ów stanowił całkowicie odizolowane miejsce i wydawało się mało prawdopodobne, żeby ktoś chciał się tam ukryć. Mogliby tam porozmawiać na osobności, nie opuszczając sali balowej. Zaciskając usta, Sophie skinęła w stronę kotary.

- Proszę tędy.

Po chwili Jack podniósł kotarę, a gdy weszli do środka, ciężka kurtyna opadła, odgradzając ich od gwaru sali balowej. Zawieszony pod sufitem kandelabr ciepłym blaskiem oświecał for-

tepian oraz klawesyn. Był to całkiem wygodny zakątek, z miękkimi krzesłami oraz dwoma fotelami. Jednak Sophie nie chciała z nich skorzystać, tylko zatrzymała się pośrodku wzorzystego dywanu.

- Panie Lester, przyszedł czas, żeby porozmawiać otwarcie.

- Jest to także moim zamiarem - odparł, podchodząc bliżej.

Sophie musiała unieść wyżej głowę, by móc spojrzeć mu w oczy.

- Może zaczniemy od tego, co zamierza pani osiągnąć, gromadząc wokół siebie tych wszystkich dżentelmenów? - zaproponował Jack.

- Bardzo słusznie - zgodziła się Sophie. Przez chwilę milczała, a potem zaczęła mówić spokojnym, zdecydowanym tonem: - Jak już panu wspomniałam, mój pierwszy sezon, cztery lata temu, został w smutnych okolicznościach przerwany.

Jack tylko skinął głową.

- Wie pan także, że nie tylko mojej ciotce, ale również wszystkim przyjaciółkom mojej matki bardzo na tym zależy... - przerwała, po czym dodała: - One nalegają, żebym wyszła za męża. A ja, cóż - rzuciła mu wyzywające spojrzenie - muszę się z rym zgodzić.

Jack zmrużył oczy.

- Istotnie - mruknął.

- W tej sytuacji - ciągnęła Sophie - powinnam się rozejrzeć za odpowiednimi kandydatami do mojej ręki. - Zmarszczyła brwi. Nie podobało jej się to, co powiedziała, brzmiało bowiem tak bezdusznie.

- Dlaczego?! - oburzył się Jack.

- Przepraszam? Nie rozumiem.

- Po co pani cała banda wielbicieli? Jeden nie wystarczy?!

- Oczywiście, że nie - obruszyła się Sophie. - Nie zamierzam poślubić człowieka, który nie będzie miał bodaj kilku cennionych przeze mnie zalet.

- A jakich to? - zapytał, marszcząc brwi.

- Powinien mieć majątek na wsi i lubić tam przebywać, jak również... - Sophie zarumieniła się... mój przysłyły mąż musi kochać dzieci... i uwielbiać jazdę konną... oraz...

- Świetnie znać figury walca? - podsunął Jack.

Sophie spojrzała na niego z wyrzutem, a na widok błysku w jego oczach dumnie podniosła głowę.

- Jest jeszcze wiele atrybutów nieodzownych u mężczyzny, którego mogłabym poślubić.

- Nie musisz jednak wokół siebie gromadzić tłumów, by wyłuskać tego jednego, jedyne!

- Właśnie że tak! - krzyknęła z gniewem Sophie. - Skąd mogę wiedzieć, czy ten, którego sobie wybrałam, to ten właściwy. Muszę się rozejrzeć! Dlatego z nimi tańczę i rozmawiam.

Usta Jacka zacisnęły się w cienką linię.

Sophie pokiwała głową.

- No właśnie. I muszę też powiedzieć - ciągnęła - że to bardzo nie fair z pana strony tak mi w tym przeszkadzać.

Zapadła cisza.

- Sophie - zaczął Jack, a jego wzrok przenikał dziewczynę na wylot - uwierz mi, nie mam najmniejszego zamiaru dopuścić do tego, żebyś zaczęła się zadawać z tymi wszystkimi fircykami.

Panna Winterton tupnęła gniewnie nogą i przeszłyła Lestera płonąącym wzrokiem.

- Zachowuje się pan okropnie! Chyba sam pan rozumie, że muszę wyjść za mąż!

- Tak, ale...

- I dlatego muszę wybrać pomiędzy moimi wielbicielami.

- Tak, ale...

- No więc, mój drogi panie Lester - syknęła wściekle - może pan, zważywszy na swoje olbrzymie i nieocenione doświad-

czenie, powie mi, jak mam poznać, który z nich będzie najlepszym mężem, jeśli nie w taki sposób?

- To bardzo proste - odparł Jack, a w jego oczach pojawił się dziwny błysk.

- Czyżby?

- Powinna pani wybrać tego, który najbardziej panią kocha - odparł z pozornym spokojem.

- Rozumiem! - fuknęła Sophie. - A jak, pana zdaniem, mam go zidentyfikować? - zakończyła z drwiną w głosie.

Na usta Jacka wypłynął leniwy uśmiech, a jego oczy poszukały wzroku Sophie.

- Właśnie tak - powiedział. Nachylił się i dotknął ustami jej warg.

Panna Winterton zadrżała, a potem zastygła w bezruchu. Wargi Jacka były takie gorące i gładkie i tak mocno napierały na jej bezzębne usta. Kurczowo chwyciła go za ręce, jakby były ostatnią deską ratunku. Wiedziała, że może jeszcze się wycofać, ale nie zrobiła nic, porażona niezwykłą mocą pragnień listera i niewysłowioną słodyczą, która nagle nią zawładnęła. Gdy sobie to uzmysłowiła, zadrżała Ręce Jacka delikatnie otoczyły jej twarz, podczas gdy jego wargi kusiły i koiły

Nie, już nie słodczy doświadczała panna Winterton, lecz nagłej potrzeby działania, nie omdlewała już, lecz... chwyciła Jacka za kłapy surduta i zatraciła się w gwałtownym pocałunku.

Lester znalazł się u bram niebios, ale w jego objętej płomieniami głowie kołatała się jedna, jedyna myśl: nie, jeszcze nie pora, by owe bramy przekroczyć. Dlatego napawał się tylko pocałunkami i dotykiem, dlatego tulił tylko i pieścił kobietę, której usta, twarz, włosy, dłonie, która cała była najwspanialszym dziełem, jakie kiedykolwiek stworzył dobry Bóg.

Duszę Lestera wypełniła najcudowniejsza pewność: tak, So-



phie naprawdę do niego należała! A wkrótce dowie się o tym cały świat - ale jeszcze nie teraz. Oderwał się od ust dziewczyny i opuścił ręce.

Sophie otworzyła oczy i spojrzała na Jacka. Puściła klapy jego surduta, ale się nie cofnęła. Patrzyła na niego, próbując zrozumieć, co się stało. Instykt popychał ją w jego ramiona; zmysły zawładnęły rozumem. Co to za czary, które w jednej chwili potrafiły tak zmienić człowieka?

Chciała, żeby Jack znów ją pocałował. Chciała poczuć, jak obejmują ją jego ramiona - bez względu na to, jak bardzo skomplikuje to jej i tak już niełatwą sytuację.

Jack widział ciepły błysk jej oczu, łagodnie rozświetlający twarz dziewczyny. Poczuli, że przestaje nad sobą panować.

W tej samej chwili kotara rozchyliła się i do saloniku wdarły się odgłosy balu.

Sophie i Jack odwrócili się jak na komendę i zobaczyli Phillipa Marstona, przytrzymującego grubą materię. Na jego twarzy malował się wyraz najwyższej dezaprobaty i zgorszenia.

- Ach, tu pani jest, panno Winterton. Pozwoli pani, że odprowadzę panią do ciotki.

Sophie nawet nie drgnęła. Spojrzała na Jacka, a potem wstrzymując oddech, czekała. Kiedy Lester podał jej ramię, odetchnęła z ulgą.

- Myli się pan, Marston, i zapewne nie wie pan nawet jak bardzo. Panna Winterton ma już moje towarzystwo i nie potrzebuje innego.

Zapadła znacząca cisza. Marston zbladł, a Sophie z subtelną czułością ujęła Jacka pod rękę.

- Pannie Winterton robiło się gorąco w sali balowej - wyjaśnił już w gładkich słowach Jack. - Schroniliśmy się tutaj, żeby mogła trochę odpocząć. - Spojrzał na zarumienione policzki

Sophie. - Jeżeli czuje się już pani wystarczająco dobrze, odprowadzę panią do przyjaciół.

No cóż, tak trzeba... mówiło jego spojrzenie. Sophie udała, że tego nie dostrzega, i z wdziękiem skłoniła głowę.

- Dziękuję, sir. - Co za ulga, pomyślała, że Jack nie zostawił jej na pastwę Marstona.

Wyszli do gwarnej sali balowej, a blady jak trap Marston przytrzymał im kotarę.

Sophie szła między gośćmi z dumnie uniesioną głową. Po jednej stronie miała Lestera, a po drugiej, nieco z tyłu Marstona.

Jack poczekał, aż wokół Sophie znów zbierze się grupka jej wielbicieli, po czym cofnął się i stanął za nią, oddzielając ją od Marstona.

- Nie skończyliśmy jeszcze naszej rozmowy - powiedział, biorąc ją za rękę.

Sophie zdołała już odzyskać spokój. Spojrzała na niego i powiedziała:

- Zapewniam pana, że zamknęliśmy raz na zawsze ten temat.

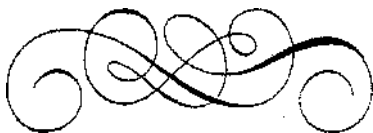
Jack zachował kamienną twarz. Podniósł z rozmysłem do ust dłoń Sophie i ucałował rozgrzane wnętrze dłoni.

- Porozmawiamy później.

Sophie dyskretnie wyszarpnęła swą dłoń i już zamierzała dać cichą nauczkę zuchwalcowi, ale ten właśnie kłaniał się uprzejmie, a potem, zanim zdążyła się zorientować, otoczyła ją gromadka dżentelmenów próbujących zwrócić na siebie jej uwagę. A Lester przepadł jak kamfora.

Nie poszedł jednak do domu.

Schowany za palmą w olbrzymiej donicy, czuwał nad swoją złotowłosą, póki nie przebrzmiały ostatnie dźwięki muzyki, a ostatni wielbiciel nie został odprawiony.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

W ciągu następnej doby Jack doszedł do wniosku, że los postanowił wspomóc Sophie w jej planach. Miał szczerzy zamiar już nazajutrz rano dokończyć ich rozmowę, brutalnie przerwana przez pana Marstona, jednak zmienna Fortuna nie dała mu szans.

Wprawdzie wybrali się na przejażdżkę, bo nawet zmęczenie po balu nie było w stanie skłonić Webbów do rezygnacji z tej przyjemności, ale dzieci ani na chwilę nie dawały mu spokoju, wypytując o najdrobniejsze szczegóły planowanego lądowania balonu - w czym podejrzewał udział Sophie. Kiedy na horyzoncie pojawił się Percy, Jack bezlitośnie napuścił młodzież na przyjaciela, który szczęśliwym zrządzeniem losu okazał się wielkim amatorem lotów balonowych. Niestety, nie dane zostało Jackowi wykorzystać tej szansy, bo zaraz potem zjawili się wielbiciele Sophie i Clarissy.

Przez resztę przedpołudnia Jack musiał zadowolić się tym, że jest jednym z wielu dżentelmenów otaczających obie panny.

Zgodnie z przewidywaniami Jacka debiutancki bal Clarissy Webb oznaczał rozpoczęcie sezonu. Uznano go za wielki sukces i wszystkie damy z londyńskiej elity natychmiast zapragnęły go przyćmić. Dni i noce zmieniły się odtąd w istne *orgie* weneckich śniadań, obiadów na świeżym powietrzu, podwieczorków oraz uroczystych kolacji, po czym nastąpił jeden wielki ciąg bałli, rautów, przyjęć oraz wieczorków. A u źródeł tej gorączkowej aktywności leżała chęć znalezienia sobie odpowiedniej partii -

coś, w co Jack zaangażował się całą duszą po raz pierwszy w życiu.

Kiedy stał ukryty w cieniu palmy w sali balowej lady Mar-ehmain, jak zwykle ścigając wzrokiem swoją Sophie, która właśnie z wdziękiem tańczyła kotyliona, jego myśli krążyły wokół planów matrymonialnych. Przyjechał do miasta wyłącznie po to, by zdobyć Sophie. Wedle jego oceny sezon trwał już od ponad tygodnia. Ile jeszcze czasu musi trzymać się z daleka i patrzeć, jak złotowłosa dziewczyna uśmiecha się do innych mężczyzn?

- Zastanawiam się... czy muszę pytać, która to z nich? A może jednak sam zgadnę?

Jack oderwał wzrok od roztańczonej Sophie i spojrzał na pytającego. Był nim Harry. Na widok malującej się na twarzy brata ciekawości, prychnął pogardliwie.

- Druga para od drzwi. W sukni z bursztynowego jedwabiu. Blondynka.

- To oczywiste. - Harry szybko ją zlokalizował, idąc w ślad za wzrokiem Jacka. - Całkiem niezła - mruknął. - Czy ostatnio chwaliłem cię za dobry gust?

- Nie przypominam sobie.

- No cóż. - Harry uśmiechnął się łobuzersko. - Może zanim wydam opinię, powinienem porozmawiać z tym ideałem?

- O ile uda ci się przepłoszyć te sfory wielbicieli.

- Och, jakoś sobie poradzę - roześmiał się Harry. - Jak ona się nazywa?

- Sophie Winterton.

Harry wmieszał się z uśmiechem w tłum, a Jack mógł tylko z goryczą patrzeć, jak jego brat zabiera się do dzieła, które jemu samemu sprawiało tyle trudności.

- Dziękuję panu, panie Somercote, to był wspaniały taniec.

- Sophie z uśmiechem podała rękę partnerowi, żywiąc nadzieję,

że wreszcie zostawi ją w spokoju. Niestety, pan Somercote miał w tej chwili zupełnie inne zamiary.

Nie wypuszczając z uścisku jej dłoni, spojrział na Sophie z powagą i zaczerpnąwszy tchu, zaczął:

- Moja droga panno Winterton...

- Panna Winterton, nieprawdaż?

Sophie z ulgą odwróciła się i zobaczyła kłaniającego się mężczyznę, który urodą i galanterią przewyższał jeszcze Jacka Lestera.

- Jestem Harry Lester, panno Winterton - powiedział z uwodzicielskim uśmiechem. - Brat Jacka.

- Witam, panie Lester. - Podając mu rękę, Sophie pomyślała, że gdyby musiała zdecydować, który z braci jest przystojniejszy, miałyby wielki kłopot, również dlatego, że tak bardzo się różnili.

Dżentelmen, który ścisnął teraz jej dłoń, był blondynem, podczas gdy Jack brunetem, zaś oczy miał zielone, a nie jak jego brat niebieskie. Był wzrostu Jacka, ale szczuplejszy, a jego wyszukana uprzejmość wydała się Sophie znacznie bardziej niebezpieczna niż pewność siebie znamionująca Jacka.

Harry zmierzył spojrzeniem pana Somercote'a, a potem znów spojrział na Sophie.

- Może miałyby pani ochotę przejść się po pokojach, panno Winterton?

Arogancki uśmiech, który wypłynął na jego pociągające usta, upewnił tylko Sophie w przekonaniu, że mimo braku fizycznego podobieństwa braci łączy bardzo wiele.

- Chętnie, sir. Z przyjemnością. - Ujęła Harry'ego pod rękę, pożegnała pana Somercote'a uprzejmym skinieniem, po czym pozwoliła wyprowadzić się z sali.

- *Przyjechała pani do miasta z ciotką i kuzynami, prawda?*

Sophie podniosła wzrok i zobaczyła parę zielonych oczu, które leniwie ją taksowały.

- Tak, to prawda. Z państwem Webbami.

- Nie miałem jeszcze przyjemności ich poznać. Może mogłaby mnie pani przedstawić?

Sophie szybko odkryła, że Harry, podobnie jak Jack, miał, miłą i naturalną umiejętność prowadzenia ciekawej konwersacji. Gdy spacerowali wśród gości, poczuła, że odpoczywa. Harry rozbawił ją niemal do łez opowiadaniem o wyprawie do parku, kiedy wraz z bratem po raz pierwszy przyjechali do miasta. Dopiero pojawienie się następnego zapisanego w karnecie tancerza, pana Chartwella, położyło kres miłej pogawędce.

Brat Jacka przekazał ją w jego ręce z uprzejmym, a zarazem kpiącym uśmiechem.

Tego wieczora Lesterowie nie dali jej szans, by przestała o nich myśleć bodaj na chwilę. Gdy tylko zakończył się kolejny taniec, pojawił się przed nią Jack, tak że biedny pan Chartwell ledwo zdążył jej podziękować. W jego pocziwych oczach pojawiło się tyle żalu, że Sophie poczuła wdzięczność do Jacka za to, iż uchronił ją przed niechybnymi i zapewne wielce nieskładnymi wyznaniem.

Jednak jej wdzięczność wyraźnie się zmniejszyła, kiedy stało się jasne, że pogodzenie się z losem sprawia Jackowi poważne nudności.

- Sophie, muszę z tobą porozmawiać. I to na osobności. - Jack przestał już się bawić w subtelności. Panna Winterton okazała się najbardziej upartą z kobiet, jakie zdarzyło mu się spotkać.

- Przecież pan doskonale wie, że byłoby to nierozsądne. Poza tym, nie wypada.

- Sophie, przysięgam... - Zabrzmiały pierwsze tony walca i Jack natychmiast chwycił dziewczynę w ramiona. A kiedy już wirowali wolno po parkiecie, ciągnął: - Jeżeli będę musiał dalej znosić coś takiego, to...

- Chyba nie zrobi pan nic, co zmusiłoby mnie do zakończenia naszej znajomości?

Lekkim drzeniem zareagowała na jego zbytnią bliskość. Było to zresztą nieuniknione. Jack pragnął jej - tak samo jak ona jego. To się jednak nie mogło stać - nie tak toczy się życie w ich sferach. Każde z nich będzie musiało związać się z kimś innym, a Jackowi nie pozostanie nic innego, jak się z tym pogodzić. Jeżeli to zrobi, może uda się im zostać przyjaciółmi. Pozostała tylko ta nadzieja i rozpaczliwie trzymała się tej myśli. W końcu mieli z Jackiem tyle wspólnych zainteresowań! Łączyło ją z nim znacznie więcej niż z którymkolwiek ze starających się o jej rękę dżentelmenów. Mała tę bolesną świadomość, że żaden z nich nie mógł się nawet równać z Lesterem. Dlatego też ilekroć któryś z nich zaczynał okazywać jej zdecydowane względy, czuła awersję oraz natychmiastową chęć ucieczki. Serce Sophie nie było już wolne, a ona nie potrafiła sobie z tym poradzić.

Czując, że napięcie nieco opadło, podniosła oczy na Jacka.

Patrzył na nią i czekał.

- Sophie... wiem, że potrzebujesz czasu, aby się rozejrzeć, lecz ja z natury nie jestem zbyt cierpliwy. Byłbym ci dozgonnie wdzięczny, gdybyś w jakiś sposób mogła skrócić tę fazę swej towarzyskiej aktywności.

Panna Winterton zmieszana się.

- Ja... ja spróbuję.

- Bardzo proszę - odparł Jack. - Zapamiętaj sobie jednak dobrze, Sophie, że jesteś moja! I żadne piękne słówka tego nie zmienią!

Jego kategoryczny ton i malująca się na twarzy zaborczość przeraziły dziewczynę. Zadrżała.

- Jack, proszę cię... - Odwróciła wzrok, a szept zamarł na jej ustach.

Lester poczuł przemożną chęć, by porwać ją w objęcia i raz na zawsze zakończyć te ze wszech miar męczące konkury. Jednak zamiast tego, gdy umilkły ostatnie tony, ujął ją pod ramię.

- Chodźmy. Odprowadzę cię do ciotki.

Tyle przynajmniej zyskał, że zwróciła się do niego po imieniu.

- Coś jest nie tak!

Dwa dni po balu u lady Marchmain Horatio wsparty na poduszkach patrzył na żonę, która siedziała przy toalecie i czesała swoje srebrzystoblond włosy.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytał obojętnym tonem, jakby nie widział jej zaszepionego wzroku.

- Sophie nie jest szczęśliwa - odparła Lucilla, marszcząc brwi.

- Czyżby? A dlaczego nie? Przecież ma całą hordę wielbi-  
cieli, z Jackiem Lesterem włącznie. Powinna być bardzo szczę-  
śliwa.

- A jednak nie jest. I myślę, że ma to coś wspólnego właśnie z Jackiem Lesterem, choć nie mogę sobie wyobrazić, co by to mogło być. Przecież ten człowiek wprost żółknie z zazdrości, ilekroć ona choćby uśmiechnie się do innego mężczyzny. Widzi to każdy, kto ma oczy. Nie wiem, czego ona jeszcze chce. Przecież Jack Lester to najlepsza partia tegorocznego sezonu.

- Hmm... - zadumał się Horatio. - Jesteś pewna, że chodzi jej o Jacka Lestera?

Lucilla cicho prychnęła.

- Uwierz mi, mój drogi, ona chce tylko jego jednego. Gdybym chciała postępować zgodnie z przyjętymi zasadami, powinnam ostrzec ją dawno temu.

- Ach, drobiazg. - Horatio zaszeleścił papierami, z którymi nigdy się nie rozstawał, po czym na widok zmierzającej do łóżka żony odłożył je na stolik. - Przypuszczam, że to się jakoś ułoży. Takie sprawy zazwyczaj same się rozwiązują.

Lucilla wślizgnęła się pod kołdrę. Poczekała, aż Horatio zdmuchnie świecę, po czym spytała:



- Nie uważasz, że powinienam... wybadać ją, w czym problem?
- Znowu chcesz się wtrącać? - Ton Horatia nie pozostawiał żadnych wątpliwości. - Nie rób tego. Pozwólmy młodemu, by popełniał błędy, kochanie. Jak inaczej mieliby się czegokolwiek nauczyć?

Lucilla skrzywiła się.

- Niewątpliwie masz rację, mój drogi. - Poszukała w ciemnościach ręki męża i poklepała ją, a po chwili dodała: - Myślałam o tym, żeby zorganizować wypad za miasto. Bale trochę mnie już znudziły. Może warto by zrobić sobie przerwę? Nie chciałabym, żeby Sophie i Clarissa już na początku sezonu poczuły się zmęczone. Co byś powiedział na mały zjazd u ciotki Evangeliny?

Pod osłoną ciemności Horatio uśmiechnął się.

- Rób, jak uważasz, kochanie.

Młodemu ludziom nie zaszkodzi, jeśli będę mieli dla siebie trochę czasu. Choćby tylko po to, żeby naprawić swoje błędy.

Od jakiegoś czasu los nie bardzo chciał uśmiechnąć się do Jacka. A co do Sophie - jej trudno było się w ogóle uśmiechać.

Już sama myśl, że Jack chce, by jak najprędzej wyszła za mąż, była sama w sobie dostatecznie przygnębiająca. A jeszcze gorsza była wizja tego, co miało nastąpić potem. Wszystkie jej marzenia legły w gruzach. Z trudem przychodziło jej zachować twarz. Starała się jak najczęściej przebywać w towarzystwie Belle Chessington, bo ona jedną swoją żywiołową radością potrafiła podnieść ją na duchu. Mimo to Sophie czuła, że pograża się w mroku.

Właśnie wróciła do kółka znajomych wsparta na ramieniu pana Chartwella, który z każdym dniem stawał się coraz bardziej oddany, gdy nagle na dźwięk znajomego głosu serce żywiej zabiło w jej piersi.

- Mam głęboką nadzieję, panno Winterton, że zachowała

pani dla mnie ten taniec. - Jack uśmiechnął się, ujął ją za rękę i odciągnął na bok. - Uczyłem Neda, jak wiązać krawat, i zajęło mi to więcej czasu, niż się spodziewałem.

Sophie znów się zdenerwowała. Czy tak będzie już zawsze, zastanawiała się, kiedy wolnym krokiem przemierzali salę. Czy Jack zawsze będzie przychodził do niej, kiedy zechce? A ona wiecznie będzie mu ulegać?

- Przykro mi, panie Lester - powiedziała sucho - ale mój karnecik jest już zapełniony.

Jack zmarszczył brwi.

- Tak też przypuszczałem, ale zarezerwowałaś sobie jeden taniec dla mnie, prawda?

Mijając pannę Berry, skinęli głowami, po czym szli przez chwilę w milczeniu. Sophie gorączkowo próbowała wymyślić jakąś odpowiedź.

Nagle Jack zatrzymał się i zastąpił jej drogę.

- Sophie? - zapytał z naciskiem.

Spojrzała w jego pociemniałe oczy i znów skapitulowała.

- Tak się jakoś złożyło, że nie mam nikogo do drugiego walca.

- No to już masz - powiedział, z trudem panując nad sobą, po czym podjął przechadzkę.

Celowo odprowadził Sophie do ciotki, żeby była jak najdalej od swoich wielbicieli. Nie miał jednak zamiaru jej towarzyszyć. Z pośpenną miną nachylił się nad jej ręką.

- Do następnego walca, panno Winterton.

Po czym zostawił ją i odszedł, a w jego duszy szalała burza.

Jeżeli chodzi o Sophie - drugi walc nadszedł zdecydowanie zbyt szybko. Nie odzyskała jeszcze spokoju, zwłaszcza że wydarzenia ostatnich tygodni zachwiały jej równowagę ducha tak bardzo, że teraz groził jej rozstrój nerwowy. Wirując w silnym uścisku Jacka, starała się panować nad instynktem, który popychał ją w jego ramiona.

Była tak zaabsorbowana walką z samą sobą, że nawet nie zauważyła, kiedy znaleźli się na tarasie. Ocknęła się dopiero wtedy, gdy poczuła na twarzy powiew chłodnego powietrza.

- Gdzie...? - Rozejrzała się zaskoczona i zobaczyła, że są na tarasie. A przecież nie tam powinni się znajdować. Lester, obejmując ją mocno w talii, niemal ciągnął ją coraz dalej.

- Jack! - wykrzyknęła, zatrzymując się w miejscu.

Przystanął i spojrzał w twarz Sophie.

- Miałem wrażenie, że walc cię męczył, dlatego wyprowadziłem cię na powietrze.

Odetchnęła z ulgą, ale zaraz pociągnął ją za sobą.

- Gdzie idziemy?

Celem przechadzki okazał się ogród zimowy znajdujący się na przedłużeniu tarasu. Przez szklane ściany napływało światło księżycy, okrywając wszystko wokół srebrzystą poświatą. W środku stało kilka krzeseł i dwa stoliczki. Słyszac za sobą szcęk zamykanych drzwi, Sophie stwierdziła, że są w pomieszczeniu sami.

- Jak długo jeszcze, Sophie? - zapytał bez wstępów Jack.

Odwróciła się i zobaczyła, że zbliżył się niebezpiecznie blisko.

- Jak długo jeszcze każesz mi cierpieć?

Podniosła rękę, jakby chciała go powstrzymać - i oparła dłoń na jego torsie, bo Jack już stał tuż przed nią. Czuła bijące od niego ciepło. Zadrżała, spojrzała mu w twarz i nagłe poczuła, że ogarnia ją gniew. Czy on bodaj przez chwilę pomyślał, co ona przeżywa, wiedząc, że musi zrezygnować z ukochanego mężczyzny? A ten ukochany mężczyzna jeszcze ją do tego popychał? Uniosła głowę.

- Obawiam się, że odpowiedź nie jest taka prosta. Szczerze mówiąc, atencje żadnego z moich obecnych wielbicieli nie przypadły mi jakoś do gustu.

Po tym wyznaniu napięcie opadło. Jack odetchnął z ulgą a Sophie ciągnęła:

- Obawiam się, że gdybym przyjęła teraz oświadczyzny któregoś z nich, nie byłabym szczęśliwa.

Lodowaty chłód przeszył serce Jacka.

- Żadnego? - odważył się zapytać.

Sophie pokiwała głową.

- Nie wiem, co robić. A przecież muszę kogoś wybrać przed końcem sezonu.

Jack zamarł, a potem rzucił:

- Może mnie?

Sophie spojrzała na niego, zaskoczona.

- Ale... - zaczęła, marszcząc brwi - nie mogę wyjść za ciebie. Wiesz, że nie mogę. - Nie widziała w mroku ani jego twarzy, ani oczu.

- Czemu nie? - zapytał suchym, beznamiętnym tonem. - Przecież mam wszystkie zalety, których pragniesz u kandydata la męża. Jestem właścicielem majątku ziemskiego, chcę zamieszkać na wsi, pragnę mieć dzieci i żyć w otoczeniu rodziny.

Przecież tego chcesz, prawda? Sophie patrzyła na niego w milczeniu.

- No i oczywiście - mówił dalej Jack z niepewnym uśmiechem - jest jeszcze coś. - Uniósł rękę i delikatnie obrysował koniuszkiem palca jej dekol, aż po widoczny rowek między piersiami.

Sophie zadrżała i cicho jęknęła.

- Zgodność usposobień - mówił dalej Jack - przy której reszta się nie liczy. Nie jest tak, Sophie?

- Ale... ale ja nie mam majątku. Nie mam nic prócz nadziei na spadek.

- To bez znaczenia. - Jack spojrzał na nią surowym wzrokiem, po czym zaczerpnął tchu. - Sophie... - zaczął, ale nie dane mu było skończyć, bo panna Winterton szybko zakryła mu dłonią usta.

- Nie! - wykrzyknęła drżącym głosem. Nareszcie zrozu-

miała, co musi zrobić. Wzięła głęboki oddech i cofnęła się, wciąż patrząc mu w oczy. - Boję się, że nic nie rozumiesz, Jack. Nigdy w życiu nie byłam bogata. Przyjechałam do Londynu po to, żeby dobrze wyjść za męża. - Kłamstwo to przyszło jej nadszpiegowanie łatwo. Odwróciła wzrok, szukając dodatkowych słów. - Nie mówiłam ci tego, ale myślałam, że rozumiesz. Nic. - urwała żeby się upewnić, iż głos jej nie zawiedzie - nic z tego. co widziałam w Londynie, nie skłoniło mnie do zmiany zdania. Życzę sobie, żeby mój wybranek miał spory majątek. - Słowa te zabrzmiały w jej ustach bardzo wiarygodnie. Serce boleśnie tłukło się w jej piersi, mimo to wysoko trzymała głowę. Lepiej, żeby uważał ją za osobę pozbawioną serca, niż gdyby miał ją poślubić, rujnując tym samym swoją przyszłość i odwracając się od zobowiązań, które miały dla niego tak wielkie znaczenie. Bo Jack zupełnie jak Lucilla gotów był poświęcić wszystko dla miłości. Lecz Sophie mu na to nie pozwoli.

- Ale... - Jack zachnął się, jakby wymierzyła mu policzek. Nagle uświadomił sobie, że Sophie nic nie wie o szczęśliwej dla niego odmianie losu. Był przekonany, że Horatio powie o tym Lucilli, a ona z kolei powtórzy wszystko Sophie. Widocznie jednak się pomylił. Już miał otworzyć usta, kiedy powstrzymał go odruch zdrowego rozsądku.

Popatrzył na twarz Sophie, łagodną i spokojną w blasku księżycy. Twarz kobiety, którą -jak sądził - rozumiał. Ona jednak zdecydowana była wyjść za męża dla pieniędzy. I to tak bardzo zdecydowana, że bez cienia żalu odtrącała to, co było między nimi, by zamienić miłość na garść złotych monet. Los rzeczywiście spłatał mu figła - oto znalazł wreszcie swoją złotowłosa, ale ona wybrała mamonę. Czy naprawdę po to, by ją zdobyć, musiałby wyjawić jej prawdę o swoim bogactwie? Jak by się poczuł, gdyby z uśmiechem rzuciła mu się w ramiona, zwabiona brzękiem monet?

Cofnął się o krok.

- Przykro mi słyszeć, panno Winterton, że moje... starania nie zyskały pani aprobaty. Nie będę już więcej absorbował pani moją osobą, Zdaję sobie sprawę, że moje zachowanie musiało pani utrudniać poszukiwania... właściwego kandydata na męża. Proszę przyjąć moje przeprosiny. - Skłonił się i już miał wyjść, ale się zawahał.

Odwrócił głowę i spojrzał na Sophie.

- Mogę tylko mieć nadzieję, moja droga, że kiedy znajdzie pani wreszcie garniec złota na drugim końcu tęczy, nie będzie pani zawiedziona. - Raz jeszcze skinął jej głową, po czym wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

A Sophie została sama, pośrodku pustego ogrodu zimowego.

Przez dłuższą chwilę stała dumnie wyprostowana, a potem nagle przygarbiła się i zwiesiła głowę. Zaczepnęła tchu i mocno zacisnęła powieki. Ból rozsadzał jej skronie.

Dziesięć minut później wróciła do sali balowej, lecz na jej twarzy nie znać było śladu cierpienia. Z godnością dołączyła do grona znajomych i przez resztę wieczoru jakby nigdy nic śmiała się z dowcipów panny Chessington. Jack zniknął, a ona miała złamane serce. Podtrzymywała ją tylko świadomość, że postąpiła słusznie.

Jeżeli taka jest cena za jego godne i dostatnie życie, gotowa była ją zapłacić.

Z saloniku do gry w karty - na drugim końcu piętra - Jack patrzył, jak Sophie rozdaje wokoło uśmiechy. Oto kolejny dowód, jak zmienne są jej uczucia. Podniósł do ust kieliszek i pociągnął haust złotego płynu.

- Ach, tu jesteś. Szukam cię wszędzie. - Ned wyłonił się zza -palmy zasłaniającej wejście do saloniku. Jego wzrok padł na kieliszek w ręku Jacka. - Co to jest?

- Brandy - burknął Jack, po czym pociągnął kolejny łyk.

Ned uniósł brwi.

- Czegoś takiego nie widziałem w bufecie.

- To prawda - ponuro uśmiechnął się Jack i pomyślał, że młodzieniec nie powinien tego pić'

- Ostatniego kotyliona tańczyłem z Clarissa - powiedział Ned. - Karnecek miała całkiem zapełniony, a ten łobuz Gurnard będzie jej towarzyszył przy kolacji. Mam tu zostać, czy możemy już iść?

Nie odrywając wzroku od Sophie, Jack rozważył wszystkie za i przeciw.

- Nie radzę wychodzić przed kolacją, bo wszyscy powiedzą, że przyszedłeś tu tylko po to, żeby tańczyć z Clarissa.

- Przecież po to właśnie tu przyszedłem - mruknął Ned. - Chodźmy stąd!

Jack kręcił głową, wciąż wpatrzony w Sophie.

- Mówiłem ci przecież, że to nie jest zabawa dla słabeuszy.

- Umilkł na chwilę, a Ned czekał cierpliwie.

Nagle Jack oderwał się od ściany. Spojrzył na Neda, a na jego twarz wróciła dawna pewność siebie.

- Idź i dołącz do grona wokół jakiejś młodej damy, ale cokolwiek byś robił, trzymaj się z dala od Clarissy podczas kolacji.

- Na widok nieszczęśliwej miny Neda dorzucił: - Jeżeli dotąd jakoś to wytrzymałeś, nic się nie stanie, jeśli z nią później porozmawiasz, ale nie dłużej niż kwadrans.

- Zdobywanie względów panny z towarzystwa to potworna sprawa - stwierdził Ned. - Skąd wzięły się te wszystkie zasady?

Zdegustowany pokręcił głową, po czym się oddalił.

Spokojny, że jego protegowany będzie wiedział, co ma robić. Jack cofnął się w głąb saloniku, by nadal patrzeć na kobietę, która mimo wszystko wciąż do niego należała.

Cztery dni później Sophie siedziała w powozie i z zasepioną miną patrzyła na ponury widok za oknem. Mała wycieczka, za-

powiedziana przez Lucillę tego ranka, kompletnie zaskoczyła cały dom. Patrząc wstecz, Sophie powinna się domyślić, że jej ciotka coś planowała, bo chwilami sprawiała wrażenie osoby wyjątkowo roztargnionej. W rezultacie mieli spędzić trzy dni w Little Bickmanstead, starej rezydencji należącej do wiekowej ciotki Lucilli, Evangeliny.

Sophie z przygnębieniem patrzyła na ołowiane niebo. Piękna pogoda, jakby w zgodzie z jej nastrojem, skończyła się w dniu, w którym panna Winterton odrzuciła oświadczyzny Jacka. Nad stolicą przeszła gwałtowna burza, a groźba dalszych opadów sprawiła, że Lucilla zakazała porannych przejażdżek po parku.

Podczas tych dni Sophie nieraz zadawała sobie pytanie, czy Jack się tego domyślał. A może sądził, że go unikała? Zresztą, nie byłaby w stanie znieść kolejnego spotkania. Może los zesłał jej ten deszcz na pomoc?

Jack także jakoś się nie kwapił, by z nią porozmawiać. Może już nigdy tego nie zrobi? Był na wszystkich balach, na których i oni byli w ciągu ostatnich dni. Widziała go z daleka, nie podszedł bowiem do niej. Raz tylko, kiedy mijała go, spacerując z jednym z wielbicieli, ich oczy się spotkały, ale Jack skinął obojętnie głową. Odpowiedziała mu tym samym, lecz serce pękało jej z bólu.

Zamknęła oczy i starała się znaleźć ukojenie w jednostajnym kołysaniu powozu. Postąpiła słusznie - wciąż sobie to powtórzała. Uroniła wprawdzie kilka łez, lecz dyskretnie, z dala od czujnych oczu Lucilli. Próbowwała stłumić ból, tak by nikt nie mógł się domyślić, co działo się w jej duszy.

Lękiem napawała ją myśl, że Jack mógł przyjąć zaproszenie Lucilli do Little Bickmanstead. Lista gości liczyła około trzyestu osób zaproszonych na kilkudniowy odpoczynek w starym domostwie niedaleko Epping Forest. Nie, pomyślała, Jack na pewno nie przyjedzie, nie teraz. Sophie westchnęła, ale było westchnienie nie ulgi, lecz żalu.



Powóz podskoczył na wybojach, rzucając Clariссę niemal na jej kolana. Wprostowały się obie i popatrzyły na Lucillę siedzącą naprzeciw, obok swojej garderobianej, Mimms. Sophie zauważyła, że ciotka wygląda niezbyt dobrze. Lekki rumieniec zdobił jej alabastrowe policzki, a oczy lśniły niezdrowym blaskiem.

Przytykając do twarzy koronkową chusteczkę, Lucilla pociągnęła dyskretnie nosem.

- Przy okazji, Clarisso, jest jeszcze coś, co chciałam ci już wcześniej powiedzieć. Bardzo proszę, żebyś nie ośmielała tego gwardzisty, kapitana Gurnarda. - Lucilla zmarszczyła nos. - Wbrew pozorom odnoszę wrażenie, że on nie jest tym, za kogo chciałby uchodzić.

- Nie obawiaj się, mamó. - Clarissa uśmiechnęła się radośnie. - Nie mam zamiaru ulegać życzeniom kapitana. Zgadza się z tobą, że to nie jest to.

Lucilla spojrzała z ukosa na córkę, a potem, już spokojna, wytarła nos i oparła się wygodnie o poduszki.

Clarissa nie przestawała się uśmiechać. Była dobrej myśli, a jej plany miały szansę się spełnić, choć nie tak szybko, jak by tego chciała. Ned absolutnie nie chciał upodobnić się do żadnego z jej wielbicieli, jak również nie zamierzał czołgać się u jej stóp, lecz mimo iż czuła się lekko dotknięta takim zachowaniem, gotowa była przyjąć od niego deklarację dozgonnej miłości oraz przyszłego szczęścia. Problem polegał na tym, jak do tego doprowadzić.

Clarissa miała nadzieję, że kilka dni w spokojnej, rodzinnej atmosferze popchnie do przodu jej sprawę.

Powóz zakręcił. Sophie wyjrzała przez okno i zobaczyła imponującą bramę, a zaraz potem chrzest żwiru obwieścił, że wjechali na teren posiadłości. Dom stał na końcu alei, otoczony starymi bukami.

Kiedy podjechali bliżej, Sophie zobaczyła długi, dwupiętrowy

budynek charakteryzujący się architektonicznym eklektyzmem. Jedno było jasne - umieszczenie czterdziestu osób w Little 3ickmanstead nie sprawi najmniejszego kłopotu. Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że czterdzieści osób bez trudu zgubi się w tej wielkiej, podupadającej rezydencji.

Kiedy wchodzili do środka, pierwsze krople deszczu zaczęły rozpryskiwać się na kamiennych płytach tarasu. Szybki rzut oka przez ramię wystarczył, by ujrzeć napływające ze wschodu ołowiane chmury. Pozostali członkowie rodziny przyjechali z miasta konno a Horatio strzegł w drodze swoją gromadkę. Minton i reszta służby jechali tuż za nimi. Gdy wreszcie zsiadli z koni i zaczęli wyładowywać bagaże, zapanował niesłychany rozgardiasz, wszyscy bowiem ogromnie się spieszyli, by zdążyć przed burzą.

Cała rodzina zebrała się w holu i zaczęła się rozglądać wokoło. Prostokątny hol był ciemny i dość ponury, a dębowa boazeria i stare tapety pogłębiały jeszcze to wrażenie. Wpuścił ich wiekowy lokaj, a jeszcze starsza ochmistrzyni wyszła im na powitanie.

Kiedy kobieta dygnęła przed Lucillą, pani Webb nagle oparła się o stolik.

- O mój Boże! -jęknęła.

Na widok jej pobladłej twarzy wszystkich ogarnęła trwoga.

- Co ci jest, kochanie? - Horatio podszedł do żony.

- Mamo? - wyrwało się z wielu gardeł.

- Mamusiu, ty jesteś chora! - zawołała mała Hermione, chwytając ją za rękę.

Lucilla zamknęła oczy.

- Obawiam się, że tak - przyznała słabym głosem.

- Nic nie mów - nakazał Horatio. - Oprzyj się o mnie. Musisz się natychmiast położyć do łóżka.

Ochmistrzyni wskazała na górę.

- Przygotowałam wszystkie pokoje, zgodnie z instrukcjami.

Minton już rozpakowywał kufy. Sophie posłała Clarisę przodem, z Mimms i ochmistrzynią, a sama stanęła obok ciotki. Razem z Horatiem pomogli słaniającej się Lucilli wejść na piętro, a potem poprowadzili ją długim, ciemnym korytarzem do wielkiej sypialni. Mimms już tam była i zajęła się wszystkim - łóżko zostało pościelone, na kominku płonął ogień.

Ułożono Lucillę i troskliwie okryto ją kołdrami. Po chwili pani Webb odzyskała nieco kolorów. Otworzyła oczy, spojrzała na wszystkich ze smutkiem, po czym kichnęła.

- To straszne. Wszystko sama zorganizowałam, dwadzieścia siedem osób jest już w drodze. Zjadą tu przed kolacją. A jeżeli rozpada się na dobre, trzeba się będzie nimi zająć przez następne dwa dni.

- O nic się nie martw. - Horatio pogłaskał żonę po ręce, lecz trochę się zasepił. Czekała ich ciężka próba.

- A kto będzie sprawował honory pani domu? - Lucilla zakryła usta chusteczką, tłumiąc bolesny jęk.

- Poradzę sobie - odezwała się Sophie - a wuj Horatio i ciotka Evangelina mi pomogą. W końcu ciocia będzie tu z nami i może mi w każdej chwili służyć radą. Będą też przyzwoitki, bo zaprosiła ciocia kilka starszych dam.

Lucilla nieco się uspokoiła.

- Przypuszczam, że ... - Na moment zapadła cisza, a potem kiwając głową, pani Webb stwierdziła: - Tak, może wszystko się uda. Obawiam się jednak, kochanie - dodała, zatrzymując wzrok na twarzy Sophie - iż to nie będzie takie łatwe.

Zadowolona, że zdołała zapobiec katastrofie, która niechybnie by nastąpiła, gdyby Lucilla się załamała, Sophie uśmiechnęła się ze sztuczną pewnością siebie.

- Zobaczycie ciocia, że sobie poradzimy.

Słowa te musiały chyba być hasłem tegorocznego sezonu. Tak przynajmniej myślała Sophie godzinę później, siedząc w saloniku z listą gości w ręku.

Po upewnieniu się, że Lucilla ma wszystko, co trzeba, Sophie, Clarissa i Horatio poszli przywitać się z ciotką Evangeliną. Panna Winterton nie widziała jej od wielu lat. Czas nie okazał się dla staruszki łaskawy. Co prawda, miała wciąż wiele energii, jednak pamięć zaczynała ją zawodzić. Rozpoznała Horatia, ale jednocześnie uznała, że Clarissa to Lucilla, a Sophie to jej zmarła matka, Maria. W końcu zrezygnowali z prób przekonania Evangeliny, że jest inaczej, i spróbowali wytłumaczyć jej cel swojej wizyty. Nie wiadomo, czy ich zrozumiała, ale dała im wolną rękę we wszystkich poczynaniach.

Mimo to perspektywa obcowania z osobą, która - jak ich pofornie poinformowała ochmistrzyni - miała zwyczaj wędrować po korytarzach o różnych porach dnia i nocy, okutana w staromodne szale, nie wydała im się zbyt nęcąca.

Wiatr wył w kominach i deszcz bębnił o szyby, a potem nagle rozległ się tętent koni. Sophie wstała. Przybyli pierwsi goście Lucili. Poprawiła suknię, pociągnęła za sznur dzwonka i wyszła do holu.

Jako pierwsza stawiała się pani Billingham z obiema córkami. Nim zdążyły dotrzeć do drzwi, zmoczyły suknie do kolan.

- Och, to potworne! Mamo, jestem całkiem przemoczona! - histeryzowała młodsza panna Billingham.

Sama pani Billingham, jeszcze bardziej przemoczona niż jej córki, nie zamierzała ich pocieszać.

- Uspokój się, Lucy. Wszystkie jesteśmy mokre, a na domiar złego, jak słyszałaś, pani Webb się rozchorowała. Zastanawiam się, czy nie powinnyśmy wrócić do miasta.

- Och, mamo, nie! Nie bądź tak okrutna! - zawołała płaczliwie starsza panna Billingham.

- Nie ma potrzeby wracać do miasta - wtrąciła się ze spokojem Sophie. - Wszystko zostało przygotowane, a ja jestem absolutnie pewna, że ciocie byłoby bardzo przykro, gdyby się dowiedziała, że wróciły panie do Londynu z powodu jej niedyspozycji.

- Hmm - chrząknęła pani Billingham. - Skoro jest tutaj twój wuj, a oprócz mnie będą też inne panie, nie widzę niczego niestosownego w tym, żeby zostać.

- Ciocia z pewnością będzie tego samego zdania - odparta ze sztucznym uśmiechem Sophie.

- Wobec tego zostaniemy przynajmniej do rana. - Pani Billingham spojrzała przez okno. - Może do jutra pogoda się poprawi. - Po tych słowach zacna matrona pozwoliła zaprowadzić się do przeznaczonego dla niej pokoju.

Tuż za paniami Billingham zjawił się lord Ainsley, który okazał się na tyle nieroztropny, że przyjechał dwukółką i w efekcie przemókł do suchej nitki. Wprawdzie próbował się uśmiechać, ale utrudniały mu to szcękające zęby.

Sophie ogarniało przerażenie. Oczyma duszy widziała już, jak jej goście, miast się bawić, walczą ze śmiertelną chorobą. Ledwo skończyła wydawać polecenia służbie, żeby grzano wodę na kąpiele i rozpalono ogień we wszystkich pokojach, w progu stanął zziębnięty i mokry lord Annerby.

I tak działo się przez kilka godzin, aż wreszcie na dworze zapadły przedwczesne ciemności.

Belle Chessington oraz jej równie pogodna matka przybył jako jedne z ostatnich.

- Co za niebywałe popołudnie! - zawołała pani Chessington, idąc z uśmiechem ku Sophie i wyciągając ręce.

Po nich wszedł markiz Huntly, następny nieszczęśnik, który zdecydował się sam powozić, i natychmiast zmoczył w holu całą podłogę. Sophie po raz kolejny poinformowała nowo przybyłych o niedyspozycji Lucilli i gorąco zapewniła, że mimo to plany nie uległy zmianie. Horatio wycofał się do salonu, aby podjąć tych dżentelmenów, którzy już zeszli z góry i postanowili się rozgrzać, czekając, aż gong wezwie ich na kolację.

Panie Chessington wraz markizem w naturalny sposób przy-

jęły najświeższe wiadomości. Już miały udać się na górę, kiedy potężne kichnięcie kazało im się odwrócić.

W progu stał pan Somercote, istny obraz nędzy i rozpaczy, a woda stróżkami lała się z klap jego surduta.

- O mój biedaku! - Belle Chessington podbiegła i wciągnęła go do środka.

Miejsce pana Somercote'a natychmiast zajęły panna Ellis oraz jej matka, za którymi pojawili się pan Marston, lord Swindon oraz lord Thurstow. Spośród nich tylko pan Marston miał na sobie gruby płaszcz podróżny i był nieco mniej mokry niż cała reszta. Sophie zostawiła markiza, szarpnęła dwukrotnie sznurem dzwonka, po czym pomogła nowym gościom zdjąć przemoczone okrycia.

Przebiegła w myślach listę zaproszonych i z ulgą stwierdziła, że większość już przyjechała.

Pan Marston zbliżył się do niej, rozpinając płaszcz.

- Co to ma znaczyć, panno Winterton? Gdzie pani ciotka? - zapytał, marszcząc groźnie brwi.

Pytanie zadane tonem reprimendy sprawiło, że wszyscy umilkli. Goście, którzy przybyli jako ostatni, zaczęli się rozglądać za Lucillą. Złorzeczając w duchu na pana Marstona, Sophie wystąpiła do przodu i po raz kolejny zaczęła wszystko wyjaśniać, lecz pan Marston nie dał jej dojść do słowa.

- Co za przykry zbieg okoliczności - przerwał jej już po pierwszym zdaniu. - Cóż, siła wyższa, nie można nic na to poradzić. Musimy natychmiast wracać do miasta. Nie możemy się przecież państwu narzucać, skoro pani Webb jest tak poważnie chora. Poza tym nie należy zapominać o niestosowności tej sytuacji.

Zapadła cisza, a wszystkie oczy zwróciły się na Sophie.

- Panie Marston - odezwała się po chwili - zapewniam pana, że moja ciotka jest tylko przeziębiona. Byłaby bardzo niešťeśliwa, gdyby musiała odwołać to przyjęcie z powodu tak

drobnej niedyspozycji. Poza tym, jest tu wiele pań, a wśród nich moja cioteczna babka oraz pani Chessington. Nie może być mowy o żadnej niestosowności. A teraz - zwróciła się z uśmiechem do pozostałych gości - zapraszam państwa do ich pokojów, gdzie będą się mogli państwo przebrać...

- Najmocniej przepraszam, panno Winterton, ale zmuszony jestem nalegać, żeby pani wezwała wuja. Nie wyobrażam sobie, by to spotkanie mogło się odbyć w takich warunkach. - Pan Marston wyprostował się. - Domagam się natychmiastowej rozmowy z panem Webbem! To sprawa wielkiej wagi!

Zebrani patrzyli na niego ze zdumieniem. Męczącą ciszę przerwał grzmot, po którym mrok rozdarła błyskawica. Od drzwi na podłogę holu padał czarny cień.

Wszyscy spojrzeli na kolejnego przybysza.

- Jak zwykle mylisz się, Marston - odezwał się Jack, wchodząc do środka. - Niedyspozycja pani Webb jest z całą pewnością błaża, jak to już wspomniała panna Sophie. Nasza miła gospodyni nie będzie panu wdzięczna, jeśli zrobi pan z tego poważny problem.

Sophie zadrżała. Nie mogła oderwać wzroku od mężczyzny, zmierzającego ku niej poprzez hol. Fałdy jego peleryny były wprawdzie wilgotne, ale tylko on jeden spośród zaproszonych panów okazał się na tyle rozsądny, żeby przyjechać krytym powozem. Czarny surdut-i spodnie były, jak zawsze, nieskazitelnie eleganckie.

- Dobry wieczór, panno Winterton. - Jack skłonił się szarmancko. - Mam nadzieję, że zastałem panią w dobrym zdrowiu.

Sophie zamarła. Była absolutnie przekonana, że Jack nie przyjedzie, że już nigdy go nie zobaczy, a on tymczasem wyłonił się z ciemności jak czarodziej, zmiatając po drodze wszystkie przeszkody w rodzaju Marstona. Jednak na twarzy Lestera malowała się tylko obojętna uprzejmość, a oczy patrzyły nad wyraz chłodno. Sophie poczuła, że serce ścisną jej się z żalu.

Lester spojrział na pozostałych, znacznie bardziej przemoczonych gości.

- Nie chciałbym pani powstrzymywać od udzielenia pomocy tym nieszczęśnikom. - Czarujący uśmiech sprawił, że jego słowa nie zostały odebrane jako obraza.

Potem delikatnie uściśnął rękę Sophie.

Żachnęła się i cofnęła dłoń.

- Panowie wybaczą - zwróciła się z wyniosłym uśmiechem do Jacka i Marstona - lecz muszę jak najprędzej zaprowadzić gości do ich pokoi.

Nie przestając się uśmiechać, Jack skłonił się lekko, zaś Philip Marston najpierw zawahał się, a potem także skinął głową.

Ze sztucznym spokojem Sophie podeszła do ostatnich gości ciotki. W tej samej chwili Ned wślizgnął się do holu.

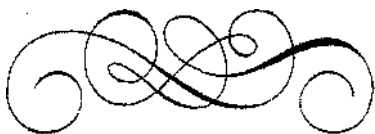
- Mam już zamknąć drzwi? - zapytał z uśmiechem. - Jack był pewny, że przyjedziemy ostatni.

- Proszę. - Sophie skinęła głową.

Pomagając Mintonowi uwolnić lorda Thurstowa od mokrego płaszcza, zastanawiała się, czy Jack Lester umyślnie przybył jako ostatni, żeby zrobić większe wrażenie, czy też jego spóźnione przybycie należało uznać za oznakę niechęci.

Ciężkie drzwi zatrzasnęły się, odcinając ich od posępnego zawodzenia wiatru. Sophie ten głuchy odgłos wydał się podzwonnym nieuchronnego przeznaczenia.





## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zostało jej bardzo mało czasu, żeby się przebrać w wieczorową suknię i przygładzić włosy, bo wkrótce rozległ się gong wzywający na kolację. Posiłek przesuwano już dwukrotnie, by wszyscy goście zdążyli się rozlokować.

Sophie po raz ostatni spojrzała z roztargnieniem w lustro, po czym wyszła z pokoju. Korytarz był długi i ponury, wyłożony wytartym dywanem, a ciemna boazeria pogłębiała jeszcze cienie rzucane przez świece umieszczone we wnękach.

Za zakrętem drogę zastąpiły jej dwie zdeterminowane postacie.

- Możemy zejść na kolację, prawda, Sophie? - zapytał Jeremy, marszcząc groźnie brwi.

- Będziemy się zachowywać przyzwoicie - zapewnił ją George.

- Tu jest tak nudno, Sophie. To nie fair, że musimy jeść na górze z Amy i bliźniakami - powiedział Jeremy z pretensją w głosie.

- Traktują nas jak małe dzieci. - Błękitne oczy George'a spojrzały na nią z wyrzutem.

Sophie westchnęła w duchu. Po męczących doświadczeniach tego popołudnia, z głową zajęta wizją dalszych kłopotów, nie miała już siły zajmować się urażoną dumą kuzynów. Za bardzo ich jednak kochała, aby zlekceważyć ich pretensje. Objęła obu chłopców i serdecznie uściskała.

- Wiem, moi drodzy, ale sami widzicie, że wszystko trochę wymknęło nam się spod kontroli. Chociaż nie jest to oficjalna

kolacja, lecz pewne zasady jednak obowiązują, nie tak jak podczas naszych wieczorów w Webb Park.

- A niby dlaczego? - oburzyli się bracia.

- Jeżeli nie położycie się wcześniej, nie wstaniecie jutro rano, żeby sobie postrzelać.

Sophie drgnęła i na dźwięk znajomego głosu znów dostała gęziej skórki. Z mroku wyłonił się Jack. Obaj chłopcy zwrócili się ku niemu z nadzieją w oczach.

- Będziemy rano strzelać?

- Chce nas pan zabrać z sobą?

- Dlaczego nie, oczywiście - odparł Jack. - Omówiłem już to wcześniej z waszym ojcem. Jeżeli przestanie padać, możemy mieć niezłą zabawę. - Jack spojrzał na Sophie, a potem znowu na rozpromienione twarze chłopców. - Musicie się jednak wcześniej położyć do łóżka, co, niestety, oznacza kolację z młodszymi dziećmi. Jeśli jest to jednak poniżej waszej godności...

- Ależ nie - zapewnił go żarliwie Jeremy. - Jeżeli to warunek, żebyśmy mogli jutro postrzelać...

George szarpnął go za rękaw.

- Nie zatrzymujmy dłużej Jacka i Sophie. Chodźmy już, bo bliźniaki zjedzą nam wszystkie ciastka.

Bracia, znów w dobrych humorach, oddalili się korytarzem. Sophie odetchnęła z ulgą, a potem spojrzała na Jacka.

- Dziękuję panu, sir.

Patrzył na nią przez chwilę obojętnym wzrokiem, a potem pochylił głowę.

- Nie mówmy o tym, moja droga.

Wskazał na schody i Sophie ruszyła przed siebie. Kiedy tak szli w milczeniu, boleśnie odczuwała jego obecność. Rąbek jej sukni muskał od czasu do czasu jego buty. Jack nawet nie podał jej ramienia.

Zeszli na dół i skierowali się do salonu. Minton uwijał się w holu.

- Mogę prosić panienkę na słówko?

Sophie domyśliła się, że czekają ją nowe problemy.

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się do Jacka i podeszła do Mintona. - Co się stało?

- Chodzi o lokaja. To znaczy... tu nie ma żadnego. - Minton spojrzał przepraszająco na Sophie, po czym ciągnął dalej: - Starsza pani nie widzi takiej potrzeby, a pani Webb nie pomyślała o tym, żeby zabrać jeszcze kogoś. Nawet jeżeli weźmiemy starego Smithersa, to znaczy służącego starszej pani, będzie nas tylko dwóch, tak więc obsługa będzie dość powolna. Naughton. Służący pana Webba, mówi, że może pomóc, ale i tak...

Minton nie musiał kończyć. Sophie zaczęła się zastanawiać, jakie jeszcze niespodzianki czekają ją tego wieczora. Skąd ma wynaleźć lokajów, którzy będą obsługiwać gości przy kolacji?

- Obawiam się, że stangret.

- Wolałbym już pokojówki - wtrącił Minton - ale sama panienka wie, jak to będzie wyglądało, kiedy kobiety będą podawały do stołu.

Sophie mogła to sobie bez trudu wyobrazić i westchnęła, zrezygnowana.

- Mogę coś zaproponować? - odezwał się Jack.

Sophie odwróciła się. Lester szedł ku nim, patrząc na nią z obojętną uprzejmością.

- Przypadkiem wszystko usłyszałem - zwrócił się do Mintona. - Proponuję, żeby poprosić o pomoc mojego służącego, Pinkertona. Huntly, Ainsley i Annerby także mają dobrze wyszkolonych służących. Za resztę nie mogę ręczyć, ale Pinkerton będzie wszystko wiedział.

Minton od razu się rozchmurzył.

- Bardzo panu dziękuję, zaraz to zrobię. A panienka może się już nie obawiać, wszystko pójdzie dobrze. - Po tych słowach Minton pospiesznie się oddalił.

Sophie odetchnęła z ulgą, mimo iż przeczuwała dalsze kłopoty. Podniosła oczy na Jacka.

- Znowu muszę panu podziękować, sir. Takie rozwiązanie nigdy by mi nie przyszło do głowy. Mam nadzieję, że to się uda - zakończyła, marszcząc lekko brwi.

Jack patrzył na nią z kamienną twarzą.

- Proszę się nie martwić, takie rozwiązania nie są czymś rzadkim. Na pewno nie będzie żadnych uwag na ten temat.

Sophie rzuciła mu spojrzenie zza długich rzęs.

- Dziękuję - mruknęła z bladym uśmiechem,

Dłoń Jacka ujęła klamkę drzwi do salonu.

- Proszę przodem, panno Winterton.

Wkroczyli do salonu. Większość osób zesza już na dół. Sophie przeszła pomiędzy gośćmi, żeby się upewnić, czy niczego im nie brakuje. Prawie wszyscy zdążyli już się rozgrzać po podróży i odzyskali dobry humor. Tylko pani Billingham i panna Ellis, delikatna osóbką, zamówiły tace do pokojów. Clarissa zgromadziła wokół siebie swoich wielbicieli, w tym również Neda. Wciągnęła do kółka także inne młodsze panny, a ich nieśmiały śmiech stanowił miły kontrpunkt dla bardziej poważnych rozmów. Wuj z panami prowadził ożywioną dyskusję na temat okolicznych terenów łowieckich.

Cioteczna babka Evangelina sama w sobie stanowiła dodatkową atrakcję. Zjawiła się na dole, okutana w szale, żeby obejrzeć gości, którzy najechali jej dom. Nadal zwracała się do Clarissy per Lucilla, a Sophie nazywała Marią, lecz poza tym gawędziła wesoło z paniami i była w jak najlepszym humorze.

Kiedy Minton zaanonsował, że podano do stołu, stara dama ścisnęła Sophie za rękę.

- Ja zjem u siebie, w pokoju. Pamiętaj, Mario, że ty tu jesteś panią domu. I miej oko na Lucille, dobrze? - Poklepała ją po rękę z macierzyńskim uśmiechem, po czym wycofała się na górę.

Kolacja, na szczęście, nie przysporzyła Sophie żadnych dodatkowych kłopotów. Służba sprawowała się bez zarzutu i Sophie czuła, że wreszcie zaczyna się odprężyć. Do jadalni poprowadziła gości wsparta na ramieniu markiza Huntly'ego, który zasiadł po jej prawej stronie, zaś lord Ainsley po lewej. Nad stołem rozlegał się gwar radosnych głosów. Goście znali się dość dobrze i wszyscy zamierzali wesoło się bawić. Nieco dalej panna Belle Chessington podjęła wyzwanie pana Somercote'a i niechętnie wykręcała mu ucho. Sophie uśmiechnęła się i spojrzała na Clarisę, która prowadziła bardzo poważną dyskusję z Nedom, lordem Swindonem i panem Marleyem. Jack Lester zabawiał rozmową panią Chessington. Sophie widziała już, jak podał jej ramię w salonie, jeszcze zanim ona sama zdążyła wziąć markiza pod rękę.

Otrząsnęła się z przykrych myśli i z promiennym uśmiechem zwróciła się do markiza:

— Czy zamierza pan jutro zorganizować swoje słynne zawody strzeleckie, milordzie?

Kiedy zebrano ze stołu, Sophie z powrotem poprowadziła panie do salonu. Panowie zostali przy stole, żeby pogawędzić nad szklaneczką porto i wrócili dopiero po godzinie, kiedy wniesiono tace z herbatą.

Podczas gdy całe towarzystwo podzieliło się na mniejsze grupki, Sophie zastanawiała się, jak zabawić gości. Nie miała dość czasu, by zorganizować konkursy, które stanowiły nieodłączną część przyjęć wydawanych w wiejskich rezydencjach. Właśnie głowiła się nad tym, gdy Ned przystanął przy jej krześle.

- Pomyśleliśmy sobie, że można by się zabawić w zagadki. Jack uważa, że to będzie bardzo dobre dla młodzieży.

Sophie uśmiechnęła się z ulgą.

- Ależ, oczywiście, to świetny pomysł.

Ned i Clarissa zebrali młodzież, zwalniając miejsce w salonie i starsze panie natychmiast przestały sprawiać wrażenie zartroskanych. Sophie podniosła się i zobaczyła nadchodzącego wuja.

- Świetnie się spisujesz, kochanie. - Horatio z promiennym uśmiechem ujął ją za rękę. - Lester zabrał lorda Huntly'ego, Ainsleya i Annerby'ego do sali bilardowej. Ja muszę jeszcze porozmawiać z Marstonem. - Rozejrzał się po pokoju. - Pozostałych, niestety, zostawiam tobie, ale jestem pewny, że sobie poradzisz.

Sophie też była tego pewna, zwłaszcza że wuj uwalniał ją od pana Marstona. Belle Chessington nie zamierzała wypuszczać spod swoich skrzydeł pana Somercote'a, a to oznaczało, że Sophie nie musiała poświęcić uwagi już tylko panu Chartwellowi, panie Billingham oraz kilku wyraźnie zadowolonym matronom.

- Ma wuj rację - przyznała z uśmiechem. - Zdaje się, że świetnie sobie poradziliśmy.

- O, tak. Twoja ciotka będzie zachwycona.

Gdy nazajutrz rano Sophie się obudziła, z ulgą stwierdziła, że przestało padać. Poranek był wprawdzie wilgotny, ale na tyle ciepły że zawody strzeleckie mogły dojść do skutku. Kiedy panie zeszły na dół na śniadanie, panowie już wyszli. Nawet pan Marston skorzystał z okazji, żeby rozprostować nogi.

Po śniadaniu panie udały się na spacer po ogrodach, natomiast Sophie wróciła na górę, aby sprawdzić, co robi Amy i bliźniaki. Znalazła dzieci na strychu, bo niańka, która od lat była w rodzinie Webbów, wpadła na pomysł, by pobawiły się w tym w miarę bezpiecznym miejscu. Cała trójka budowała zamek, który zamierzali później zburzyć. Towarzyszyła im ciotka

Evangelina. Sophie zostawiła ich przy tej zabawie i poszła zajrzeć do lady Webb. Lucilla spała. Mimms zapewniła ją, że pani Webb czuje się już trochę lepiej, ale wciąż jest bardzo osłabiona.

Panowie wrócili na obiad, podczas którego omawiali zawody strzeleckie, a panie uśmiechały się wyrozumiale, słuchając o ptakach trafionych w locie lub zwierzyńie upolowanej z ukrycia.

Przysłuchując się rozmowom przy stole, Sophie po raz kolejny pomyślała z podziwem o talentach ciotki. Lucilla doskonale dobrała gości. Wszyscy bawili się świetnie, mimo obecności tak humorzastych osób jak pan Marston czy pan Somercote

Niestety, pod koniec obiadu znowu lunął deszcz, a niebo zasnuły ołowiane chmury. W niemym porozumieniu panowie udali się do biblioteki lub sali bilardowej. Panie zajęły oba saloniki, gdzie zasiadły małymi grupkami w wygodnych fotelach, żeby porozmawiać, albo spacerowały po przylegającej do salonu oranżerii.

Widząc, że wszyscy goście znaleźli sobie jakieś zajęcie. Sophie udała się do kuchni, by wydać dyspozycje kucharzowi. W suterenie natknęła się na wielkie zgromadzenie. Byli tam wiekowi służący ciotki Evangeliny oraz pokojówki, stangreci i lokaje gości. W doskonałych humorach tłoczyli się wokół olbrzymiego paleniska. Rozpromieniony Minton natychmiast zapewnił pannę Winterton, że wszystko idzie jak z płatka.

Po wypełnieniu swoich obowiązków Sophie wróciła na górę i uznała, że może mieć wreszcie trochę czasu dla siebie. Zdumiewającym odkryciem okazała się oranżeria - naprawdę imponująca. Rosły w niej olbrzymie paprocie, a także kwitnące pnącza najrozmaitszych gatunków, jakich Sophie nigdy nie widziała. Przedtem zdążyła tylko zerknąć do środka, więc teraz otworzyła szklane drzwi i ruszyła pierwszą alejką, wiedząc, że ma pół godziny spokoju.

Gdy otoczyła ją zieleń, Sophie zamknęła oczy i nabrała w płuca powietrza. Zapachy wilgotnej ziemi, liści oraz egzotycznych kwiatów tworzyły upajającą kompozycję. Uśmiech wypłynął na jej usta.

- Ach, tu pani jest, panno Winterton.

Sophie otworzyła oczy i uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy. Zzymając się w duchu z bezsilnej złości, odwróciła się i zobaczyła pana Marstona, który zmierzał ku niej, jak zwykle z marsem na czole.

- Doprawdy, panno Winterton, nie potrafię wyrazić słowami dezaprobaty na widok pani w takim miejscu!

Sophie zdumiała się.

- A dlaczegoż to? - zapytała, unosząc brwi.

Pan Marston zatrzymał się. Przed oczyma miała teraz jego nad wyraz surowe oblicze.

- Nie rozumiem, jak pani wuj może wziąć to wszystko na swoje sumienie. Od pierwszej chwili wiedziałem, że decyzja, by dalej ciągnąć to spotkanie, jest ze wszech miar nierozsądna. Co za horrendalna głupota!

Sophie wyprostowała się dumnie i popatrzyła mu w oczy.

- Przykro mi, panie Marston, ale nie mogę do tego dopuścić, żeby w mojej obecności obrażał pan mojego wuja, który zastępuje mi ojca. Prawdę mówiąc, nie rozumiem pańskiego wyводу.

Pan Marston zdołał się w końcu opanować.

- Chcę pani powiedzieć, panno Winterton - oświadczył tonem najwyższej nagany - że jestem wstrząśnięty, widząc panią - młodą, szlachetną damę o doskonałych manierach - w tym właśnie miejscu. - Zakreślił ręką koło. - Pozbawioną opieki, tutaj, gdzie każdy dżentelmen może panią zaskoczyć.

Sophie poczuła, że jej cierpliwość jest już na wyczerpaniu.

- Panie Marston, zwracam panu uwagę, że jestem w domu



mojej ciotecznej babki, a w pobliżu jest nie tylko służba, ale także otaczają mnie ludzie, których uważam za swoich przyjaciół. To raczej nie to samo, co spacerować bez opieki po alejkach Covent Garden.

Pan Marston zmrugał oczy, a usta zacisnął.

- Jest pani w błędzie, panno Winterton. Żadna młoda panna nie może ryzykować utraty swojej reputacji poprzez...

- Wiesz co, Marston, nie musisz zanudzać na śmierć panny Winterton, recytując jej urywki z „Poradnika młodych panien”. Ona zna go na pamięć. - Jack wyłonił się zza gęstwiny pnączy. Twarz miał niewzruszoną, ale w jego oczach zapaliły się groźne błyski.

Sophie ogarnęły mieszane uczucia - ulgi, zdenerwowania, gniewu. Na moment zakręciło jej się w głowie. Odwróciła się do pana Marstona.

- Pan Lester ma rację. Zapewniam pana, że nie potrzebuję wykładów na ten temat.

Powiedziała to spokojnym tonem, dając Marstonowi szansę na godny odwrót, on jednak nie zamierzał z niej skorzystać. Patrzył wciąż złym wzrokiem na Lestera, który z kolei spoglądał na Sophie.

Dałaby wiele za uśmiech Jacka, lecz on tylko skłonił się uprzejmie i podał jej ramię.

- Przyszedłem po panią, moja droga. Właśnie podano herbatę.

Sophie położyła rękę na jego rękawie.

- To śmieszne! - parsknął pogardliwie Phillip Marston. Pobierać lekcje dobrych manier od... - Urwał, gdy napotkał zimny wzrok Jacka.

- Mówił pan coś, Marston?

To spokojne pytanie jeszcze bardziej rozjuszyło nieszczęsnego adoratora.

- Nic, nic! - syknął. - Pani wybaczy, panno Winterton, ale nie jestem w nastroju na herbatę. - Skłonił się, odwrócił na pięcie i odmaszerował.

Sophie głośno odetchnęła.

- Raz jeszcze panu dziękuję. Muszę także przeprosić za pana Marstona. Wydaje mi się, że on po prostu błędnie rozumuje.

- Nie ma potrzeby przeproszać, moja droga. Nie widzę w zachowaniu Marstona złej woli. Prawdę mówiąc, doskonale go rozumiem i wiem, co on czuje.

Sophie zasepiła się, lecz na razie nie mogła zastanawiać się nad znaczeniem tych słów. Czekała na nią herbata oraz tłum gości.

Kolejny ranek powitał Sophie bladym słońcem i jasnoblękitnym niebem. Wsparta wygodnie na poduszkach pomyślała, że czuje się znacznie lepiej niż poprzedniego dnia.

Ostatni wieczór przeszedł dość gładko. Podobnie zresztą jak pierwszy. Pewien problem stanowiło tylko zachowanie jej wielbicieli, którzy znów zaczęli się do niej zalecać. Zirykowała ją również panna Billingham, która wręcz narzucała się Jackowi.

Sophie skrzywiła się, mrużąc oczy, zaraz jednak się otrząsnęła i postanowiła wstać, by powitać nowy dzień.

Schodząc na dół, zajrzała do Lucilli. Ciotka siedziała w łóżku, popijając kakao.

- Strasznie bym chciała zobaczyć, jak wam idzie, ale ciągle jeszcze jestem osłabiona - westchnęła. - Może wieczorem spróbuję.

- Zostaniesz w łóżku, póki całkiem nie wydobrejesz - zdecydował Horatio, który właśnie wszedł do sypialni, niosąc tacę ze śniadaniem.

Sophie zostawiła ciotkę pod czułą opieką męża i zeszła do jadalni, a tam już czyhali jej wielbicieli.

- Ta zapiekanka jest wyśmienita - odezwał się markiz. - Naprawdę wyśmienita.

- A może jajka na bekonie, panno Winterton? - Pan Charwell uniósł srebrną pokrywkę i spojrzał pytającym wzrokiem na Sophie.

Dziewczyna uśmiechnęła się do wszystkich, po czym usiadła pomiędzy panem Somercote'em pograżonym w rozmowie z Belle Chessington, a panią Chessington która przysłuchiwała się temu z wyrozumiałym uśmiechem.

Nieco dalej Jack zabawiał rozmową panią Ellis i jej córkę. Obok niego Ned gawędził z Clarissą, a lord Swindon i pan Marley bezwstydnie ich podsłuchiwali. Widząc minę kuzynki, Sophie uśmiechnęła się do siebie.

Po jakimś czasie wymknęła się z jadalni pod pretekstem, że musi sprawdzić, co robią młodsze dzieci. Jeremy i George bardzo się zmęczyli poprzedniego dnia, tak że bez protestów zjedli kolację z Amy i bliźniakami. Kiedy weszła do dzieciennego pokoju, powitała ją nienaturalna cisza. Gdy wreszcie udało jej się znaleźć niańkę, ta wyjaśniła, że dzieci zostały zabrane na dłuższą przejażdżkę i nieprędko wrócą. Sophie odetchnęła z ulgą, po czym zeszła na dół, gdzie znów opadli ją wielbiciele.

- Moja droga panno Winterton - markiz objął prowadzenie - czy nie interesowałaby pani przechadzka po ogrodach? Słyszałem, że w rozarium zakwitły już wczesne odmiany.

- A może wolałaby pani spacer wokół stawu? - Pan Charwell spiorunował wzrokiem markiza.

- Proponowałbym obejść brzozy zagajnik - podsunął lord Ainsley - i obejrzeć tę dziwną budowlę, którą widać z okien na piętrze.

Tylko pan Marston, z marsowym obliczem, milczał.

Sophie miała ochotę zamknąć oczy i zdać się na interwencje sił nadprzyrodzonych. Zamiast tego uśmiechnęła się i taktownie zaproponowała:

- Dlaczego nie mielibyśmy pójść razem? Ogrody nie są

w końcu aż tak rozległe. Zdażymy przed obiadem obejrzeć i rozarium, i jezioro, i tajemniczą budowlę za brzoźowym laskiem.

Panowie, rzecz jasna, nie byli zachwyceni, ale nie mieli wyboru. A Sophie pomyślała, że wprawdzie przez następne dwie godziny będzie musiała brać udział w nudnej rozmowie, ale za to odetchnie trochę świeżym powietrzem.

Wędrując po trawnikach i alejkach, coraz to napotykali grupki innych gości oddających się temu samemu zajęciu. Kłaniali się sobie z uśmiechem, wymieniając informacje o miejscach godnych obejrzenia, po czym kontynuowali przechadzkę. Sophie ujrzała w oddali postawną sylwetkę Jacka Lestera, który przechadzał się z paniami Ellis i Doyle. Żadna z nich nie zabrała z sobą córki, towarzyszyła im za to starsza panna Billingham. Dziewczyna miała na sobie okropną, zdaniem Sophie, suknię w brązowe pasy oraz czepek, spod którego rzucała powłóczyście spojrzenia na Jacka. Zirytowana Sophie odwróciła wzrok. Jej własna seledynowa suknia wydała jej się znacznie bardziej twarzowa, a poza tym nigdy w życiu nie odważyłaby się patrzeć w taki sposób na jakiegokolwiek mężczyznę - a zwłaszcza na Jacka Lestera.

- Mglisty dziś poranek - zwróciła się do swoich wielbicieli, którzy skwapliwie przytaknęli, po czym przez następne pięć minut rozmawiali o pogodzie.

Mimo to miły nastrój opuścił Sophie i nic nie było w stanie go przywrócić, nawet dość komiczny widok wielbicieli spierających się o to, który dostąpi zaszczytu poprowadzenia jej po schodach. Podczas obiadu siedziała z przyklejonym do twarzy sztucznym uśmiechem, ale gdy tylko posiłek dobiegł końca, a goście chwilowo jej nie potrzebowali, dyskretnie wycofała się z salonu.

Narzuciła lekki płaszcz, wzięła koszyczek z haftem i przez tarasowe drzwi wymknęła się do ogrodu.

W altanie za brzozowym zagajnikiem miotał się Jack ponury jak chmura gradowa. Sam już nie wiedział, co robi w Little Bickmanstead. Uciekł tu przed zakusami panny Biłlingham, która żywiła absurdalne przekonanie, że Lester zamierza poprosić ją o rękę.

Na samą myśl o tym włosy jeżyły mu się na głowie, lecz uparta panna Biłlingham nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

Była jeszcze inna kobieta, która go prześladowała, zmuszając do podjęcia decyzji. A czas naglił. Wielbiciele Sophie z dnia na dzień stawali się coraz bardziej zdeterminowani i choć widać było, że żaden z nich nie zdołał zdobyć jej względów, to przecież Sophie otwarcie przyznała, że interesują ją wyłącznie pieniądze - a pod tym względem każdy z nich miał bardzo wiele do zaoferowania. To, którego z nich zaakceptuje, pozostawało już tylko kwestią czasu.

Z głębokim westchnieniem Jack przystanął przed jednym z łukowatych okien, oparł się o parapet i nie widzącym wzrokiem zapatrzył się w dal. Nadal pragnął Sophie - wbrew wszystkiemu i wszystkim.

Nagle uwagę jego przykuła jakaś sylwetka. Na krętej ścieżce prowadzącej do altany pojawiła się panna Winterton.

Jack uśmiechnął się z zadowoleniem. Chyba po raz pierwszy od wielu dni Fortuna znowu raczyła spojrzeć nań łaskawszym okiem.

A potem zobaczył sztywną postać, zmierzającą tropem Sophie. Zerknął w lewo, gdzie zaczynała się druga ścieżka, ale myśl, że miałby zostawić dziewczynę na pastwę Marstona, wydała mu się nie do przyjęcia. A poza tym Horatio zaraz po obiedzie musiał wyjechać do Southampton i w tej sytuacji Jack, nieco uzurpatorsko co prawda, uznał, że to na niego spada obowiązek opieki nad Sophie.

Rozejrzał się wokoło i spostrzegł wąskie drzwi w tylnej ścianie

altany. Otworzył je. Z tyłu znajdowało się małe, ciemne pomieszczenie, w którym przechowywano młotki do krokieta, piłki i bramki. Jack odsunął je na bok i ukrył się w cieniu, za drzwiami, skąd mógł nie zauważony obserwować wnętrze altany.

Sophie weszła po schodkach i z westchnieniem ulgi postawiła koszyczek na stoliku. Już miała się odwrócić, żeby podziwiać panoramę przez jedno z łukowatych okien, gdy na schodach rozległy się czyjeś kroki.

- Panno Winterton!

Grymas, wyrażający złość i zniecierpliwienie, wykrzywił na moment twarz dziewczyny, gdy jednak odwróciła się do pana Marstona, na jej twarzy malowała się chłodna uprzejmość.

- Słucham, panie Marston?

- Muszę kategorycznie zaprotestować, panno Winterton. Zdecydowanie nie pochwalam pani obyczaju, żeby się wciąż wymykać bez opieki.

- Sądziłam, że nie jestem już dzieckiem, sir.

- Oczywiście, że nie. - Zmarszczki na czole Marstona jeszcze bardziej się pogłębiły. - Jest pani jednak dość atrakcyjną młodą damą i powinna pani o tym pamiętać, zwłaszcza gdy w pobliżu kręcą się ludzie pokroju pana Lestera.

- Wypraszam sobie wszelkie uwagi pod adresem gości mojej ciotki. Proszę zostawić ich w spokoju - chłodno stwierdziła Sophie.

Uparty stróż moralności z wyższością skinął głową.

- W rzeczy samej, zgadzam się z panią, moja droga. Niczego innego bardziej nie pragnę, niż zostawić ich w spokoju i dlatego właśnie udałem się na poszukiwanie pani.

Sophie poczuła, że ogarnia ją uczucie beznadziei. Gorączkowo szukała jakichś słów, lecz nic nie przychodziło jej do głowy.

Tymczasem pan Marston z założonymi z tyłu rękami i wzrokiem utkwionym w kamiennej posadzce zaczął krążyć po altanie.

- Jak już pani wiadomo, miałem mocno mieszane uczucia co do tej wycieczki, jak również nie popierałem pomysłu pani ciotki, żeby wywozić panią do miasta. To nie było konieczne. Nie musiała pani przyjeżdżać aż do Londynu, żeby wybrać odpowiedniego kandydata.

Sophie czuła, że za chwilę ogarnie ją szaleństwo i gotowa jest popełnić coś strasznego.

- Nie będę już więcej wypowiadał się na temat braku rozsądku pani ciotki. - Phillip Marston wyduł usta. - Postanowiłem zwrócić się do pani wujostwa z prośbą o wstawiennictwo, bym mógł zabrać panią z sobą do Leicestershire. Tam możemy wziąć ślub. Mam podstawy sądzić, iż znam panią na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie będzie pani chciała hucznego wesela. Taka rozrzutność dobra jest może dla miejskiej elity, ale jej tam nie będzie. Moja matka, rzecz jasna, w pełni popiera...

- Panie Marston! - Sophie miała już tego naprawdę dość. - Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek dawała panu nadzieję, ale jeśli tak było, to najmocniej przepraszam, lecz zrobiłam to przez nieuwagę.

Pan Marston osłupiał i dopiero po chwili zrozumiał sens słów Sophie. Zasepił się i spojrzał na nią bardziej niż zwykle surowym wzrokiem.

- Ehem!

Sophie i jej odrzucony adorator odwrócili się, zaskoczeni. Na schodkach do altany ukazali się markiz oraz pan Chartwell. Dziewczyna popatrzyła na nich bez słowa, a potem wolnym krokiem podeszła do stolika, jakby chciała oddalić się od najbardziej zawziętych wielbicieli.

- Emm... właśnie przechodziliśmy tędy i przypadkiem wszystko usłyszeliśmy - wyjaśnił Huntly z przeproszącą miną. - Wtedy zrozumiałem, że muszę natychmiast zainterwenio-

wać. Nie musi pani wcale wychodzić za Marstona. Będę szczęśliwy, jeśli to mnie zechce pani oddać swoją rękę.

- Prawdę mówiąc - wtrącił się pan Chartwell, gromiąc wzrokiem markiza - miałem nadzieję, że uda mi się później porozmawiać z panią. I to na osobności. Skoro jednak sprawy mają się tak, a nie inaczej, pozwolę sobie również złożyć moją propozycję.

Sophie wydało się, że słyszy ciche parsknięcie, ale nim zdołała domyślić się, z czyich wyszło ust, głos zabrał pan Marston.

- Panno Winterton, będzie pani znacznie szczęśliwsza, mieszkając w pobliżu rodziny, w Leicestershire.

- Nonsens! - wykrzyknął Huntly, zwracając na rywala rozpłomieniony wzrok. - W dzisiejszych czasach podróże nie stanowią już problemu. Poza tym, czemu panna Winterton miałaby się zadowolić małym domkiem na wsi, gdy może mieć do dyspozycji olbrzymią rezydencję?

- Chartwell House to także okazały pałac, panno Winterton. Ma pięćdziesiąt pokoi! I, oczywiście, dałbym pani wolną rękę, jeśli chodzi o przemeblowanie. Zarówno na wsi, jak i w mojej londyńskiej rezydencji. - Chartwell zdecydowanie przebił wszystkich swoją ofertą.

- Marston Manor - oświadczył pan Marston, spoglądając z gniewem na Huntly'ego i Chartwella - to wystarczająco wygodny dom i panna Winterton dobrze o tym wie. Nie będzie jej niczego brakowało. Moje środki finansowe są przyzwoite, a moje majątki ciągną się przez wiele mil i graniczą z majątkami jej wuja.

- Doprawdy? - odparował markiz. - Może to pana zainteresuje, Marston, że moje włości są znacznie większe, a ponieważ dziedzicę całą ordynację, panna Winterton będzie się miała znacznie lepiej jako moja żona. Nie zapominajmy też o tytule. Tytuł markiza także jest coś wart, prawda?



- Bardzo mało, jeżeli wierzyć plotkom - wtrącił się pan Chartwell. - Obawiam się, że gdybyśmy mieli rozsądzić to na podstawie wartości pieniężnej, to moja propozycja jest najkorzystniejsza.

- Czyżby? - szyderczym tonem zapytał markiz.

- Tak jest! - Pan Chartwell nie miał co do tego wątpliwości.

- Dostyc tego! - Na dźwięk głosu Sophie cała trójka zwróciła się w jej stronę. Drżąc z ledwo skrywanej furii, zmierzyła ich płonącym spojrzeniem. - Budzicie we mnie wstręt! Wszyscy trzej! Jak macie czelność przypuszczać, że znacie moje myśli, uczucia i oczekiwania? A przede wszystkim jak śmiecie komentować je w taki sposób?!

Na to pytanie nie padła żadna odpowiedź. Trzej panowie poczuli się wyjątkowo niezręcznie. Sophie podeszła bliżej, nakazując im wzrokiem milczenie.

- Nigdy w życiu nikt tak mnie nie obraził! Czy panowie naprawdę wierzą, że mogłabym poślubić mężczyznę mającego mnie za jedną z tych kobiet, które to wychodzą za mąż dla pieniędzy? - Sophie gniewnie zaszeleściła spódnicami. - Dla majątku i zaszczytów? - Każdym słowem śmigała ich jak batem. - Popatrzcie na moją ciotkę! Ona wyszła za mąż z miłości, a w małżeństwie znalazła szczęście i sukcesy. Moja matka także wyszła za mąż wyłącznie z miłości. Moja kuzynka Clarissa także odda swoją rękę człowiekowi, którego pokocha. W mojej rodzinie wszystkie kobiety wychodziły za mąż z miłości. A ja nie jestem inna! - Zamrugała, czując pod powiekami wzbierające łzy, lecz jeszcze nie rozprawiła się ze swoimi wielbicielami. - Będę z panami szczerą, tak jak panowie byli ze mną szczerzy. Nie kocham żadnego z was, za żadnego z was nie wyjdę. Nie ma sensu nalegać, bo zdania nie zmienię. Chyba wyraziłam się jasno?

Ostatnie pytanie zadała wyniosłym tonem, zupełnie jak Lu-

cilia. Z dumnie uniesioną głową spojrzała z góry na trzech nie-  
szczęśników.

Milczeli, skruszeni, tylko Marston, jak zwykle, zapragnął  
mieć ostatnie słowo. Choć równie poruszony jak tamci, musiał  
podkreślić swoją przewagę.

- To zrozumiałe, że jest pani wzburzona, moja droga. Co za  
niewybaczalny nietakt z naszej strony, aby zmuszać panią, by  
była świadkiem takiej rozmowy.

- To rzeczywiście niewybaczalne, nietaktowne i niegrzecz-  
ne - potwierdziła Sophie.

Pan Chartwell wraz z markizem zaczęli się powoli wycofy-  
wać, rzucając jej przepraszające spojrzenia, natomiast pan Mar-  
ston poczuł przypływ odwagi.

- Pomimo wszystko radzę pani cofnąć te wypowiedziane  
pospiesznie słowa. Pani nie zdążyła się nawet zastanowić. Tacy  
jak my nie żenią się z miłości, jest to bowiem przywilej plebsu.  
Nie mogę sobie wręcz wyobrazić.

- Panie Marston! - Sophie wzniosła błagalny wzrok do nieba.  
- Nie słuchał mnie pan dość uważnie. Nie dbam o to, co ludzie  
pomyślą o moim pragnieniu miłości. Może nie jestem konwencjo-  
nalna, ale śmiem zauważyć, że w dzisiejszych czasach jest to bar-  
dzo w modzie. A ja jestem niewolnicą mody. Może się to panu wy-  
dać nie do przyjęcia, ale tak jest. A teraz - ciągnęła, żeby nie dać  
im szansy na żadne kontrargumenty - z przykrością muszę stwier-  
dzić, iż jak na jedno popołudnie wystarczająco długo znosiłam to-  
warzystwo panów. Jeżeli chcecie mnie przekonać, że jesteście  
dżentelmenami, za jakich chciałabym was uważać, to bardzo pro-  
szę, zostawcie mnie teraz w spokoju.

- Oczywiście, moja droga.

- Proszę przyjąć moje przeprosiny, panno Winterton.

Markiz i pan Chartwell gotowi byli do odwrotu, tylko pan  
Marston nie dał się zbyć.

- Panno Winterton - powiedział surowym tonem - nie byłoby to w zgodzie z moim sumieniem, gdybym zostawił teraz panią bez opieki.

- Bez opieki?! - Sophie z trudem panowała nad sobą. - Cierpi pan na omamy, panie Marston. Tu, w altanie mojej ciotki, nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. - Spojrzała na markiza i pana Chartwella, a potem na najbardziej upartego i niepożądanego ze swoich wielbicieli. - A poza tym, panie Marston, skoro wyraziłam chęć, by uwolnił mnie pan od swojej obecności, będę się czuła w pełni usprawiedliwiona, prosząc tych tu dżentelmenów, by zechcieli mnie chronić - przed panem!

Jedno spojrzenie na pana Chartwella i markiza wystarczyło, by pan Marston uświadomił sobie, że jego rywale aż pałą się, by wyładować na nim swoje niepowodzenie. Raz jeszcze spojrzał z wyrzutem na Sophie, po czym się skłonił.

- Jak pani sobie życzy, panno Winterton. Mimo to pozwolę sobie porozmawiać z panią później.

Sophie miała ochotę krzyczeć ze złości. Była na nich wściekła. Z dumnie uniesioną głową stała przy stoliku i patrzyła, jak opuszczają altanę. U stóp schodów przystanęli, mierząc się nawzajem niechętnymi spojrzeniami, a potem rozeszli się na trzy strony, by różnymi drogami wrócić do domu.

Sophie patrzyła za nimi, póki nie zniknęli jej oczu, w końcu westchnęła z ulgą. Poczuła, że z wolna opuszcza ją gniew. Otrząsnęła się i nabrała w płuca powietrza. Posiedzi tu sobie jeszcze chwilę, by całkowicie ochłonać.

- Pomyliłaś się, Sophie.

Z cichym okrzykiem odwróciła się i zobaczyła Jacka. Czy zawsze musi ją tak zaskakiwać?! Bezradnie oparła się o stolik.

- Co to znaczy, że się pomyliłam? - Serce tak mocno biło w jej piersi, że z trudem słyszała własne słowa.

- To znaczy - odparł Jack, obchodząc stolik, żeby odciąć jej

drogę odwrotu - że zapewniając Marstona o swoim bezpieczeństwie, pominęłaś jeden istotny aspekt. - Spojrzał Sophie w oczy i uśmiechnął się. - Mnie.

- Jak pan śmie podsłuchiwać moje rozmowy!

Jack nie przestawał się uśmiechać.

- Twoje rozmowy, moja droga, są zawsze bardzo pouczające, lecz tym razem pozostało jedno palące pytanie.

- Jakie? - spytała zmęczonym głosem.

- Cóż to za grę prowadzisz, moja droga?

Nagły błysk w jego oczach zaniepokoił Sophie.

- Jest pan dżentelmenem, sir - powiedziała, uznając, że pora mu o tym przypomnieć.

- Jestem hulaszczym dżentelmenem - odparł Jack. - A to pewna różnica.

Sophie nagle nabrała przekonania, że tak jest istotnie. Z szeroko otwartymi oczyma cofnęła się o krok, a potem cicho krzyknęła, bo Jack jednym ruchem odepchnął dzielący ich stolik.

Zrobił krok w jej stronę, ona znów się cofnęła, ale zaraz poczuła za plecami ścianę, o którą Jack natychmiast oparł się obiema rękami, tak że nie mogła się ruszyć. Przerażona spojrzała mu w twarz.

- Posłuchaj, Sophie...

- Jack... - Bała się powiedzieć coś więcej, bo każde słowo niosło w sobie potencjalne niebezpieczeństwo. Potrzebowała czasu, żeby się zastanowić nad tym, co właśnie usłyszała i co Jack miał nam myśli. Wbiła wzrok w jego krawat, który miała tuż przed oczami. - Jestem trochę rozstrojona. - Była to szczerza prawda. - Jak już słyszałaś, dopiero co odtrąciłam trzech konkurentów. Trzy propozycje. W końcu to nie taki znów drobiazg. Obawiam się, że po tych emocjach jestem rozstrojona.

- No to weź się w garść, moja droga, bo zaraz usłyszysz czwarte oświadczenia.

Chcąc zaprotestować, otworzyła już usta, lecz nie zdążyła, bo Jack przykrył je swoimi wargami. Sophie kurczowo uchwyciła się klap surduta. Lester zawahał się, a potem przyłgnął do niej jeszcze mocniej. Pocałunek sprawił, że zarzuciła mu rękę na szyję, a wtedy objął ją w talii. Całował ją coraz namiętniej, a ona zastanawiała się, jak daleko Jack zechce się posunąć. Po-tem jego dłoń zaczęła wolno pełznąć w górę i zatrzymała się na jej piersi, pieszcząc ją łagodnie.

Sophie próbowała odsunąć się, oswobodzić z jego uścisku, protestować, bo czuła, że tak właśnie powinna postąpić, lecz za-miast tego oddawała pocałunki, pozwalając zmysłom zapano-wać nad rozumem.

Jack przygarnął ją do siebie, a potem wydyszał prosto w jej usta:

- Wyjdiesz za mnie, Sophie?

Całym sercem pragnęła zawołać „tak”, ale powstrzymała się resztką sił. Zarumieniła się i spróbowała przemówić, lecz głos ją zawiódł, więc tylko pokręciła przecząco głową.

Jack zmrużył oczy.

- Nie? Czemu nie? - Nie dał jej żadnych szans na odpowiedź, tylko znowu ją pocałował, równie zaborczo jak przedtem. - Mówiłaś przecież, że wyjdiesz za męża tylko z mi-łości - przypomniał jej, kiedy wreszcie oderwał usta od jej warg. - Przecież jesteś we mnie zakochana, Sophie, a ja wprost szaleję za tobą. Wiemy o tym oboje.

Znowu skłonił głowę i Sophie uświadomiła sobie, jak bardzo był zdenerwowany. Lękając się kolejnych pocałunków, chwyci-ła się pierwszego słowa, jakie przyszło jej na myśl.

- Pieniądze - wyszeptała.

Usta Jacka zatrzymały się o milimetry od jej ust. Cofnął gło-wę i spojrzał jej w oczy, a potem powoli pokręcił głową.

- Tym razem to nie wystarczy, Sophie. Sam słyszałem, jak

mówiłaś tym nieszczęsnym fatygantom, że nigdy nie wyszłabyś za mąż dla pieniędzy. Powiedziałaś to całkiem otwarcie. Oni mieli pieniądze, ale nie twoje serce. A ja mam twoje serce, więc po co mi pieniądze?

- Nie mogę wyjść za ciebie, Jack - szepnęła smutno.

- Dlaczego?

Popatrzyła na niego z rozpaczą.

- Nawet gdybym ci powiedziała, nie zrozumiesz.

- Spróbuj.

Sophie zacisnęła usta i pokręciła głową. Czuła, że ma rację, lecz wiedziała również, iż Lester się z nią nie zgodzi.

Nagle, ku jej zdumieniu, twarz Jacka rozjaśnił łobuzerski uśmiech.

- I tak mi w końcu powiesz.

- Jack! Co ty wyprawiasz?! - Chwyliła go za ręce, zajęte rozpinaniem guziczków przy jej staniku, a on roześmiał się i przyciągnął ją bliżej, tak by nie mogła dosięgnąć jego palców. Po chwili stanik został rozpięty. Szczupłe palce Jacka wślizgnęły się do środka i zacisnęły wokół jej piersi. Pod Sophie ugięły się kolana.

- Sophie... - Jack nachylił się i ich usta znowu się spotkały.

Poczuła nieznany dotąd dreszcz rozkoszy. Zakręciło jej się w głowie.

- Co robisz? - zapytała ledwo słyszalnym szeptem.

- Uwodzę cię - padła odpowiedź.

Sophie poczuła, jak wargi Jacka znaczą rozpalony ślad na jej szyi. Zadrżała, a potem przerażona rozejrzała się wokoło. Ale i tak nie udało jej się wiele zobaczyć zza szerokich ramion Jacka.

- Tutaj? - Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. W altanie nie było żadnych mebli - żadnej sofy, kanapki czy choćby fotela.

Bardziej poczuła, niż usłyszała cichy śmiech.

- A stolik?

Stolik? Wstrząśnięta, spojrzała na mały mebel stojący teraz pod ścianą.

- Nie - powiedziała z niedowierzaniem i spłonęła rumieńcem.

- To całkiem łatwe - mruknął Jack, delikatnie całując płatek jej ucha. - Zaraz ci pokażę.

- Nie! - Tym razem ton był właściwy. Mimo to zamknęła oczy i wtuliła się w ramiona Lestera, a on nie przestawał jej pieścić.

- Powiedz „tak”, moja słodka Sophie - szepnęła jej do ucha - albo podaj mi prawdziwy powód odmowy.

Wiedziała, że mogą być setki powodów, ale do głowy przyszedł jej tylko jeden. Ten, który chciałby usłyszeć. Otworzyła oczy i wzrokiem poszukała jego twarzy. Spróbowała zgromić go spojrzeniem, ale palce Jacka poruszyły się pod jej koszulką i mogła już tylko z jękiem zaczerpnąć tchu. Nie miała odwagi odpowiedzieć blefem na blef. A zresztą, Jack pewnie wcale nie blefował.

- Dobrze - powiedziała, a jego palce zamarły. - Mówiłam ci, że nie jestem bogata. Dostanę tylko to, co kiedyś odziedziczę po ojcu. I nic więcej - podkreśliła.

- A ja ci mówiłem, że to nie ma znaczenia.

- Przeciwnie. Mamy takie same marzenia - mówiła dalej z żarliwym przekonaniem - dom, rodzina, praca na wsi, lecz twoje marzenia pozostaną tylko marzeniami, jeżeli odpowiednio się nie ożenisz. Przecież dobrze o tym wiesz.

- Winien ci jestem przeprosiny. Dawno powinienem ci o tym powiedzieć. - Jack musnął ustami jej skroń i przytulił Sophie.

Odepchnęła go lekko i spojrzała mu w twarz.

- O czym?

- Że jestem nieprzyzwoicie bogaty.

- Jack - szepnęła przez ściśnięte gardło. - Przestań! - A potem ukryła twarz na jego piersi.

Teraz z kolei Jack odsunął ją i zmarszczył brwi.

- Co mam przestać?
- Przestań kłamać - wymruczała w jego surdut.
- Sophie, kochana, ależ ja nie kłamię!

Popatrzyła na niego poprzez łyzy, a jej usta uśmiechały się boleśnie.

- Po co kłamać, Jack, przecież oboje znamy prawdę. Potrzebujesz posażnej żony, by przywrócić dawną świetność swojej rodzinie i zabezpieczyć braci.

- Nie, to nieprawda. Przysięgam ci, Sophie, że jestem bogaty. - A widząc jej wzrok pełen niedowierzania, dodał: - Zapytaj ciotkę. Albo nie, zapytaj Horatia. Mam nadzieję, że mu uwierzysz, kiedy opowie ci o moich finansach.

Sophie zmarszczyła brwi. Znała Horatia jako człowieka bezwzględnie prawdomównego, który nie byłby zdolny do kłamstwa nawet w imię miłości.

- Przecież mój wuj dopiero co wyjechał. Nie wiemy nawet, kiedy wróci.

Lester zaklął soczyście. Rozważył możliwe wyjścia, ale jedynymi osobami, które wiedziały o nagłej, szczęśliwej odmianie losu, byli członkowie jego rodziny i nieliczni przyjaciele. A im Sophie z całą pewnością by nie uwierzyła.

- Dobrze - powiedział surowym tonem. - Zatem poczekamy, aż wróci.

Skinęła głową, choć w jej myślach panował zamęt. Spuściła wzrok i spłonęła ramieniem. Wyszarpnęła dłoń z uścisku Jacka i zaczęła gorączkowo zapinać stanik sukni. Bez względu na to, jaka okaże się prawda, musi trzymać Jacka na odległość wyciągniętej ręki, póki Horatio nie wróci. W przeciwnym wypadku jego opinia nie będzie już miała najmniejszego znaczenia.

- Sophie? - zaniepokoił się Jack i szybko przyciągnął ją do siebie.



Zza długich rzęs rzuciła mu spłoszone spojrzenie.

- Ach, tak. - Chciała się cofnąć, ale ramię Jacka mocno obejmowało ją w talii. - Proszę cię, Jack - zaprotestowała, czując, jak coraz mocniej ją ściska. Oparła mu dłonie na torsie. - Przecież zawarliśmy umowę, prawda? - Błysk w jego oczach pozbawił ją tchu. - Poczekamy do powrotu wuja.

Jack zmrużył oczy.

- Sophie... - Na jego twarzy odmalowały się nadzieja i determinacja. A potem westchnął, zrezygnowany. - Niech ci będzie. Ale tylko do powrotu wuja. Zgoda?

Sophie zawahała się, a potem skinęła głową.

- I wyjdiesz za mnie trzy tygodnie później.- Nie było to pytanie, lecz rozkaz. - A poza tym - ciągnął Jack, patrząc z natężeniem w jej oczy - jeżeli ja mam podporządkować się pewnym zasadom, póki twój wuj nie wróci, to ty musisz uczynić tak samo.

- Ja?

- Koniec flirtów z wielbicielami... poza mną, oczywiście.

- Ja wcale nie flirtuję - zaprotestowała urażonym tonem.

- Wszystkie walce należą do mnie.

- To oburzające! - Sophie wyrwała się z jego uścisku. - Nawet nie wiesz, o co prosisz.

- Doskonale wiem. Jak fair, to fair. Żadnych kolacji, żadnych spacerów czy przejażdżek z innymi dżentelmenami. Tylko ja. Zgadzasz się, Sophie?

- Tak - wyszeptwała i odetchnęła, kiedy ją puścił.

A wtedy Jack szarmancko podał jej ramię.

Sophie pozwoliła, by sprowadził ją po schodkach z altany i zaprowadził do domu. Przez całą drogę męczyło ją uczucie, że balansuje na krawędzi przepaści. Nie chcąc jednak, by jej towarzysz domyślił się, co dzieje się w jej duszy, szła z dumnie uniesioną głową.

Jack popatrzył na nią przez zmrużone powieki, a potem uśmiechnął się znacząco i zaczął układać w myślach plan.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Goście rozjechali się następnego ranka. Wszyscy zdawali już sobie sprawę, że coś się zmieniło, Jack bowiem stał się opiekunem Sophie. A ona, mimo iż nie pochwałała jego metod, była mu zarazem wdzięczna, zwłaszcza gdy wziął na siebie odpowiedzialność za ich powrót do stolicy. Perspektywa podróży bez Horatia, z wciąż osłabioną Lucillą, gromadą dzieci i Tobym w roli jedynej mężczyzny trochę ją przerażała.

Jednak kiedy koło południa wyszła przed dom ciotki Evangeliny, wszystko znajdowało się pod kontrolą. Młodszy kuzyni mieli wracać konno ku ich radości pod opieką Jacka, Toby'ego i Neda. Clarissa siedziała już w powozie przeznaczonym dla pań, wyposażonym w poduszki i koce.

Lucillą przeszła wolno przez hol, wspierając się na ramieniu Jacka. Choć wciąż blada, nie zdradzała już objawów słabości. Sophie odwróciła się i zbiegła ze schodów, żeby przygotować jej miejsce w powozie.

U szczytu schodów Lucillą przystanęła, by odetchnąć świeżym powietrzem. Niebo było błękitne, a białe chmurki nie wróżyły deszczu. Z uśmiechem spojrzała na Jacka.

- Cieszę się, że nie sprawił mi pan zawodu, sir.

Oderwany od kontemplacji kształtnej pupy Sophie, rysującej się szczególnie ponętnie, gdy dziewczyna wspierała się na stopień powozu i pochyliła do środka, Jack spojrzał na panią Webb i uniósł brwi.

- Nigdy bym nie śmiał postąpić inaczej, madame.

Lucilla uśmiechnęła się promiennie.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała, poklepując go po ręce.
- A teraz, gdyby pan zechciał służyć mi ramieniem...

Jack wziął ją na ręce, zniósł po schodach i ulokował w powozie. Kiedy umieścił ją między przyniesionymi przez Sophie poduszkami i troskliwie okrył kocem, Lucilla najpierw skarciła go wzrokiem, a potem usta jej drgnęły w uśmiechu. Wreszcie oparła się wygodnie o poduszki i odesłała Lestera lekkim gestem.

Jack pomógł Sophie wsiąść do powozu, z trudem powstrzymując się od tego, żeby jej nie przytulić chociaż na chwilę. A potem odjechali.

Pięć dni później, w blasku kandelabrow sali balowej hrabim Richmond Sophie zadawała sobie pytanie, dlaczego sądziła, że czekając na powrót wuja, będzie bezpieczniejsza w salonach Londynu niż w Little Bickmanstead. Jackowi wystarczyło kilka godzin, aby dać jej jasno do zrozumienia, że każde słowo, które padło w altanie ciotki Evangeliny, zostało wypowiedziane serio. Nie minęła jedna doba, a Sophie uświadomiła sobie, że z każdym dniem maleje szansa na to, by mogła mu odmówić.

Jack stał nieruchomo u jej boku, niesłuchanie przystojny w surowej czerni i bieli. Nagle ogarnął ją lęk.

Podchwycił jej spojrzenie i nachylił się ku niej.

- Zaraz zacznie się walc.
- Przecież przetańczyłam już z tobą dwa walce - obruszyła się Sophie.
- Każdy dżentelmen ma prawo dwa razy poprosić cię do tańca.
- Ale nie do walca, o ile pamiętam.
- Nie bądź taka drobiazgowo, moja Sophie. Proszę, zatańcz ze mną. Obiecuję, że nie będzie żadnych niestosownych komentarzy.

Wszelki opór był, oczywiście, bezcelowy. Dziewczyna zgodziła się, by poprowadził ją na środek parkietu, czując, że każda forma protestu miałyby znamiona czystej hipokryzji.

Uwielbiała znajdować się w ramionach Jacka, a walc na razie to jedyna bezpieczna forma zaspokojenia jej pragnień.

Kiedy wirowali po parkiecie, zauważyła zrezygnowane spojrzenia, jakimi obrzucały ich liczne przyjaciółki jej matki. Tylko lady Dmmmond-Burrell, najbardziej uważająca matrona w tym towarzystwie, uśmiechała się z chłodną aprobata.

- To zdumiewające - powiedział Jack, dyskretnie wskazując głową na lady. - Nic nie sprawia im większej przyjemności niż widok nawróconego hulaki.

Sophie spróbowała gniewnie zmarszczyć brwi, ale bez skutku.

- Nonsens.

- Nie, wcale nie, a kiedy wiadomość się rozejdzie, będą zachwycone.

Sophie zasepiła się. Jack opowiedział jej, jak doszło do szczęśliwej odmiany losu.

- A dlaczego dotąd nowina się nie rozeszła? Przyjmując, oczywiście, że to prawda?

Otoczając ją ramię mocniej zacisnęło się wokół jej talii.

- To jest prawda - powiedział Jack. - Jednak muszę się przyznać, że celowo zataiłem to przed innymi.

- Dlaczego?

- Poznałaś już starszą pannę Billingham. Wyobraź sobie osobę tego typu, pomnożoną przez co najmniej sto, a wszystkie polujące na dobrą partię.

Sophie zachichotała.

- Chyba się nie bałeś?

- Ja miałbym się bać? - Jack uniósł brwi. - Oczywiście, że nie. Mam po prostu wrodzoną niechęć do tego, by na każdym kroku potykać się o debiutantki.

Sophie roześmiała się, co podrażniło zmysły Jacka. Nie mógł już dłużej znieść napięcia i z coraz większym trudem hamował się przed... Wiedział jednak, że musi jeszcze trochę poczekać.

Kiedy walc dobiegł końca, odprowadził Sophie do ciotki, ale nie odszedł.

Panna Winterton wiedziała, że lepiej się z nim nie spierać. Lord Ruthven przystanął obok, a po chwili dołączył lord Seibourne. Sophie z wrodzonym wdziękiem śmiała się i rozmawiała, wciąż bowiem wielu panów pragnęło jej towarzystwa, jednak dżentelmeni poszukujący żon, i to nie tylko ci trzej, których już odprawiła, rzadko pokazywali się w jej pobliżu, stała bowiem asysta Jacka skutecznie ich odstraszała. Poranne przejażdżki po parku, także w towarzystwie Jacka, przebiegały obecnie bez przeszkód. Nikt nie mógł już mieć najmniejszych wątpliwości co do jego intencji. Wszyscy podejrzewali, że Sophie i Jack są już parą i czekają tylko na powrót Horatia, by to oficjalnie ogłosić.

Sophie westchnęła i spojrzała na Clarisę stojącą po drugiej stronie fotela ciotki. Jej młodzianka kuzynka promieniała, czarując swoich wielbicieli, a jednak, jak Sophie zauważyła, żadnego z nich nie wyróżniała w jakiś szczególny sposób. Ned zarezerwował sobie pozycję podobną do tej, jaką Jack zajmował przy niej. Sophie dyskretnie się uśmiechnęła. W oczach Neda jarzył się płomień, którego jej zdaniem Clarissa jeszcze nie dostrzegła.

Ned, prawdę mówiąc, był równie zniecierpliwiony jak Jack. lecz jego rodzice i państwo Webb uznali, że oficjalne oświadczenia mogą nastąpić dopiero po zakończeniu sezonu. Oznaczało to, że musi jeszcze długo czekać, a wyteścniiona nagroda wcale nie jest jeszcze pewna.

Dlatego też Ned czuł się zagubiony. Jego srebrzysta księżniczka nadal obdarzała uśmiechami swój dwór, a raz nawet usłyszał, jak śmiała się z tym łobuzem Gurnardem.

- Te konkury ciągną się bez końca - żalił się Jackowi, kiedy obaj patrzyli, jak ich wybranki wirują po parkiecie w ramionach innych mężczyzn.

Lester spojrział na niego ze współczuciem.

- Masz rację. - A po chwili zapytał: - Czy Clarissa nie wspominała, kiedy zamierzają wracać do Leicestershire?

- Nie - odparł Ned, po czym dodał ze zdumieniem: - Myślałem, że zostajesz tu do końca sezonu. To jeszcze ponad miesiąc, prawda?

Jack skinął głową, a kiedy obok w ramionach lorda Ruthvena przemknęła Sophie, spochmurniał i powiedział:

- Jest tak, jak mówisz. To dla nas ciężka próba.

Podczas gdy Jack i Ned wraz z paniami przebywali w sali balowej, Toby znalazł sobie inną rozrywkę. W tej właśnie chwili w towarzystwie kapitana Terrence'a Gurnarda szedł po Pall Mail, wzdłuż budynków, w których mieściły się największe londyńskie szulernie.

Kapitan przystanął przed prostymi, brązowymi drzwiami.

- To tu. Bardzo ekskluzywne miejsce.

Toby uśmiechnął się i poczekał, aż kapitan zapuka. Po przyciszonych negocjacjach ze stróżem tego przybytku, prowadzonych przez kratę w drzwiach, zostali wpuszczeni do środka. Wprowadzono ich do przestronnego pomieszczenia, dosyć ciemnego, oświetlonego jedynie przez kilka osłoniętych lamp wiszących nad stołami. Było tam może ze dwudziestu panów, ale niewielu zareagowało na widok Gurnarda i jego towarzysza.

Toby rozejrzał się wokoło. Uwagę jego przykuł wyraz ponurej determinacji, który malował się na twarzach wielu graczy w karty i kości. Stał tam też wielki stół do ruletki oraz kilka mniejszych stolików do innych gier.

Była to trzecia noc, jaką Toby spędzał z kapitanem Gurnar-

dem, i trzeci lokal, jaki wspólnie odwiedzali. Toby, jak zwykle, działał zgodnie z maksymą ojca, która głosiła, że doświadczenie jest najlepszym nauczycielem. Chłopak uznał, że po tej nocy będzie już wiedział wszystko o jaskiniach gry. Tym razem interesowały go zakłady. Gurnard dał mu wygrać przez dwie poprzednie noce i Toby zaczynał się domyślać, jakie motywy kierowały kapitanem.

Kiedy Webbowie wrócili z Little Bickmanstead, Gurnard który najwidoczniej nie miał zajęcia, zaproponował Toby'emu, że pokaże mu Londyn. Chłopak z ochotą przyjął jego propozycję, jako że dotąd rzadko bywał w stolicy.

Teraz zaświtała mu myśl, czy aby kapitan nie uważa go za dumnia

Pewności nabrał pod koniec wieczora, podczas którego jego przegrana tajemniczym sposobem przekroczyła zyski. Pociuszając się refleksją, iż, jak mawiał jego ojciec, nie ma niczego złego w błędach, pod warunkiem, że się ich nie popełni po raz drugi spojrzął na Gurnarda, marszcząc brwi.

- Obawiam się, że nie będę w stanie zapłacić ostatniego długu, póki ojciec nie wróci do miasta, ale spodziewamy się go lada dzień. - Toby nie był przygotowany na to, że przekroczy limit osobistych wydatków. Ponieważ jednak przed dwoma laty ojciec wyznaczył mu sporą sumę, chcąc go w ten sposób nauczyć operowania pieniędzmi, nie obawiał się poprosić Horatia o zaliczkę. - Porozmawiam z nim, gdy tylko wróci.

Gurnard rozparł się na krześle. Twarz miał zaczerwienioną od wina, które przez cały czas popijał.

- Och, nie będziesz musiał tego robić. - Machnął lekceważąco ręką. - Niech nikt nie waży się powiedzieć, że skłóciłem ojca i syna z powodu kilku marnych funtów.

Toby mógł go osadzić jednym słowem - był przekonany, że on i ojciec będą się jeszcze z tego śmiali - ale powstrzymał go jakiś szósty zmysł.

- Ach, tak? - zdziwił się, bo w grę wchodziło więcej niż "kilka marnych funtów".

Gurnard zmarszczył brwi.

- Jest jeden sposób, żeby zwrócić mi dług bez konieczności proszenia ojca.

- Mianowicie jaki? - zapytał Toby. Zimny dreszcz przebiegł mu po krzyżu.

Gurnard sapnął, potem wbił wzrok w sufit, a na koniec rozchmurzył się i oświadczył:

- Bardzo mi na tym zależy, żeby spędzić kilka minut sam na sam z twoją siostrą. - Nachylił się nad stołem i po chwili wahania zaczął mówić konspiracyjnym szeptem: - Clarissa wspomniała mi, że razem z całym towarzystwem zamierzacie wziąć udział w gali w Vauxhallu. Może w ramach spłaty długu mógłbyś mi załatwić krótkie spotkanie w świątyni Diany podczas pokazu fajerwerków? Odprowadzę ją do was po pokazie i nikt się o tym nie dowie.

A więc Gurnard miał go nie tylko za durnia, ale również za tchórzliwego i podłego szubrawca! Toby zachował maskę spokoju, a przyćmione światło pomogło mu ukryć stalowy błysk w oczach.

- Skąd jednak mogę wiedzieć, czy Clarissa się zgodzi?

- Powiedz jej, że zabierasz ją na spotkanie z najbardziej odanym wielbicielem. Tylko nie wyjawiaj jej mojego nazwiska, chcę bowiem jej zrobić niespodziankę. Kobiety lubią romantyczne przygody. - Gurnard machnął ręką. - Pewnie nawet nie zauważyłaś, że twoja siostra i ja jesteśmy w sobie zakochani, nie powinieneś jednak niczego się obawiać, nie zamierzam tego wykorzystać. Chodzi tylko o to, że twoja siostra jest w centrum uwagi i nie mamy okazji do rozmowy sam na sam, przez co nie możemy lepiej się poznać, czego bardzo pragniemy.

Toby pokiwał z namysłem głową. Teraz już wiedział na pewno, że kapitan jest człowiekiem, którego należy się wystrzeżać.



- Dobrze - powiedział obojętnym tonem, a potem wzruszył ramionami. - Jeżeli zadowolisz się tym, zamiast pieniędzy...

- Oczywiście, że tak - zapewnił go Gurnard, a oczy mu się zaświeciły. - Dziesięć minut z twoją siostrą będzie wystarczającą rekompensatą.

- Co się stało, Toby? Jakieś kłopoty?

Cała rodzina wróciła właśnie z porannej przejażdżki po parku. Toby, który zamykał kawalkadę, spojrzał z lękiem na Sophie.

- Tak też myślałam. - Sophie pokiwała głową. Patrząc na rozbuchaną gromadkę, która właśnie zniknęła na górze, ujęła kuzyna za rękę. - Chodźmy do gabinetu twego ojca, tam mi wszystko opowiesz.

- To nic takiego - zapewnił ją Toby, kiedy przekroczyli próg sanktuarium Horatia.

- To czemu masz taką zmartwioną minę? - spytała. Usiadła wygodnie w jednym z foteli i popatrzyła życzliwie na kuzyna, - Powiedz mi, co cię gryzie, bo tak dalej być nie może. Przychodzą mi do głowy najokropniejsze rzeczy.

Toby założył ręce za plecami i zaczął krążyć po pokoju.

- Chodzi o tego łobuza Gurnarda.

- Łobuza? - zdumiała się Sophie. - Wiem, że Ned od dawna go tak nazywa, ale myślałam, że tylko on.

- Mnie też się tak wydawało, ale teraz wiem już na pewno. Niech mnie diabli, jeżeli Ned nie ma racji.

Sophie zamyśliła się, a potem podniosła wzrok na Toby'ego.

- Właśnie coś sobie przypomniałam. Twoja mama mówiła, że mu nie ufa, a Clarissa podzieliła jej odczucia.

- Naprawdę? - Toby nagle się rozchmurzył. - To mi znacznie ułatwi sprawę.

- Jaką znowu sprawę? - Sophie spojrzała na niego skonsternowana. - Tobiaszu Webb, co się dzieje?

- Nie ma co wpadać w panikę. Jeszcze nie teraz.

Toby nie powiedział nic więcej, tylko znów zaczął krążyć po pokoju.

- Toby! - zdenerwowała się panna Winterton. - Albo zaraz mi powiesz o co chodzi, albo zwróć się do twojej matki.

Zatrzymał się w pół kroku, a na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

- Broń Boże! - wykrzyknął, po czym wyjawiał całą historię.

- Ależ to oburzające! - Sophie była wstrząśnięta. - Ten człowiek jest gorszy od najgorszego łobuza.

- Niewątpliwie tak, a przy tym niebezpieczny. Dlatego chciałem zaczekać, aż papa wróci, i wszystko mu powiedzieć. Myślę, że byłoby z korzyścią dla ogółu, gdyby raz na zawsze skończyć z tym łajdakiem.

- Oczywiście, że tak - przyznała Sophie, a po chwili dodała: - Myślę, że lepiej na razie nie mówić nic Clarissie. Ona i tak nie lubi tego człowieka, więc nie popełni żadnego głupstwa.

Toby pokiwał głową.

- Nie wydaje mi się też, żeby trzeba było wspominać o tym twojej mamie.

- Lepiej nie. - Na samą myśl o tym Toby aż się wzdrygnął.

- Proponuję - powiedziała Sophie - żeby poprosić o fachową opiekę.

- Na przykład policji? Rzykując skandal jak w przypadku szmaragdów lady Ashbourne? - Toby pokręcił głową. - Nie o taką decyzję mi chodzi.

- Racja - przyznała Sophie. - Przynajmniej jednak wiemy, że Gurnard nie podejmie żadnych kroków przed galą.

- No właśnie. - Toby spojrział na Sophie. - A my tylko musimy do tego czasu utrzymać się na swoich pozycjach.

Godzinę później Jack siedział w saloniku na Upper Brook

Street. Kazał podać obiad i teraz z ponurą miną atakował plastry połówicy.

- Niech mi będzie wolno cię ostrzec, bracie, że konkury to męcząca sprawa.

Harry, który wpadł do niego w drodze na wieś, uniósł rozbawiony brwi i zapytał:

- Dopiero teraz to odkryłeś?

- Nie mogę sobie przypomnieć, abym kiedykolwiek uderzał w konkury do jakiegokolwiek damy. — Jack wykrzywił się do półmiska pieczonych ziemniaków, po czym energicznie nadział jeden z nich na widelec.

- Rozumiem, że sprawy nie idą tak gładko, jakbyś sobie życzył.

Przez całą minutę Jack walczył z przekonaniem, że wszystkie sprawy pomiędzy kobietą a mężczyzną są święte, by w końcu ulec pokusie niedyskrecji:

- Ona jest po prostu zbyt szlachetna - wyjaśnił. - Wmówiła sobie, że muszę się ożenić z bogaczką. Żeby mi nie zrujnować życia, nie chce za mnie wyjść.

Harry zakrztusił się piwem.

- No cóż - wysapał - przecież sam chciałeś uchodzić za biedaka, nie pamiętasz?

- To było wtedy, a teraz to co innego - burknął Jack. - Poza tym, nie obchodzi mnie, co myślą inni. Interesuje mnie tylko to, co dzieje się w pewnej złotej główce.

- To czemu jej nie powiesz?

- Owszem mówiłem, że jestem bogaty, ale ta nierozumna kobieta nie chce mi uwierzyć.

- Nie chce ci uwierzyć?! - zdumiał się Harry. - A po co miałbyś ją okłamywać?

- Sam ją o to zapytaj - prychnął Jack. - O ile dobrze rozumiem, ona uważa mnie za romantyka, który gotów jest poślubić niezbyt zamożną pannę, a potem ukrywać fakt, że żyje na kredyt.

Harry skrzywił się i sięgnął po dzbanek.

- A gdyby sprawy wyglądały inaczej? Gdyby los nie okazał się dla nas łaskawy, a ty byś ją spotkał, to co wtedy? Skinąłbyś jej uprzejmie głową i dalej szukał swojej bogaczki? Czy może postąpiłbyś tak, jak ona myśli, i ukrywał prawdę?

Jack spojrzał na niego z wyrzutem.

- Ten problem na szczęście nie istnieje - zauważył, a na widok uśmiechniętej twarzy brata dodał: - Zamiast rozważać hipotetyczne sytuacje, lepiej byś użył tej twojej mózgownicy w bardziej konkretnym celu. Wymyśl, jak mam ją przekonać o naszym bogactwie.

- Musisz się bardziej postarać - poradził mu Harry. - Użyj wszelkich środków perswazji.

- Nie tędy droga - westchnął Jack. - Możesz mi wierzyć, że próbowałem. - Rzeczywiście, dwukrotnie próbował, ale zyskał tyle, że za każdym razem Sophie patrzyła na niego z wyrzutem, co było wprost niemożliwe do zniesienia.

- Potrzebny mi ktoś, kto poręczy za mnie. Ktoś, komu uwierzy. A to oznacza, że muszę poczekać, aż jej wuj wróci do Londynu. Wyjechał w sprawach handlowych do Southampton. Cały kłopot polega na tym, że nikt nie wie, kiedy on wróci.

Patrząc na zdesperowanego brata, którego wielkie nieszczęście polegało na tym, iż musi poczekać jeszcze kilka dni, zanim będzie mu wolno oficjalnie starać się o pewną pannę, Harry sceptycznie pokiwał głową. Sądząc po tym, co usłyszał i zobaczył do tej pory, Jack świadomie zmierzał ku małżeńskiej niewoli, a na domiar wszystkiego perspektywa ta zdawała się napęniać go radością. Harry doskonale wiedział, że miłość to potężna siła, zdolna wyczyniać najdziwniejsze sztuczki z umysłami nawet najmądrzejszych mężczyzn. On sam mógł tylko mieć nadzieję, że w ich rodzinie ta przypadłość nie jest zaraźliwa.

Ciszę przerwał natarczywy łomot kołatki.

Jack spojrział w stronę drzwi.

W holu rozległy się jakieś głosy, a potem drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Toby. Spojrział na Jacka, a ujrzawszy Harry'ego, uprzejmie się uklonił. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, zwrócił się do Jacka:

- Przepraszam za to najście, ale coś się zdarzyło i chciałbym zasięgnąć twojej porady. Jeśli jednak jesteś zajęty, przyjdę później.

- Nie ma problemu. - Harry podniósł się. - Jeżeli to prywatna sprawa, mogę wyjść.

Jack spojrział na Toby'ego.

- Możesz mówić przy Harrym?

Toby zawahał się. Jack spędził cały sezon u stóp Sophie, koncentrując się wyłącznie na niej oraz jej wielbicielach, za to Harry Lester jak na razie korzystał z uroków życia i nie zamierzał z nikim się wiązać. Toby spojrział na Harry'ego.

- Chodzi o niejakiego kapitana Gurnarda.

- Kapitana Terrence'a Gurnarda? - Harry zmrużył oczy, a kiedy Toby pokiwał głową, rozsiadł się wygodnie na krześle.

- Co ten łobuz znów narozrabiał?

Jack wskazał Toby'emu krzesło.

- Jadłeś już? - A kiedy ten pokręcił głową, zadzwonił na Pinkertona. - Zjedz coś, a potem nam wszystko opowiesz. Chyba sprawa nie jest bardzo pilna?

- Nie, nie aż tak.

W trakcie obiadu Toby opowiedział braciom o swoich wyprawach z Gurnardem oraz o propozycji anulowania długu, jeżeli załatwi mu potajemne spotkanie z Clarissą.

- Więc wygrywałeś przez pierwsze dwa wieczory, a potem grubo przegrałeś?

Patrząc na Harry'ego, Toby znowu pokiwał głową.

- Chciał mnie podejść, prawda?

- Na to wygląda.

Jack spojrział pytająco na brata.

- Co to za sprawa z tym Gurnardem? Mało o nim słyszałem. Harry pociągnął długi łyk piwa.

- Ta „sprawa” spędza sen z powiek jego wierzycielom. Chodzą plotki, że nasz drogi kapitan zgrał się do czysta, bo zadał się z Dugganem i jego paczką. A ostatnio słyszałem, że był na tyle głupi, by zacząć z Melchamem.

- Z Melchamem? - Jack zastukał paznokciem w kufel. - Więc pewnie tkwi po uszy w długach.

Harry pokiwał głową.

- Może nawet jeszcze głębiej. A jeżeli Melcham ma jego rewers, co wydaje mi się bardzo możliwe, to nie chciałbym być w skórze kapitana.

- Kto to jest Melcham? - zapytał Toby.

- Melcham - odparł Jack - to całkiem ciekawa postać. Jego ojciec był hazardzistą i przegrał całą rodzinną fortunę, całkiem zresztą sporą, a potem zmarł, zostawiając synowi same długi. Jednak obecny hrabia to człowiek ulepiony z innej gliny niż jego ojciec. Postanowił odzyskać majątek, odgrywając się na tych, z którymi jego ojciec przegrał. Na nich oraz na im podobnych, czyli szulerach, którzy żerują na naiwnych. I praktycznie zawsze wygrywa.

- Szuler nigdy nie potrafi oprzeć się pokusie - dodał Harry. - Sami mu się podstawiają, wiedząc, że Melcham znów ma niezłą fortunę. Rzecz w tym, że prócz pieniędzy Melcham zdołał pozyskać wielu możnych przyjaciół, a spłata długów to obowiązek.

- Innymi słowy - podsumował Jack, prostując się na krześle - Gurnard ma poważne kłopoty. A kiedy wiadomość się rozejdzie, żadna mądra mama nie dopuści go do swojej córeczki.

- To się jednak jeszcze nie stało - powiedział Harry - bo wiem w klubach nic o tym nie mówią, a ja dowiedziałem się o tym poufnie. Mam kilku przyjaciół w gwardii.

Jack pokiwał głową.

- Rozumiem. Gurnard uznał, że najrozsądniejszym sposobem na wyciągnięcie się z długów będzie małżeństwo z bogatą panną.

- Czyli z Clarissa? - zapytał Toby.

- Właśnie - ponuro przytaknął Jack. - Pamiętajmy przy tym, że zostało mu niewiele czasu. Będzie musiał zdobyć jakąś bogaczkę, zanim jego kłopoty staną się publiczną tajemnicą. - Jack zwrócił się do Toby'ego. - Jak on sobie wyobraża to spotkanie?

Toby właśnie zaczął powtarzać mu życzenia Gurnarda, kiedy drzwi otworzyły się i do pokoju wpadł Ned. Toby przerwał w pół słowa. Na widok posępnych twarzy nowo przybyły nagle przestał się uśmiechać i spojrzał na swego mentora.

- No i co ci Jackson dziś powiedział? - zapytał Jack.

Ned przysunął sobie krzesło i usiadł przy stole.

- Muszę przeciwzyć prawy sierpowy. Lewy już mi nieźle wychodzi. - Odkąd Jack wprowadził go do salonu boksinowego dla dżentelmenów, Ned zaczął brać lekcje boksu, zdradzając wielkie zdolności w tym kierunku.

- To świetnie - powiedział z roztargnieniem Jack. A potem nagle spojrzał uważnie na Neda. - Wiesz co, wydaje mi się, że twoje nowo odkryte talenty mogą nam się przydać.

- Ach, tak? - zapytał niepewnie Ned.

Jack uśmiechnął się szeroko.

- Chcesz umocnić swoją pozycję w sercu Clarissy, prawda?

- Tak - przyznał Ascombe.

- Wobec tego mam przyjemność zakomunikować ci, że zaistniała sytuacja, w której błędny rycerz będzie musiał uratować piękną damę przed zakusami podstępного łotra. A ponieważ damą tą jest Clarissa, lepiej odkurz swoją zbroję.

- Co?!

Przez następne dziesięć minut wyjaśniali wszystko Nedowi, a potem Jack przypomniał sobie o Tobym.

- Powiedziałaś o tym Sophie? - zapytał z niedowierzaniem.

- To było nieuniknione - westchnął Toby ze skruszoną miną. - Zagroziła mi, że porozmawia z mamą.

- Ale przebiegła! - mruknął Jack zde gustowany, i tym razem wcale nie miał na myśli Lucilli.

- Do gali mamy czas, a jeżeli papa wróci wcześniej, Sophie w ogóle nie będzie musiała się martwić całą tą aferą.

Jack pokiwał głową.

- Nic już jej nie mów, sami się tym zajmiemy. Im mniej komplikacji, tym lepiej.

Toby chętnie się z tym zgodził.

- No dobrze, ale konkretnie, jak mamy się tym zająć? - z ponurą miną zapytał Ned.

Jack wyłożył mu swój plan.

Kiedy skończył, nawet Ascombe się uśmiechał.

- Uff! - Jack przeciągnął się, po czym odetchnął z ulgą. - Nareszcie widzę światółko.

- Myślisz, że Ned sobie poradzi? - zapytał z uśmiechem Harry.

Bracia znowu zostali sami, bowiem obaj młodzieńcy oddalili się, twierdząc, że muszą pilnować Clarissy w trakcie popołudniowej przechadzki po parku.

- Czy tak myślę? - powtórzył Jack. - Ja to wiem! Natomiast myślę, że po tym spektaklu Clarissa padnie mu w ramiona, raz na zawsze uwalniając Sophie od związanych z tym trosk, a mnie od pilnowania, jak rozwija się ten młodzieńczy romans.

- Czy to był dla ciebie aż taki ciężar? - zapytał Harry.

- Może nie ciężar, ale przykro patrzeć, jak jeden z nas nakłada sobie jarzmo w tak młodym wieku.

Harry zaśmiał się cicho.



- Trudno. Całe szczęście, że my nie popełniliśmy tego błędu, a o Geralda także nie musisz się martwić.

- Dzięki Bogu. Ja przynajmniej mam na swoje usprawiedliwienie to, że jestem głową rodziny i wszyscy tego po mnie oczekują.

- Mów, co chcesz, ale ja znam prawdę.

Bracia popatrzyli sobie w oczy ponad stołem, a na koniec Jack westchnął.

- Jedno jest w tym dobre. Kiedy Ned bezpiecznie już się ulokuje, będę mógł bez reszty poświęcić się mojej złotowłosej. Jestem pewny, że z pomocą Horatia Webba uda mi się przełamać jej upór.

- Chciałbym być pierwszym, który będzie ci życzył szczęścia, Jack spojrział na Harry'ego i zrozumiał, że brat mówi serio.

Uśmiechnął się.

- Dzięki ci.

- I jeszcze jedno. Muszę ci ostrzec, że wszystko się wydało.

- Jesteś pewny?

- Posłuchaj tylko. - Harry odstawił kufel. - Wczoraj wieczorem byłem u lady Bromford, a tu lady Argyle zastawiła na mnie pułapkę. Zjawiła się z córeczką, podlotkiem, który dopiero skończył pensję. - Harry skrzywił się. - Lady osaczyła mnie jak Meduza, co tłumaczy się tylko tym, że musiały dojść ją słuchy o naszych interesach.

- Jeżeli ona o tym wie, to inni też się dowiedzą - westchnął Jack.

- A to znaczy, że już niedługo staniemy się najbardziej pożądanymi kawalerami w towarzystwie. Na twoim miejscu szybko bym przekonał tę twoją blondyneczkę. Jedno zawiadomienie w gazecie, i już masz święty spokój. Natomiast ja postanowiłem salwować się ucieczką.

Jack roześmiał się.

- A tak się dziwiłem, skąd ta twoja nagła miłość do lasów i pól.

- W obecnej sytuacji Newmarket będzie znacznie bezpieczniejsze niż Londyn. Znajdę sobie jakieś miłe, wiejskie rozrywki na resztę sezonu.

Jack pokiwał głową.

- Dobrze wiesz, że nie możesz wiecznie uciekać.

- Miłość nigdy mnie nie dopadnie - oświadczył Harry tonem pełnym wyższości, po czym skierował się ku drzwiom. W progu przystanął i odwrócił się z kwaśnym uśmiechem. - Powodzenia. I uważaj na siebie na tej gali. Póki twoja złotowłosa nie powie „tak”, nie jesteś ani trochę bardziej bezpieczny niż ja.

Jack uniósł rękę w pożegnalnym geście.

- Przestań krakać!-jęknął.

Już tego samego dnia wieczorem, na balu u lady Summerville, ponure przeczucia Harry'ego znalazły potwierdzenie. Jack skłonił się szarmancko nad ręką lady, czując na sobie jej świdrujący wzrok. Na szczęście obowiązki uniemożliwiły jej natychmiastowe zajęcie się jego osobą, ale obietnica, że znajdzie go później, nie pozostawiała żadnych wątpliwości, iż wiadomość się rozeszła. Dlatego Jack już na wstępie zręcznie ominął dwie matrony, które zastawiły na niego pułapkę przy schodach do sali balowej. Niestety, jego radość okazała się przedwczesna. Kiedy gratulował sam sobie udanej ucieczki, wpadł w szpony lady Middleton.

- Drogi panie Lester! Czemuz to Middleton i ja tak rzadko widzimy pana w tym roku?

Jack pomyślał, że gdyby miał oczy z tyłu głowy, dama widywałaby go jeszcze rzadziej, mimo to skłonił się z rezygnacją. Kiedy się wyprostował, został poddany szczegółowym oględzinom przez lorgnon, którego szkła wyglądały jak wycelowane w niego lufy.

- Istotnie, madame, od początku sezonu jestem bardzo zajęty.

- Mam nadzieję, że nie będzie pan aż tak zajęty, żeby nie móc przyjść na bal debiutancki mojej siostrzenicy. To słodkie stworzenie i będzie kiedyś wyjątkową żoną dla jakiegoś dżentelmena. Twoja ciotka Harriet bardzo ją lubiła. - Ostatnim słowem towarzyszyło wymowne spojrzenie, zaś mina Jacka świadczyła o jego uprzejmym zainteresowaniu. Lady z zadowoleniem pokiwała głową. - Będziemy pana oczekiwać.

Złożyła z trzaskiem lorgnon i poklepała nim Jacka po ramieniu.

Lester udał, że uznał to za pożegnanie, skłonił się szybko i zniknął w tłumie. Było dokładnie tak, jak przewidział Harry. To, iż nie krył swoich intencji, nie oznaczało jeszcze, że był bezpieczny. Dopiero oficjalna wiadomość o jego ślubie mogła przekonać spiskujące matki, że zdobycz wymknęła im się z rąk. Równie dobry powód, by skrócić sezon panny Sophie Winton.

Rozejrzał się wokoło i wytropił cel swoich westchnień. Sophie, w seledynowej jedwabnej sukni, wyglądała elegancko jak zawsze, a jej złote loki lśniły w ciepłym blasku kandelabrow. Wysoki wzrost Jacka stanowił zarówno zaletę, jak i wadę - mógł wprawdzie bez trudu patrzeć ponad tłumem, ale zarazem sam stanowił łatwy ceł obserwacji. Lawirując między gośćmi. zdołał dotrzeć do Sophie i zająć przy niej miejsce.

Jego pojawienie się spowodowało, oczywiście już, przerzedzenie szeregów jej wielbicieli, lecz Sophie nie zwracała na to uwagi. Z promiennym uśmiechem podała mu rękę.

- Dobry wieczór, sir.

- Prawdę mówiąc - powiedział Jack, prostując się i rozglądając wokoło - chyba raczej nie.

- Nie rozumiem. - Sophie spojrzała pytająco.

- Miewałem już przyjemniejsze wieczory - odparł Jack.

biorąc ją pod rękę. - Ruthven, Hollingsworth, panowie wybaczą. - Skinął im głową, po czym pociągnął Sophie w tłum.

Lord Ruthven parsknął cichym śmiechem. Słyszając to, Sophie odwróciła się i zobaczyła, że lord tłumaczy coś zdumionemu panu Hollingsworthowi.

- O co chodzi? - zwróciła się do Jacka.

- Zostałem wystawiony na cel.

- A co takiego... - zaczęła Sophie, lecz nagle głos zamarł jej w gardle, gdy ujrzała zalotne spojrzenia, jakimi obdarzały Jacka różne panny, które jeszcze dwa dni temu nigdy by się na to nie odważyły.

- Puściłeś w obieg historię o twoim bogactwie? - zapytała podejrzliwie.

- Nie, Sophie, ja tego nie zrobiłem. Myślę, że rozpowszechnili ją inni udziałowcy Kampanii Indyjskiej. - Spojrzał na nią z rozpaczą. Zmarszczka na czole Sophie nie poprawiła mu humoru. - Niech cię diabli, kobieto! Który kawaler przy zdrowych zmysłach chciałby ściągać sobie na głowę te harpie opowieściami o swoim majątku, skoro już się wcześniej zadeklarował?

- Nie myślałam o tym w ten sposób.

- Ale ja tak - powiedział Jack. - Taka jest prawda i nie umkniesz przed nią. A skoro już mowa o ucieczce, to mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż do powrotu twojego wuja oraz oficjalnego ogłoszenia naszych zaręczyn musisz mnie wspierać?

- A w jaki sposób? - spytała Sophie.

- Po prostu... wspierając mnie.

Sophie roześmiała się, lecz uśmiech szybko zniknął z jej twarzy. Kilka niby przypadkowych spotkań wyprowadziło ją z równowagi, a niektóre z ciepłych uwag pod adresem Jacka przyprawiły ją o mdłości. Mimo to Lesterowi udało się zachować uprzejmą minę, zaś bystry umysł i cięty język pomogły mu wyzwolić się ze szponów pań. Na szczęście Sophie z ochotą

spełniała jego prośbę. Tkwiła przez cały czas przy nim, wprost zakotwiczyła się u jego ramienia, uniemożliwiając wszelkie próby odciążenia jej od Jacka. Niestety, niejedną raz przyszło jej rumienić się w duchu za swoją płęć. Kielich goryczy przepełniła panna Billingham.

- Moja mama jest taka podekscytowana wiadomością o pańskim niespodziewanym szczęściu - oświadczyła, trzepocząc wyblakłymi rzęsami. - Z uwagi na to, że spędziliśmy razem mnóstwo czasu u państwa Webbów, *maman* przykazała mi, bym pana do nas zaprosiła. Mama chce z panem natychmiast porozmawiać - dodała, przeszywając morderczym wzrokiem Sophie, po czym ujęła Jacka pod rękę i uśmiechnęła się lodowato do rywalki. - Wybaczy pani, panno Winterton?

- Przykro mi, panno Billingham - powiedziała, uprzedzając Jacka - ale nie mogę zwolnić teraz pana Lestera. Właśnie zaczyna się walc.

- Rzeczywiście, to nasz walc, droga Sophie.

Po czym zostawili pannę Billingham, która patrzyła za nimi z otwartymi ustami.

- Jak ona śmiała? - wybuchnęła Sophie, kiedy szli na środek sali. - Jak one wszystkie śmiały? Co za bezwstydne baby!

Jack roześmiał się cicho i przyciągnął ją do siebie.

- Cicho, moja słodka Sophie. - A kiedy spojrzała na niego płonąącym z furii wzrokiem, musnął ustami jej loki. - To nie ma znaczenia. Jesteś już moja, a ja jestem twój. Kiedy wróci pan Webb, ogłosimy to całemu światu.

Sophie topniała pod jego spojrzeniem. Czy naprawdę tak go to dziwiło, że przyszła mu w sukurs?

W każdym razie, pomyślała, kiedy spowiła ją magia walca, lepiej, żeby Horatio już wrócił. W tych trudnych warunkach nie sposób przewidzieć, jak wysoce skandaliczne oświadczenia przyjdzie jej jeszcze złożyć.



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wielka gała w Vauxhallu stanowiła wydarzenie, którego nikt z elity nie zamierzał opuścić. Sophie szła wsparta na ramieniu Jacka, a za nimi całe towarzystwo, powiększone jeszcze o Jeremy'ego i Geralda, którzy na tę noc otrzymali specjalną dyspensę. Wokół widać było same znajome twarze, rozradowane w oczekiwaniu zapowiedzianych atrakcji. Jednak nikt nie wyglądał tak promiennie jak Sophie.

Podniosła oczy na Jacka i uśmiechnęła się, czując narastające podniecenie. Horatio miał wrócić tego wieczora. Przesłał wiadomość, że choć interesy zatrzymały go na dłużej w Southampton, przyjedzie, oczywiście, aby wziąć udział w gali z całą rodziną. Jack odpowiedział jej uśmiechem i dłonią nakrył jej rękę. Milczał, ale jego spojrzenie zdradzało uczucia lepiej niż słowa.

Sophie próbowała zachować spokój. Zaczęła się rozglądać wokoło, wyrażając stosowny zachwyt nad kolorowo iluminowaną kolumnadą, której jeszcze nie było za jej poprzedniej bytności. Jeremy i George, jak również - choć w mniejszym stopniu - Toby, Ned i Clarissa, także rozglądali się z zainteresowaniem, próbując odgadnąć wiek drzew rosnących wzdłuż promenady, a także wpatrując się w gęste zarośla oddzielające od siebie poszczególne alejki.

- Wydaje mi się, że łoża, którą wynajął twój wuj, znajduje się po tamtej stronie.

Jack poprowadził Sophie do prawego sektora promenady. Za

nim podążali Toby z Lucillą wspartą na jego ramieniu, następnie Ned z Clarissa, a na końcu obaj chłopcy. W samym środku sektora ulokowano małą orkiestrę. Wokół placyku zbudowano drewniane łoże, a w wielu z nich siedzieli już goście.

Łoża Webbów znajdowała się na wprost orkiestry.

- O, tak - powiedziała Lucilla, sadowiac się na krzesło - to doskonałe miejsce. Widać stąd prawie wszystko.

Sophie przypatrywała się orkiestrze. Jakby wyczuwając jej pragnienie, muzycy zaczęli grać, wypełniając noc czarowną melodią, i już wkrótce rój par zawirował w świetle chińskich lampionów.

Jack podniósł się.

- Chodź - powiedział, wyciągając z uśmiechem rękę. - Nikt nie liczy tańców w Vauxhallu.

Przez moment patrzyła mu w oczy, a potem ze spokojną determinacją, którą ją samą zdumiała, uniosła głowę i podała mu rękę.

- To miło z ich strony.

Oby wuj jak najszybciej wrócił! Czowała, że nie jest już w stanie dłużej czekać.

Na szczęście zaraz zapomniała o rozterkach. Jack tak całkowicie zajął jej myśli, że świat przestał dla niej istnieć. Zatańczył z nią dwa razy, potem przekazał ją Nedowi, zatańczyła jeszcze z Tobym, a potem znowu Jack wziął ją w ramiona.

- Brak mi tchu, sir - powiedziała ze śmiechem.

- Jack - poprawił ją, patrząc jej wymownie w oczy.

- Jack - wyszeptała.

A on otoczył ją ramieniem w talii i porwał do walca.

Kolację podano im w łoży. Na stoliku za krzesłami stanęły półmiski, dzbanek lemoniady oraz waza słynnego vauxhallskiego ponczu. Kiedy podnieśli lniane serwetki zakrywające talerze, oczom ich ukazały się wykwintne kanapki z ogórkiem, duży wybór pasztetów oraz półmisek cieniutko pokrojonej szynki.

- Dokładnie taka, jak pamiętam - oświadczyła Lucilla, uno-

sząc na widelcu niemal przezroczysty plasterek. Spojrzała na Sophie. - Kiedy twoja matka i ja byliśmy w waszym wieku, umierałyśmy z głodu po każdej nocy w Vauxhallu. Powiedziałam kucharzowi, żeby zostawił nam zimną kolację. Myślę, że chętnie coś zjecie po powrocie do domu.

Jack, Ned i Toby odetchnęli z ulgą.

Nagle w głębi ogrodów rozległ się gong. Orkiestra przestała właśnie grać, więc jego dźwięk długo wibrował w nabrzmiałej ciszy.

- Zaraz zaczną się pokazy!

Dziesiątki ust powtórzyły okrzyk Jeremy'ego. Ludzie tłumnie opuszczali łóża i podążali pod jasno oświetlony wzgórek. Przez piętnaście minut pośród pełnych zachwyty okrzyków wszyscy podziwiali rozmaite eksponaty, jedne mechaniczne, inne czysto dekoracyjne, wszystkie rozmieszczone artystycznie pośród alpejskiej scenerii. Potem światła przygasły, a widzowie, śmiejąc się i rozmawiając, wrócili do swoich łóż albo na tańce.

Panna Winterton i Jack szli wolno mroczną alejką.

- Sophie?

Jack patrzył na błądy owal jej twarzy, szeroko otwarte oczy i rozchylone wargi. Przez chwilę stał tak bez ruchu, a potem, skryty w cieniu, nachylił się i delikatnie ją pocałował.

Kiedy ich usta się spotkały, serce szybciej zatrzepotało w jej piersi. Zadrżała. Niczego bardziej nie pragnęła, niż znaleźć się w objęciach.

Jack chwycił ją za rękę.

- Jeszcze nie teraz, kochanie - powiedział z bolesnym uśmiechem. - Módl się tylko, żeby w powozie twojego wuja nie pękła oś.

Sophie westchnęła i posłusznie ujęła go pod rękę.

- Wracajmy do łóży - powiedział. A kiedy wyszli z cienia, dodał - Fajerwerki będą później.



Zdumiona podniosła na niego oczy.

- Nie wiedziałam, że interesują cię fajerwerki.

- Są różne fajerwerki, moja droga - odparł Jack z łobuzerskim uśmiechem.

Orkiestrze towarzyszył teraz śpiewak, którego melodyjny tenor unosił się ponad lożami i niknął gdzieś w ciemności. Na niebie z wolna zapalały się gwiazdy. Chińskie lampiony zaczęły żyć własnym życiem, oświetlając muzyków i tancerzy ciepłym blaskiem. Wokół rozbrzmiewały śmiechy i gwar przyciszonych rozmów.

Sophie przez cały wieczór spoglądała Jackowi w oczy. Spojrzała ich jakaś niewidzialna sieć, a świat przestał istnieć. Magia, która działa się między nimi, wyrażała się w płonących spojrzeniach oraz czułym dotyku rąk.

Całe otoczenie potęgowało jeszcze ten baśniowy nastrój. Pod koniec koncertu tenor miał solowy występ. Zdyszani tancerze, rozmawiając półgłosem, wracali do swoich łóż. Sophie spostrzegła nagle Belle Chessington, wspartą na ramieniu pana Somercote'a - najbardziej niespodziewanego uczestnika gali w Vauxhallu. Belle pomachała im ręką, uśmiechając się promiennie, a oczy jej lśniły jak gwiazdy. Pan Somercote także obdarzył ich szerokim uśmiechem, a na jego twarzy malowały się radość i duma.

- No, no - mruknął Jack. - Będziesz musiała powiedzieć ciotce, że dokonała cudu. Milczenie Somercote'a od lat spędzało swatkom sen z powiek. Wygląda na to, że nareszcie odzyskał mowę.

Sophie roześmiała się.

- Trzeba przyznać, że przy Belle nie będzie potrzebował zbyt wielu słów.

Jack uśmiechnął się, a potem spojrzął przed siebie.

Nagle zeszywniał. Sophie poczuła to. Patrząc w ślad za jego spojrzeniem, dostrzegła w łoży zaokrągloną sylwetkę wuja.

- W samą porę. - Jack przyspieszył kroku.

Kiedy weszli do łóży, Lucilla skinęła na dziewczynę.

- Rozmawiałam przed chwilą z panią Chessington. Co za cud!

Kątem oka Sophie zobaczyła, jak Jack wita się z Horatiem. Zamienili kilka słów - Jack był bardzo poważny - a potem wyszli z łóży.

Opierając się o krzesło ciotki, Sophie zmusiła się, by słuchać jej wywodu, przyszło jej to jednak z wielkim trudem. Przez cały czas nerwowo bawiła się zamkiem bransoletki, łowiąc uchem wszystkie odgłosy.

Kiedy znów rozległ się gong, Sophie drgnęła.

- Fajerwerki!

Po raz kolejny goście wyszli z łóż i zaczęli się gromadzić na małym placyku otoczonym trawnikami. Jeremy i George pomogli Lucilli wstać. Sophie także wstała i z niepewną miną zaczęła się rozglądać wokoło. Ned podał ramię Clarissie i wraz z Tobym ruszyli do wyjścia. Tylko Jacka nigdzie nie było.

- Tu jesteś, moja kochana. - Horatio wyłonił się z mroku.  
- Chodź, bo stracisz wspaniały pokaz.

Popatrzyła na niego, czując, że serce bije jej jak młotem. Czy Jack nie prosił wuja o jej rękę? Czemu go tu nie ma? Czy to znaczy, że...? Chwyciła pelerynkę, zarzuciła ją na ramiona i na uginających się nogach wyszła z łóży.

Horatio podał jej ramię i wolnym krokiem ruszyli za resztą towarzystwa. Zamiast jednak dołączyć do rodziny, Horatio przystanął w cieniu, z dala od tłumu.

- Moja kochana Sophie, słyszałem, że masz pewne zastrzeżenia co do finansowej sytuacji Jacka.

Sophie z bijącym sercem i z niemą modlitwą na ustach spojrzała na wuja.

- To rzeczywiście pewne zaniedbanie z jego strony - ciągnął

pan Webb, udając, że nie widzi jej zdenerwowania. - Powinien ci o tym powiedzieć znacznie wcześniej. Mogłaś się spodziewać, że ktoś o takim doświadczeniu będzie się kierował czymś więcej niż tylko impulsem. Musisz mu jednak wybaczyć. Zakochani mężczyźni zapominają o takich drobiazgach jak pieniądze. - Horatio z ojcowskim uśmiechem poklepał Sophie po ręce.

- Czy mam rozumieć, wuju, że Jack naprawdę jest bogaty? Nie musi się żenić z posażną dziedziczką?

W szarych oczach Horatia pojawił się życzliwy błysk.

- Powiedzmy, że w przypadku jego narzeczonej miłość i uroda to wystarczający posąg.

Snop złotych fajerwerków wytrysnął w niebo, oświetlając twarz Sophie, a tysiące świateł odbiły się w jej oczach.

- Och, wuju! - Dziewczyna zarzuciła Horatiowi ręce na szyję.

Wuj chrząknął, uściskał ją, a potem łagodnie powiedział:

- Chodźmy, przyłączymy się do reszty.

Sophie o niczym więcej nie marzyła. Wmieszała się w tłum, zaglądając ludziom w twarze za każdym razem, kiedy kolejna raca rozświetlała niebo. Lucilla wraz z chłopcami stała w pierwszym rzędzie. Bracia natychmiast dopadli ojca, zasypując go gradem pytań.

A potem na niebie zapłonęło z sykiem olbrzymie koło. Sophie spokojnie stała wśród tłumu, lecz nagle cała krew uciekła jej z twarzy. W świetle tej wspaniałej iluminacji mogła się przekonać, że w pobliżu nie ma ani Jacka, ani Neda, ani Toby'ego. Clarissa także gdzieś zniknęła.

W ułamku sekundy panna Winterton przypomniała sobie o planach Gurnarda. To właśnie podczas tego pokazu Toby miał przyprowadzić Clarissę na spotkanie z kapitanem. Skoro jednak był też z nimi Ned, Clarissie nie mogło się nic złego przydarzyć.

Ale gdzie oni są? Jeżeli Jack, Ned i Toby poszli powstrzymać kapitana, to gdzie się podziała Clarissa?

Sophie zamrugała, oślepiąca kaskadą tęczyowych płomieni. Zalała ją fala poczucia winy, frustracji i uniesienia.

Horatio powinien wiedzieć, co się z nimi stało. Spojrzała na wuja, który stał obok Lucilli, trzymając George'a za rękę. Jeremy wciąż zasypywał ojca gradem pytań. Nie było możliwości, by porozmawiać z Horatiem, nie niepokojąc przy tym Lucilli, a także chłopców.

Pewnie wszystko jest w porządku. Jack z całą pewnością nad wszystkim panuje.

A może Jack jest gdzie indziej? Może nic nie wie o planach Gumarda? Może Toby z Nedem postanowili sami policzyć się z Gurnardem? A Clarissa poszła za nimi?

Sophie odwróciła się i zaczęła przedzierać się przez tłum.

Większość gości oglądała fajerwerki, więc ścieżki okazały się prawie puste, tylko czasami pojawiała się jakaś para szukająca chwili samotności.

Tuż za lożami Sophie zwolniła. Aleja ze świątynią Diany leżała w najbardziej oddalonym i zaciemnionym końcu ogrodów.

Dziewczyna zawahała się. Wiedziała, że byłoby to wysoce nierozsądne ryzykować samotny spacer do końca alei, i to po ciemku. Gdyby jednak wróciła do głównej alei, szerokiej i dobrze oświetlonej, mogłaby potem skrócić w ścieżkę, która wychodziła tuż za świątynią Diany. Droga ta była dłuższa, ale znacznie bardziej bezpieczna.

Otułając się szczelniej peleryną, Sophie poszła nową trasą.

Tymczasem przy świątyni Diany, na końcu ciemnej alei, Jack oraz Toby czekali na gwardzistę. Niewielka budowla w stylu jońskim służyła jedynie za punkt widokowy. Z czasem całe otoczenie zarosło krzewami, przysłaniając łuki, tak że wnętrze świątyni przypominało teraz pokój o ścianach z zieleni.

Jack wpatrywał się w ciemności. Toby o oznaczonej porze przyprowadził Clarissę do świątyni, zaś Ned wcześniej ukrył się

po drugiej stronie głównego łuku, czekając na swój wielki moment. Lecz Gurnard się spóźnił.

Wreszcie na wyźwirowanej ścieżce rozległy się ciężkie kroki. Jack drgnął. Jakaś męska postać zmierzała ku świątyni. Nadchodzący nie zamierzał się kryć - przez ramię przerzuconą miał czerwoną pelerynę gwardzisty.

- Jest - syknął Toby.

Czekali, zastygli w ciemnościach, aż Gurnard wejdzie po schodkach i zniknie wewnątrz świątyni.

- Na razie wszystko idzie zgodnie z planem - szepnął Jack.

Lecz w świątyni nie wszystko szło zgodnie z planem - zarówno ich, jak i kapitana Gurnarda.

Clarissa z nadzieją w sercu weszła do ciemnego pomieszczenia, przyprowadzona przez dziwnie poważnego Toby'ego, który zapewnił ją, że jej najbardziej zagorzały wielbiciel - rzecz jasna Ned - dołączy do niej za chwilę. Było oczywiste, że Sophie już wkrótce otrzyma propozycję, na którą tak długo czekała, i Clarissa chciała to wykorzystać dla swoich celów. Zadała sobie tyle trudu, by ośmielić Neda, miała więc nadzieję, że tej nocy nastąpi przełom w ich znajomości. Może nawet Ned ją pocałuje? Po co innego miałby ją tu zapraszać?

Minuty mijały i Clarissa zaczęła nerwowo krążyć po świątyni. Zastanawiała się, jak bardzo uda jej się przyspieszyć bieg spraw. Ślub we wrześniu, o ile Sophie nie będzie nalegać na długie zaręczyny, wydawał jej się dość realną perspektywą.

Nagle usłyszała energiczne kroki. Ktoś zbliżył się ścieżką i wszedł po schodach do świątyni.

Clarissa odwróciła się, rozpromieniona.

Przed nią z mroku wyłoniła się postać kapitana Gurnarda.

- Co pan tu robi? - zdziwiła się.

Właśnie zamierzała zawrzeć pokój z Nedem, a perspektywa zakłócenia lub opóźnienia jej planów wcale jej nie cieszyła.

Gurnard uśmiechnął się krzywo.

- Przyszedłem tu, żeby się z panią spotkać, moja droga.

- Przykro mi, panie kapitanie, ale tej nocy mam bardzo ograniczony czas. - Clarissa była nieodrodną córką Lucilli. Odprawiła Gurnarda z istic królewską godnością.

Oficer na moment osłupiał. Gdzie podziała się ta naiwna panielka, z którą miał tu spotkanie? Natychmiast jednak się otrząsnął. Ta dzierlatka tylko udawała trudną do zdobycia.

- Nonsens, moja droga - prychnął. - Wiemy oboje, że jesteś we mnie zadurzona. Ale nie bój się, ja też jestem tobą oczarowany.

Mimo mroku Gurnard nie mógł nie zauważyć niechętnego zachowania Clarissy. Cofnęła się i jakimś cudem udało jej się nawet spojrzeć na niego z góry.

- Drogi kapitanie, chyba postradał pan rozum. - W jej głosie zabrzmiała pogarda. - Pan mnie obraża! Jak pan mógł przypuszczać, że mając takich wielbicieli, jak na przykład pan Ascombe, mogłabym w ogóle brać pod uwagę pana, który nie ma nic prócz kolorowego munduru!

Zaskoczony jej gwałtownym tonem, Gurnard wpadł we wściekłość.

- Mimo to nie zawahałaś się zachęcać mnie, bym się kręcił wokół ciebie. Nie możesz temu zaprzeczyć. - Podszedł bliżej. Miał bardzo mało czasu, żeby zrealizować swój zamysł.

- Tylko dlatego, że był mi pan potrzebny - syknęła Clarissa. - Chciałam w ten sposób wzbudzić zazdrość w Nedzie.

- Byłem potrzebny, tak?! - ryknął Gurnard. - No to, moja droga, przyjdzie ci za to zapłacić. - Chwyił ją za ręce i chciał przyciągnąć do siebie.

Jednak Clarissa, przywykła do walk z braćmi, przewidziała jego ruch i zdołała oswobodzić jedną rękę.

- Niech mnie pan puści!

Jej krzyk, pełen furii, wyrwał Neda z osłupienia, w które zapadł przed chwilą. Jednym susem pokonał schody. Tylko temu, że w ostatniej chwili przypomniał sobie plan, zawdzięczać należy, iż zamiast krzyknąć: „Puść ją, ty łotrze!”, powiedział przytłumionym głosem:

- Clarissa?

Zobaczył ją od razu. Gurnard trzymał ją za jedną rękę. Mobilizując wszystkie siły, Ned opanował w zarodku atak furii i podszedł wolno do dziewczyny.

- Ach, tu jesteś, kochanie. Przepraszam za spóźnienie, ale coś mnie zatrzymało. - Wyciągnął do niej rękę, mierząc Gurnarda wyzywającym wzrokiem.

Dziewczyna postanowiła podać mu tę rękę, za którą trzymał ją kapitan, i mocno nią szarpnęła.

Wtedy Gurnard ostatecznie stracił cierpliwość. Nie miał czasu na zbędne gierki, a tym bardziej na to, aby ktoś mu przeszkadzał. Poczekał, aż palce Clarissy znajdą się w dłoni Neda, i wtedy zaatakował.

I natychmiast wylądował na ziemi, a raczej na marmurowej posadzce, dokąd posłał go lewy sierpowy Ascombe'a.

Tuż obok, w zaroślach, Jack odetchnął z ulgą.

- Teraz już oba sierpowe nieźle mu wychodzą - mruknął.

Wewnątrz świątyni Ned próbował zasłonić leżącego na ziemi kapitana przed wzrokiem Clarissy.

- Przepraszam cię, Clary. Wiem, że nie powinienem tego robić w obecności damy, ale chyba nie masz zamiaru zemdleć?

- Nie, na Boga! - Dziewczyna z ogniem w oczach chwyciła go za ręce i spojrzała na kapitana, a potem zwróciła się do Ascombe'a:

- To było wspaniałe, Ned! Co za bohaterstwo! Uratowałeś mnie! - Po tych słowach rzuciła się w ramiona swojego rycerza.

Obserwatorzy w krzakach usłyszeli coś w rodzaju słabych i niezbyt szczerych zaprzeczeń, a potem zapadła cisza.

Jack spojrział w niebo, po czym z satysfakcją stwierdził, że zapowiada ono pogodną noc, sprzyjającą jego planom. Tuż obok niego Toby poruszył się niecierpliwie.

Potem usłyszeli głos Neda oraz odpowiedź Clarissy, a jeszcze po chwili na szczycie schodów pojawił się szczęśliwy wielbiciel ze śliczną blondynką, czule wspartą na jego ramieniu.

- Pójdziemy za nimi - odezwał się Jack. - Może i są oni już prawie zaręczeni, ale jednak nie do końca.

Ruszyli w pewnej odległości za Nedom i Clarissą. Wyglądało na to, że zakochana para nie zdaje sobie sprawy z ich obecności.

Kiedy dotarli do łóży, zastali w niej rozpromienionego Horatia, obok którego stał dumny, lecz onieśmielony Ned, podczas gdy Clarissa opowiadała matce szczegóły swojej niemiłej przygody. Jeremy i George słuchali z szeroko otwartymi oczami. Na widok Jacka Lucilla zapytała z uśmiechem:

- A gdzie Sophie?

Jack zamarł i popatrzył na Horatia.

Pan Webb nagle spowaźniał.

- Rozmawiałem z nią przed pokazem, potem przyłączyliśmy się do Lucilli i chłopców, a pod koniec fajerwerków Sophie gdzieś zniknęła. Myślałem, że jest z wami.

- Pewnie poszła do świątyni - z przerażeniem odezwał się Toby.

- Gurnard ciągle tam jest! - zauważył Ned.

- Pójdę po nią. - Jack starał się zachować spokój. Wymienili z Horatiem spojrzenia i pan Webb skinął głową. Idąc do wyjścia, Jack spojrział na Lucillę.

- Proszę się nie martwić. - Słowom tym towarzyszył uśmiech pełen ponurej determinacji.

Reszta towarzystwa, nieco zgnębiona, zasiadła, by posłuchać końcowego koncertu.



- Wiesz co - mruknęła Lucilla, kiedy Horatio zajął miejsce obok niej - nie mam wcale pewności, czy postąpiłam właściwie.
  - Jak to?
  - Jestem pewna, że Sophie świetnie sobie poradzi z kapitanem Gurnardem, ale czy poradzi sobie z Jackiem Lesterem?
- Horatio uśmiechnął się i pogłaskał żonę po rękę.
- Bądź spokojna, to dzielna i mądra dziewczyna.

Po wyjściu na ciemną alejkę prowadzącą do świątyni Diany, Sophie przystanąła, żeby złapać oddech. W oddali, na tle czarnych zarośli białe kolumny budynku. Obok wiodła dróżka prowadząca nad rzekę, a gdzieś za świątynią znajdowała się jedna z rzadziej używanych bram na ulicę.

Sophie wzięła głęboki oddech i wyszła z cienia. Wokół nie było nikogo. Miękkie pantofelki pozwoliły jej niemal bezszelestnie podejść do stopni świątyni.

Stojąc u ich podnóża, zawahała się, a potem szczerzej owinęła peleryną i wspięła się po schodach. Musi tam przecież zajrzeć.

W środku otoczył ją mrok. Rozejrzała się, wyęzając wzrok, i nagle z jej piersi wyrwał się przeraźliwy okrzyk. Tuż przed nią wyrósł olbrzymi cień.

- No, no, kogo my tu mamy? Przyszła pani szukać kuzynki, tak?

Kiedy się okazało, że ten cień to kapitan Gurnard, Sophie cofnęła się i skinęła głową.

- Ale skoro jej tu nie ma... - zaczęła.

- Pani też może być. - Kapitan chwycił ją za rękę.

Zaczęła mu się wrywać.

- Proszę mnie puścić! Co chce pan przez to osiągnąć?

- Pieniądze, droga panno Winterton. Mnóstwo pieniędzy.

- Przeczył pan coś, panie kapitanie. Ja nie jestem bogata.

- Nie - przyznał Gurnard - ale wpadła pani w oko Lesterowi.

- Co to ma znaczyć? - zapytała, ostrożnie próbując oswobodzić rękę z uścisku kapitana.

- To znaczy - parsknął Gurnard, potrząsając Sophie - że Lester będzie musiał drogo zapłacić, żeby panią dostać z powrotem. A zapłaci jeszcze więcej za pewność, że wróci pani do niego, powiedzmy sobie... nienaruszona. - Przysunął twarz do twarzy Sophie. - Wygrana Lestera okazała się również moją wygraną. - Parsknął śmiechem i pociągnął dziewczynę w stronę drzwi. - Chodź!

Sophie szarpnęła się do tyłu, niestety, udało jej się tylko powstrzymać na moment kapitana, który odwrócił się ze wściekłym prychnięciem.

- Jak już mówiłam, jest coś, co pan przeoczył. Nie wyjdę za mąż za pana Lestera.

- Bzdura! - powiedział Gurnard, ciągnąc ją za rękę.

- To prawda! - Sophie położyła wolną rękę na sercu. - Przysięgam na grób mojej matki, że pan Lester nie prosił mnie o rękę.

- To nie moja wina, że on się tak grzebie - warknął kapitan. Byli już tuż przy schodach.

Sophie zawrzała gniewem.

- Ty głupcze! Próbuję ci wytłumaczyć, że nie mam zamiaru wychodzić za mąż za Jacka Lestera!

Gurnard przystanął i odwrócił się z furją.

- Ty... - zaczął, celując w nią palcem.

- Powinieneś nauczyć się z wdzięcznością przyjmować zrządzenia losu.

Na moment zapadła cisza. Potem Gurnard odwrócił się, a sekundę później powalił go cios silniejszy niż ten, który go wcześniej znokautował.

Gurnard runął z hukiem na marmurową posadzkę.

Sophie popatrzyła na leżącego u jej stóp mężczyznę.

- Dobrze ci tak, ty draniu... - zaczęła.

Jack z westchnieniem pokiwał głową.

- Czy ty i twoja kuzynka do tego stopnia postradałyście wszelką wrażliwość, że nawet nie robi wam się słabo na widok przemocy?

Sophie zdumiała się, a potem prychnęła:

- Jeżeli już musisz wiedzieć, sama miałam ochotę mu przyłożyć. Czy wiesz, że on zamierzał...

- Słyszałem - Jack przyciągnął ją do siebie - ale nie musisz się o niego martwić.

Sophie przytuliła się do Jacka.

- Nie uważasz, że powinniśmy...

- Już się tym zająłem. - Jack spojrzął na Gurnarda, a potem trącił go czubkiem buta. Kapitan jęknął. - Mam nadzieję, że słyszysz mnie, Gurnard, bo więcej nie będę powtarzać. Rozmawiałem z moim znajomym, hrabią Melchamem. Był bardzo zgorzszony, kiedy usłyszał o twoich metodach zarabiania pieniędzy. Powiedział, że mu się naraziłeś. I to bardzo. A wiesz chyba, co się dzieje z tymi, którzy narazili się Melchamowi?

Zapadła cisza, a po chwili Gurnard znowu jęknął.

•Jack z ponurą satysfakcją pokiwał głową i odwrócił Sophie ku schodom.

- A teraz, moja droga, pora iść. - Ujął ją pod rękę i poprowadził wyżywioną alejką.

Sophie poszła z nim, a pytania same cisnęły się na jej usta.

- Co się stało z Clarissą? Przyszła do świątyni?

- Tak. - Jack pokiwał głową.

- I co się stało?

Jack uśmiechnął się i opowiedział jej o wszystkim, dodając, że Horatio w pełni zaakceptował ich plan.

- Gdyby Clarissa po prostu nie przyszła, Gurnard doszedłby do wniosku, że ktoś ją powstrzymał, a nie że nie chciała przyjść. Próbowaliby znowu spotkać się z nią sam na sam, a my mogli-

byśmy wtedy dowiedzieć się o tym zbyt późno, by go powstrzymać. Dlatego należało jak najszybciej wyjaśnić sytuację.

- A co będzie, jeżeli on zwróci się do innej młodej dziewczyny?

- Nie ma takiej możliwości. Jutro, dzięki uprzejmości Melchama, któremu Gurnard winien jest masę pieniędzy, kapitan będzie zbyt zajęty, żeby mieć jeszcze czas na uwodzenie młodych panienek.

Sophie z namysłem pokiwała głową.

- Więc Ned zwałił z nóg Gurnarda?

- Zdaje się, że Clarissę również. - Na wspomnienie o tym Jack uśmiechnął się i zerknął na Sophie. - Uznaliśmy, że to doskonała okazja, by upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Pozbyć się Gurnarda i ostatecznie przekonać Clarissę do Neda. - Na twarzy Jacka odmalowała się satysfakcja.

- O mój Boże! Więc to było zaplanowane? Ned miał odegrać swoją wielką scenę po to, by Clarissa zobaczyła w nim bohatera?

Jack pokiwał głową.

- Biedny Ned - roześmiała się Sophie. - Między nami mówiąc, Clarissa zdecydowała się na Neda kilka tygodni temu, zaraz po naszym przyjeździe do miasta, a przez ostatnie dwa tygodnie próbowała dać mu to do zrozumienia. Wcale się nie dziwię, że padła mu w ramiona. W końcu, czy mogła jej się trafić lepsza okazja?

Jack zmrużył oczy.

- Przypomnij mi, żebyś powiedział Nedowi, co to znaczy wziąć sobie za żonę kobietę z rodziny Webbów.

Sophie zacisnęła usta, a kiedy była już pewna, że w pełni panuje nad głosem, spytała:

- Jestem spokrewniona z Webbami. Czy to znaczy, że także jestem „kobietą z rodziny Webbów”?

- Tego jeszcze nie wiem - odparł Jack. Cofnął się, żeby przepuścić ją przodem przez furtkę prowadzącą nad rzekę. Dopiero wtedy Sophie uświadomiła sobie, że szli w niewłaściwym kie-

runku. Przed nimi ciągnęła się zarośnięta ścieżka, która kończyła się nad brzegami Tamizy. Sophie zatrzymała się, zaskoczona.

- Jack...?

Popatrzył na nią i wyciągnął rękę.

- Wrócił twój wuj. Rozmawiał już z tobą, prawda?

- Tak. - Sophie spojrzała mu w twarz. - Powiedział mi, że nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy mogli się pobrać.

- No właśnie. - Jack z uśmiechem chwycił ją za rękę. Nie broniła się. Przyciągnął ją bliżej i podał jej ramię. - A to oznacza, że przy ogólnej zgodzie, aprobachie i błogosławieństwie mój okres czekania dobiegł już końca, nieprawdaż?

- Ale czy nie powinniśmy...? - Sophie spojrzała za siebie - na ciemne zarośla.

- No wiesz, moja droga! Nie wyobrażasz sobie chyba, że ja uważam Vauxhall za miejsce odpowiednie na oświadczyzny.

Na coś takiego nie znalazła odpowiedzi.

Sophie nie miała nawet czasu, by się zastanawiać nad ukrytym znaczeniem jego słów. Dotarli nad Tamizę. Kamienne nabrzeże przechodziło w groble, przy której cumowała mała flotylla.

- Jeżeli zwyczajnie się utrzymały, on powinien być na samym końcu.

Sophie zadrżała i mocniej przywarła do Jacka. Szli pomiędzy gośćmi umawiającymi się z właścicielami łodzi, by popłynąć do domu. Łódki były różnych rozmiarów. W niektórych mogła zasiać tylko para, inne mogły pomieścić całą grupę, a niektóre miały rozpięty namiot z zasuwanyymi kotarami, w którym kochankowie mogli się ukryć przed światem.

Jack poprowadził ją w stronę jednej z takich właśnie łódek.

- Rollinson?

Sophie zrobiło się nagle dziwnie lekko na sercu.

Barczysty wiosłarz dysponujący największą łodzią przerwał rozmowę ze swoją załogą i spojrzał na Jacka.

- O, jest pan, sir! - Odślonił w uśmiechu rząd wyszczerbionych zębów, po czym zdjął kapelusz przed Sophie. - Dostałem pańską wiadomość. Wszystko gotowe.

- To dobrze - odparł Jack.

Sophie nie bardzo mogła zrozumieć pozostałą część ich rozmowy, jako że prowadzili ją w żeglarskim żargonie. Rozejrzała się wokoło, próbując raczej zainteresować się scenerią, niż zastanawiać nad tym, co znaczyła obecność jej i Jacka w takim miejscu. Bo gdyby się nad tym naprawdę zastanowiła, musiałaby gwałtownie zaprotestować.

Do niej należało teraz podjęcie pewnych decyzji, od których zależeć miał jej los. Gdy trasa została ustalona, Jack zeskoczył na drewnianą platformę, unoszącą się na wodzie metr od łodzi, a potem odwrócił się do Sophie i spojrzął na nią wyczekująco.

- Wsiadaj, moja droga. - Szarmanckim gestem wskazał na łódź oraz drzącą na wietrze zasłonę. Na usta jego wypłynął zmysłowy uśmiech. - Zaufasz mi tej nocy?

Przez chwilę patrzyła na niego w napięciu, nie bacząc na otaczających ich ludzi oraz zaciekawione spojrzenia wioślarzy. Widziała tylko Jacka... To, co proponował, było naprawdę skandaliczne. Wzięła głęboki oddech i z uśmiechem wkroczyła na chwiejną platformę.

Mocny uścisk jego ramienia napełnił ją spokojem. Jack pomógł jej wsiąść do łodzi, po czym poprowadził ją między ławkami do namiotu. Odchylił ciężką, brokatową kotarę i zaprosił Sophie do środka.

Kurtyna opadła, odcinając ich od świata. Łódź powoli odbiła od brzegu.

Kiedy wzrok Sophie oswoił się z mrokiem, zafascynowana rozejrzała się wokoło. Obita mięsistą materią podłogę pokrywały jedwabne poduszki, tworząc wygodne legowisko. Był tam też mały bufet z kieliszkami, półmisek wykwintnych przystawek oraz kubek z chłodzącym się szampanem.

Jack spojrzał wymownie na Sophie.

- Myślę, że zostawimy kawior na drugie danie.

Otworzyła szeroko oczy. Nie musiała nawet pytać, czego sobie życzy na początek.

- Zaplanowałeś to wcześniej, prawda?

- Do najdrobniejszych szczegółów - z triumfalnym uśmiechem przyznał Jack, po czym wyciągnął się na poduszkach. - To absolutna konieczność, wiesz o tym?

- Czyżby? - spytała.

- Aha. - Jack spojrzał w górę i przez częściowo odsłonięty dach spojrzał na gwiazdziste niebo. - Uwodzenie, żeby mogło sprawić przyjemność, musi być szczegółowo zaplanowane.

Sophie przygryzła wargi i spojrzała na niego niepewnie, a on roześmiał się i przyciągnął ją ku sobie. Zawahała się, a potem uległa. Wsparty na łokciu spojrzał jej w oczy, a potem nachylił się i obdarzył ją długim, niespiesznym pocałunkiem.

- Ja wcale nie żartuję, Sophie - wyszeptał wprost w jej usta.

Poczuła dreszcz pożądania, a słowa protestu zgasły pod następnym pocałunkiem.

- Nie, Sophie. - Zaczął okrywać czułymi pocałunkami jej powieki, a jego palce zaczęły rozpinać guziczki jej sukni. - Mam już dość tych konkurów, kochanie. Jesteś moja, a ja jestem twój. Tylko to się liczy. - Głos lekko mu zadrżał, gdy wzrok jego padł na obnażoną, białą pierś.

Jęknęła cicho, gdy kciukiem obwiodł różowy pączek. Spod przymkniętych powiek patrzyła, jak ją pieścił. A potem Jack pochylił głowę i dotknął językiem jej piersi, a Sophie mocniej wpiła palce w jego ramiona.

- A poza tym - mruknął - musimy omówić jeszcze tylko jedną sprawę.

- Omówić? - zapytała omdlewającym głosem.

- Hmm. Musimy zastanowić się nad zadowalającą rekompensatą za moje tortury.

- Tortury? - Sophie sama czuła się jak na torturach. Ręce Jacka, tak sprawne w pieścizotach, doprowadzały ją do granic wytrzymałości. - Jakie tortury?

- Męki, które musiałem znosić, starając się o twoją rękę, moja słodka Sophie.

- To były męki?

- Tortury i nie tylko - powiedział Jack schrypniętym głosem. Sophie westchnęła.

- A co uważasz za stosowną rekompensatę? - zdołała zapytać, zanim znowu zamknął jej usta pocałunkiem.

Dopiero po chwili usłyszała jego stłumiony głos:

- Wiem, jaką chcę rekompensatę. Dasz mi to, o co poproszę?

- Tak - obiecała ledwo dosłyszalnym szeptem.

Jack uniósł głowę. Na jego ustach igrał łobuzerski uśmiech.

- Przecież ci jeszcze nie powiedziałem, czego chcę.

Sophie również się uśmiechnęła.

- Lepiej niech to będę ja, bo niczego innego nie mam.

Jackowi po raz pierwszy w jego karierze uwodziciela zabrakło słów. Popatrzył w jej oczy, tajemnicze, a zarazem pełne namiętności.

- Sophie - zapewnił głosem stłumionym od pasji - zawsze pragnąłem tylko ciebie.

- No to mnie weź - szepnęła, zastanawiając się, czy Jack się ośmieli.

Później nie pamiętała już nic. Ogarnął ją płomień, który Lester jeszcze podsycał swoim pożądaniem. Kiedy wreszcie zapragnęła, by się z nią połączył, uczynił to, a wtedy tysiąc słońc rozbłysło na czarnym niebie. A potem Sophie spokojnie spłynęła na ziemię, już na zawsze bezpieczna w objęciach Jacka.

Obudziło ją łagodne kołysanie łodzi oraz przytłaczający ciężar ciała Jacka.



To dziwne, ale w jej myślach panowała dziwna jasność, jakby nagle ustąpiły wszystkie napięcia, które tak długo nie pozwalały jej być sobą. Czuła chłodną pieśczołę wiatru na swoim nagim ciele, a także dotyk kochanka, który leżąc obok niej, delikatnie odgarniał jej włosy opadające na twarz. Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Wydał jej się taki męski i opiekuńczy, gdy nachylał się nad nią w blasku księżyca. Zaczęła nasłuchiwać, lecz nie usłyszała plusk wody rozpruwanej przez wiosła. Wtedy dokonała pewnego odkrycia.

- Przecież my stoimy w miejscu!

W mroku błysnęły białe zęby Jacka.

- Zacumowaliśmy na prywatnej przystani. Wioślarze poszli sobie przed godziną. - Poglaskał Sophie po głowie. - Wrócą później, żeby nas odwiedzić do domu. Mój powóz będzie czekał przy bramie.

- Pomyślałaś o wszystkim - powiedziała zdumiona Sophie.

- Lubię sprawiać damom przyjemność - odparł z przekor-  
nym uśmiechem. Uniósł się i troskliwie otulił dziewczynę szalem. - A teraz, skoro sprawiłem ci przyjemność, kiedy ślub?

Wciąż nie do końca przytomna, nie odpowiedziała.

- Nie chciałbym cię ponaglać, kochanie, ale jest kilka powodów, dla których jeśli nie natychmiastowy, to przynajmniej rychły ślub byłby dla nas najstosowniejszy.

Kiedy odwrócił jej rękę, by pocałować wewnątrz dłoni, Sophie skinęła głową.

- Rozumiem, co masz na myśli. - Chrząknęła, żeby odzyskać głos, zdumiona odkryciem, że w ogóle jeszcze potrafi myśleć. - Mój ojciec przyjeżdża na krótko w przyszłym miesiącu. Możemy na niego poczekać?

- To nie będzie takie łatwe. - Z wymownym uśmiechem Jack zajrzał w jej oczy. - Sądzę jednak, że jakoś wytrzymamy kilka tygodni.

- Będziesz się musiał ze mną ożenić, bo skompromitowałeś mnie całkowicie. Zdecydowanie za długo nas nie było.

- Zawsze chciałem się z tobą ożenić. Od chwili gdy cię zobaczyłem na balu u lady Asfordby.

Sophie patrzyła przez chwilę na jego twarz oświetloną blaskiem księżyca.

- Naprawdę?

- Gdy zobaczyłem, jak tańczysz - przyznał Jack. - Wtedy właśnie wpadłem po uszy.

- Och, Jack!

Gdy minęła emocja spowodowana tym wyznaniem, Sophie wreszcie ocknęła się.

- Nie było nas przez całą noc!

- Nie martw się, Horatio wie, że jesteś ze mną.

- Czy ciotce też o tym powiedziałeś?

- Dobry Boże! - wzdrygnął się Jack. - Co za straszliwy pomysł! Gdybym to zrobił, załóżę się, że nie obyłoby się bez jej instrukcji i nie wiem, czy moja duma by to zniosła. - Jack ucałował nagi różowy pączek. - Twoja ciotka, kochanie, to niebezpieczna osoba.

Sophie zgodziła się z nim w duchu, ale była zbyt zajęta czym innym, by szukać stosownych słów. Nieco później, pogrążona w rozmyślaniach o przyszłości, domu, rodzinie i Jacku, czyli wszystkim, czego pragnęła, powróciła do tego tematu.

- A skoro mówimy o małżeństwie, nie poprosił mnie pan jeszcze o rękę, sir.

- Ależ prosiłem, tylko że mi odmówiłaś.

Sophie uśmiechnęła się w ciemności.

- Musisz mnie jeszcze raz poprosić. Teraz mam już zgodę wujka na to, żebyś się o mnie starał.

Jack westchnął z satysfakcją, a potem uniósł się nad Sophie i przeszył ją płonąącym wzrokiem.

- Dobrze, panno Winterton. Po raz ostatni pytam panią: wyjdzie pani za mnie czy nie? Zdaję sobie, oczywiście, sprawę, że nie jest pani zbyt zamożna, ale życzliwy los sprawi, iż nie potrzebuję

i nie chcę bogatej żony. Ty, moja śliczna, upragniona Sophie...  
 - nachylił się, by oddać hołd jej ustom - ..ty mi wystarczysz.  
 Bo ty, kochanie, jesteś ucieleśnieniem wszystkich moich pragnień.  
 - Znowu ją pocałował, pozbawiając tchu. - Go do jednego!

Z łagodnym uśmiechem i zamglonym ze szczęścia wzrokiem Sophie zarzuciła ręce na szyję Jacka. Po czym wyraziła zgodę, ale nie słowami, lecz tym, co - ich wspólnym zdaniem - przemawiało bardziej niż słowa.

Kiedy powóz państwa Webbów ruszył z miejsca, zostawiając za sobą pograżone w mroku ogrody Vauxhallu, Lucilla osunęła się na miękkie poduszki. Naprzeciw niej Jeremy i George ziewali raz po raz. W drugim, w mniejszym powozie Toby, Ned i Clarissa z pewnością wciąż omawiali wydarzenia tej nocy, lecz na Lucilli nie zrobiło to wrażenia.

Właśnie dowiedziała się, że Jack odwiezie Sophie na Mount Street inną trasą.

Dopiero po dłuższej chwili opanowała się na tyle, by móc zabrać głos.

- A ty mówiłeś mi, że mam się nie wtrącać! - Chrząknęła zde gustowana i z wyrzutem spojrzała na małżonka.

Horatio był zbyt mądry, by cokolwiek odpowiadać, lecz gdy koła powozu zaterkotały na moście, z uśmiechem spojrzał w górę Tamizy.